

OD KOLEBKI DO MOGIŁY.

OD KOLÉBKKI DO MOGIŁY.

Z Życia Zapomnianego Człowieka.

OPOWIADANIE

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM II.

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACYJNYCH PAN;**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr. 72

00-230 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-62-31 w. 42

WARSZAWA.

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

—
1885.



Дозволено Цензурою.

Варшава, 24 Декабря 1884 года.

Друк Braci Jeżyńskich (dawniej J. Ungra) Warszawa,
Nowolipki Nr 3.

W maleńkiej uliczce, która pod te czasy jeszcze nawet wybrukowaną nie była, w drewnianym domku niepozornym, mającym tylko małe piętorko wpośrodku wysokiego, łamanego dachu — wielki pokój o trzech oknach jednego dnia wiosennego przedstawiał widok, przypominający scenę z Hogartha.

Okno od ogródka, zasadzonego smutnemi drzewami owocowemi, niedającemi cienia, stało otworem; wielka izba nieładem się odznaczała.

Obok prostych, bielonych jej ścian, na których dziury i plamy świadczyły o wielu lokatorach, którzy rozmaicie się tu urządzali przed laty, stały rozrzucone sprzęty kosztowne niegdyś i wytworne, okryte dziś pyłem i bezmyślnie skupione.

Widać było, że się tu nowy mieszkaniec wniósł niedawno i nie miał czasu lub możności rozgospodarowania. Meble cisnęły się jedne przy drugich, aby jaknajmniej zabierać miejsca, stały nawet

niektóre jedne na drugich. Mnóstwo rzeczy porzucano na nie w nieładzie.

Piękny fortepian okrywały na kupę nagromadzone, pomięte, pstre stroje kobiece. Na krzeselkach i pod nimi stały pudła i pudełka różnych kształtów, formą swą ukazujące, że do strojów kobiecych służyły.

Na kanapce, niegdyś ciemno czerwonym pluszem z bogatemi frenzlami obitej, siedziała napół, wół leżała, sparta na białej ręce wychudłej kobieta młoda jeszcze, ze śladami piękności na twarzy, którą gwałtowne cierpienie nagle zgniotło i zwiędłą uczyniło.

Na przedłużonej wychudzonej twarzyczce bladej i żółkłej, z policzkami wpadłymi, dwoje niespokojnych, wielkich oczu niebieskich świeciło jeszcze resztką życia i młodości, ale rozjątrzonej cierpieniem, zrozpaczonej i zmęczonej.

Strój, składający się z dawnych pozostałości elegancyi, zmięty był i zarzucony niedbale. Piękne włosy związane od niechęcenia, splątane, okalały twarz, nie zdobiąc jej, jak dawniej, a mówiąc równie jak ona, iż troska o piękności zapomnieć kazała...

Wsparta na rękę, dumiała piękna Klarcia nad swoim losem. Ona to była, ale w krótkim czasie przeciągu z Astrei ubóstwianej przeistoczona w biedną, opuszczoną ex-baletnicę Saską.

Z pałacu, w którym mieszkała niegdyś, stopniami schodząc, znalazła się tu w nędznym dworku, z tém co jeszcze jéj pozostało. Najkosztowniejsze rzeczy wszystkie już zostały spięniężone; kolej przychodziła teraz na te gałganki kobiéce, które się kupują bardzo drogo, a raz włożone, prawie żadnej potém nie mają wartości.

Klarcia dumiała zrozpaczona, leżąc na kanapie. Służąca jéj, brudna, niemłoda, z podwiązaną spuchłą twarzą, z oczyma kosemi, kwaśna, chmurna, stała w kącie, mrużąc i przerzucając stosy sukien. Nieco dalej ku drzwiom otyła Żydówka, w wielkiej chuście, nadęta, z ustami pogardliwie wykrzywionemi, czekała na coś, rozglądając się po tém, co ją otaczało.

Wszystkie trzy kobiety milczały, jakby znużone długim targiem, a na twarzy Klary malowało się zniechęcenie, gniew bezsilny, który z oczu, mimo wiedzy jéj, lży wyciskał. Niekiedy poruszała ramionami, rzucała się, usta coś pomrukiwały a oczy, utopione w podłodze, nie widziały nic.

— No, co będzie? mnie czas drogi — odezwała się stojąca opodal Żydówka, oczami raz jeszcze powiódłszy dokoła. — Niech panna sobie namyśli się. To są gałgany. Może być, że oni wiele kosztowali... Aj! aj! I człowiek, póki młody, więcej wart, a jak się zwala, to kto co da za niego?

To mówiąc, pani Szmulowa w dwu palcach pod-

niosła najbliżej siebie leżącą suknię, potrząsnęła nią pogardliwie i rzuciła.

Ciche łzy płynęły z oczu Klary.

— Mówiłam panie, za to co lepsze, com wybrała kila sukienek, dam dziesięć rubli. To jest wielki pieniądz... Ja na nich może stracę. A póki u mnie kto kupi, co ja będę czekała! Chce panienka, to dobrze, nie, to nie. Ja się nie napraszam.

Klarcia rzuciła ręką, nie nie odpowiadając. Wskazała coś służącej i twarz zakrywszy dłońmi, płakała.

Sługa, milcząc, zbliżyła się do Szmulowój i szeptać coś z nią poczęła. Odkładano nabok wybrane suknie, z których służąca lepsze ocalić się starała, a Szmulowa z gniewem szarpała je, ciągnąc ku sobie.

Niema ta scena odbywała się zdaleka, u drzwi, a Klara nie spoglądała nawet w tę stronę, aby nie być jej świadkiem. Kupeżąca temi biédnymi łachmanami Żydówka postawiła na swoim, podszepnąwszy coś tylko służącej, której w rękę wciśnęła papierek. Wszystko potem poszło gładko i cicho. Wybrane suknie, chustki, narzutki leżały już nagromadzone na kupkę, gdy w sieniach dał się słyszeć głos. Zapytano o pannę Klarę Saską.

Usłyszawszy nazwisko swoje, płacząca podnio-

sła głowę zdumiona, a stara sługa, porzuciwszy Żydówkę, prędko wybiegła za drzwi.

Nikt od tak dawna się tu o nieszczęśliwą nie dopytywał, przez wszystkich tak była zapomniana, że i pani i sługa nie mogły pojąć, co tu kogo sprowadzało... Saska domyślała się chyba wierzyciela, bo długów miała jeszcze wiele i te ją wszędzie ścigały.

Wtém w progu pokazał się skromnie bardzo ubrany, niepozorny młody mężczyzna, któremu z roztargnieniem przypatrując się, Klara wcale go sobie przypomnieć nie mogła. Pamięć jej błądziła w tych sferach, z którymi przybyły nie był nigdy w żadnym stosunku.

Wolnym krokiem, zmieszany, wśród nagromadzonych sprzętów przedziérał się przybyły do Klary, która bezmyślnie poprawiać zaczęła rozrzucone włosy i niedbale wdzianą sukienkę. Nie była wcale przygotowaną do przyjęcia kogokolwiek-bądź.

Szulowa zdala mierzyła też oczyma ciekawemi przybysza; ale powierzchowność jego, niewiele obiecująca, po nim się ratunku nie kazała spodziewać. Żydówka, nie mogąc dobić targu, mrużąc, do drugiego pokoju przewlokła się ze służącą.

Klara ciągle przypatrywała się przychodzącemu, usiłując odgadnąć z czém przychodził.

Był-to Bojarski.

Dopiero gdy przystąpił tuż, twarz blada dziewczyny okryła się chwilowo żywym rumieńcem.

Przyjaciel dawnych lat, towarzyszył jej dziecięcych zabaw, surowy sędzia, który przepowiedział jej niedolę — stał przed nią ze wzrokiem pełnym rozrzewnienia, z twarzą litościwą, z wyrazem współczucia serdecznym.

— Panno Klaro—odezwał się.—Dopiero wczoraj się dowiedziałem o jej smutnym położeniu. Gdyś pani była szczęśliwą, miejsca dla mnie przy niej nie było; dziś... stawiam się jej, przychodzę... Mów, czy mogę ci być w czem pomocnym?

Klara naprzód sobie oczy zakryła i wybuchnęła płaczem konwulsyjnym, potem, zwolna się uspokajając, łkając coraz ciszej, wskazała mu krzesło przy sobie i zabięrała się mówić, ale jej łzy nie dawały.

— O ci ludzie! ci ludzie niegodziwi!—poczęła—ci ludzie!... Widzisz pan, patrz na com ja zeszła przez zdradę, przez niewiarę, przez moją głupią ufność!... Wszysey leżeli u nóg moich, błagali i uśmiech i skinienie... Patrz pan, patrz, co się ze mną stało!... Nikogo, żywej duszy, ani przyjaciela, ani rady, ani litości!

Ściśniętą pięść podniosła dogóry.

— Pan wiesz już wszystko — ciągnęła dalej, coraz się rozogniając bardziej.—To była intryga; podstawili mi coś pod nogę... To sprawa Karoli-

ny, która dawno przeciwko mnie intrygowała.. Rzepski, gdy powinien był mnie trzymać, puścił moją rękę. To był spisek! Mogłam obie nogi połamać! Choroba moja przedłużyła się, a tymczasem ten niepocziwy Francuz sobie drugą napatrzył... A co mi się naprzysięgał... Potém nawet długów nie chciał płacić. Rzucił odczepnego, jak ostatniój ulicznicy!

Zakryła znowu twarz rękami.

— O! mężczyźni!—zawołała—któremu z nich wierzyć można? Co u nich znaczą przysięgi? Musiałam na doktorów i aptekę fantować się do ostatniego. Mało co pozostało... nędza, bięda!... Do baletu powrócić niesposób—noga stracona. Ja sama, gdy się spojrzę w zwierciadło, poznać siebie nie mogę.

Bojarski mileczał, patrząc na nią z politowaniem i dając się jęj wynurzyć z całym żalem w piersi wezbranym.

— Przeszedłem—począł zwolna, gdy płacz zastąpił skargi — aby pani przynieść pociechę i ile jest w możności mojęj dopomódz. Znajdziemy przecież jakiś środek zaradzenia temu położeniu. Tymczasem ja się z nią gotów jestem podzielić tém, co mam.

Łzy powoli osychały; spojrzała na Bernarda z wyrazem jakiegoś dumy, czuła że na jego serce

rachować mogła. Lecz natychmiast dawna buta powracać jęj zaczęła.

— Proszę pana, ci Żydzi co miałam najlepsze go mi pozabierali. Oto i dziś ta Szmulowa... tyle sukien za dziesięć rubli!... One kilkaset kosztowały, a niektóre prawie nienoszone. Ale cóż robić? Za mieszkanie trzeba zapłacić, na kuchnię codzień dać kilka złotych. Jestem chora, lada czém przeżyć się nie mogę.

Załamala ręce. Bernard milczał. Po chwili rzekł:

— Mam przy sobie trzydzieści rubli. Jeżeli to może zapobiedz sprzedaży, chętnie je ofiaruję.

Bez żadnej ceremonii, z dziwnym cynizmem, Klara wyciągnęła rękę.

— Dziękuję—rzekła pocichu. — Rada jestem, że choć raz bez tęg niegodziwęg Żydowicy się obejdę.

I nie patrząc na Bojarskiego, zwróciła się, wołając służącęj, która nadbiegła. Oczy się jęj zaiskrzyły, gdy jęj coś poszepnęła na ucho, pokazując papiérki, które trzymała w ręku.

Sługa skrzywiła się i miała coś odpowiedziéc, gdy Klara ją popchnęła.

— Idź, kiedy ci mówię — nie potrzebuję, nie sprzedaję!

W chwilę potém poważnie chustą otulona Szmulowa, pogardliwym wzrokiem mierząc Klarę i izbę,

wyszła z tą pewnością, że wkrótce nazad tu będzie powołaną.

— Ale niech jęj panna powie — odezwała się w sieni do przepuszczającęj ją sługi — że ja potęm nietylko dziesięć, ale pięć nie dam za te gałgany.

Z boleścią słuchał i przypatrywał się Bernard tęg Klarze, takięj jaką ją cierpienie uczyniło. Zmieniła się, stała daleko mniej powabną, a w słowach i ruchach zdradzała nawyknięcie do obcowania z gminem, który ją teraz otaczał.

W pałacu saskim, na pięrszém piętrze, była to wyszlachetniona obcowaniem z Francuzem istota, mająca jeszcze jakiś urok wytworności, coś wdzięcznego i artystycznie pięknego. Starala się być podobną do wielkięj pani, do kogoś dobrze wychowanego. Tu brak pierwotny wykształcenia, rubasznosc jakaś wiejska wychodziły na więrzch, czyniac ją istotą pospolitą i zaledwie na politowanie zasługującą.

Bojarski, który przyszedł pocieszać, nie wiedział od czego począc; chciał nawracać, ale usposobienie gnięwliwe, mściwe usta mu zamykało. Nie poczuwała się do żadnęg winy; ludzie źli, zdrada, intrygi wszystkimu były winne, a ona o fiarę.

Kilka razy, łagodząc ją, wtrącił coś Bernard, lecz natychmiast wracała do narzekań i przekleństw. Rozpacz, jaka ją ogarniała, nie dozwa-

łała się jęj zastanowić nad tęp co mogła, a czego nie powinna była odkrywać przed przyjacielem młodości. Oprócz Francuza, wyliczyła mu cały szereg wielbicieli, kilku co się nawet żenić z nią obiecywali.

Wszyscy oni potęp pierzchnęli, gdy ją nieszczęście dotknęło.

— Widzisz pani, że jednak ja pozostałem, częp byłem, przyjacielem jęj wiernym—rzekł Bernard.

Popatrzyła na niego milcząca, pomyślała coś, lecz nie odpowiedziała nic.

— Rozpaczać i narzekać — odezwał się Bernard — nie prowadzi do niczego. Mówmy seryo, myślmy o przyszłości; coś należy przedsięwziąć, trzeba się wziąć do czego...

Klara potrzęsała głową.

— Naprzód zdrowie trzeba odzyskać — odparła.—Przecież starą i brzydką nie jestem, tylko mnie to nieszczęsne choróbsko tak zmieniło. Jestem pewna, że gdybym przyszła do siebie, jeszcze ludzie zamną latać będą.

Bojarski milcząco ręce załamał.

— Ale do czegoż to prowadzi? — zawołał rozpaczliwie.

— Jaktó do czego?—odparła—do tego, aby się zemną ktoś ożenił. Mniejsza o to czy stary, czy młody, ale bogaty być musi. Takie, co mojego palca niewarte, porobiły świetne mariaże.

Pan myślisz, że ja już jestem tak zdesperowana?

— Mnie się zdaje — szepnął zmieszany Bojarski — że lepiejby było na czém inném oprzeć rachubę.

— No, na czém?—zapytała Klara.

— Na pracy—rzekł Bernard.

— Ja nie umiem nic, a pracować nie lubię—odpowiedziała cierpko. — Zaczynać się uczyć za późno.

— Tak, ale pani masz smak, masz upodobanie w strojach—przerwał Bojarski. —Toć w ostatecznym razie nawet stroiki robiąc...

Wgłos rozśmiała się Klara.

— Ja marszandemodą! Nie, tak nisko jeszcze nie upadłam. Pfe! jak panu mogą przychodzić takie myśli.

— Nie jest to ani stan, ani zajęcie, którebym ja zalecał—tłumaczył się Bojarski — ale w najgorszym razie...

Saska słuchać nie chciała.

— Bądźcobądź, na jakieś zajęcie, na pracę tylko rachować można, i to jest najbezpieczniej—szem—ciągnął dalej Bernard.—Pomyśl pani i wybierz sobie najstosowniejszą. Najmniej powabna praca zawsze jeszcze lepszą będzie, niż zaprzędanie się.

Klara nadąsana nie odpowiedziała nawet, a być może iż nie słyszała już co mówił do niej;

myśli jej były gdzieindziej. Po długim przestanku, zdawała się budzić i figlarne spojrzenie zwróciła na siedzącego przed nią Bojarskiego.

— A z panem co się dzieje?—zapytała.

— Ja— pracuję, daję lekcyę, pisze i mam skromny, ale wystarczający chleba kawałek.

— Matka żyje?—wtrąciła Klara.

— Dzięki Bogu!

Zadumała się znowu; myśli jej trudno było odgadnąć. Głos zmieniła i swobodniej, weseliej rozpytywać poczęła.

— Dobrze, bardzo pięknie pan zrobiłeś, żeś mnie odwiedził i nie zapomniał o mnie. Któż wie? może wkońcn zrobisz pan z tej nieszczęśliwej, oszalałej innej, stateczniejszą kobietę... nauczysz pracować.

Skrzywiła usta.

— Ale naprzód trzeba żebym zdrowie i siły odzyskała—dodała żywo.— Ja prawie głodem marłam, słowo daję. Nie było komu zgotować, nie było za co kupić, a ja taka jestem pieszczotami popsuta... i tak we mnie ta żółć wzburzona grała. Myślałam że umrę. Wystaw pan sobie—wtrąciła nagle — podły Francuz nawet na listy nie odpisuje już. Ale jeżeli myśli, że ja mu dam pokój i przestanę dokuczać, to się bardzo myli.

Bernard siedział jeszcze, myśląc że od pierwszych odwiedzin nie mógł wymagać wiele i po-

ślannictwo swe rozkładając na powolniejsze nawracanie — gdy w sieniach głos znowu się dał słyszeć. Klara niespokojnie się podniosła i oczy na drzwi zwróciła. Sama nadzieja ta, że ludzie znowu zbliżyć się do niej zaczną, twarzyczkę jej ożywiła i zarumieniła.

Służąca rozmawiała z kimś w progu. Bojarski, nie chcąc być zawadą dla Saskiej i domyślając się jakiejś domowej sprawy, wstał, aby ją pożegnać. Nim jednak ona to postrzegła, w progu ukazała się dobrze Bernardowi znana, ciągle, choć zdala, widywana piękna i charakterystyczna twarz Emila Twardzińskiego.

Nędzne to chłopię, któremu niegdyś podał był rękę Bernard, a potem się z niem rozstać musiał, w tym przeciągu czasu, który Bojarskiemu nie przyniósł nad bardzo skromną ileś lekcyj, dobiło się do położenia świetną rokującego przeszłość.

Tajemnicą to było dla wszystkich, jakimi drogami idąc, Emil, tam gdzie inni padali i ginęli, coraz wyżej się podnosił, coraz szczęśliwiej stawał, zawiązywał stosunki, zyskiwał pieniądze i wkońcu dosyć wysoką otrzymał posadę, do której go prawnicze jego wykształcenie przygotowało. Przyznawano mu nadzwyczajne zdolności, lecz one same nie starczą nigdy do podniesienia człowieka, zwłaszcza w chwilach zamętu, wciągu których ci tylko, co zręcznie umieją weiskać się,

podłazić, okupywać każdy szczebel — potrafią wzbic się wysoko...

Emil Twardziński swe powołanie obrońcy zmienił na urząd dobrze płatny i otwierający wrota do sfer, które przed kilku laty zdawały się dla niego niedostępne.

Piękna powierzchowność, wymowa łatwa, humor zawsze wesoły, usłużność dla wyższych, umiejętność zbierania pieniędzy tam, gdzie inni je tracili — zalecały pana radzcę.

Od czasu jak się rozstali, od lat bardzo wielu, nigdy Twardziński się nie zbliżył do Bojarskiego, nie przemówił do niego, nie okazał najmniejszej chęci zawiązania z nim stosunków. Bernard też nadto był dumnym, ażeby miał zrobić krok pierwszy, chociaż urazy zapomniał i gniewu w sercu już nie miał.

Saska była jeszcze u wuja i przy matce, gdy Emil się około niej kręcić zaczął; dość jej się nawet podobał, ale na zalotach pustych się skończyło. Później z przyjaciółką dyplomaty odnowiły się podobno stosunki; lecz i Klara na ożenienie rachować nie mogła, niewiele też je ceniła. Bawił ją.

Od katastrofy i choroby, Emil pierzchnął tak samo, jak inni. Zjawienie się jego zdziwiło Klarę, ale teraz każdemu powracającemu rada była. Ci starzy przyjaciele i wielbiciele zawsze na coś przydać się mogli.

Uśmiezek przebiegł jęj usta. Bernard chciał się pożegnać i wysunąć, nie będąc zmuszonym zetknąć się z Twardzińskim; ale Klara była zajęta nowoprzybyłym, a pan Emil, za ledwie ją powitawszy, zwrócił się żywo ku cofającemu się Bojarskiemu.

— Panie Bernardzie—odezwał się, wyciągając rękę ku niemu. — Biję się w piersi, zawiniłem względem was. Sto razy zbliżyć się chciałem i nie śmiałem. Mam obowiązki wdzięczności dla niego; bądź wspaniałomyślnym i przebacz mi winę, a nie odpychaj podanej dłoni.

Zdziwiony niezmiernie tęp przemówieniem, które go zaskoczyło tak niespodzianie, iż stanął jak wryty—Bojarski nie wahał się ani chwili z podaniem ręki.

Wzruszyło go przemówienie to, odwołanie się do przeszłości, pamięć na nią.

— Pojmujesz pan—rzekł—że ja mu się pierwszy narzucać nie mogłem...

— Cieszę się, że sposobność się trafiła — rzekł Twardziński — spotkania z wami i rozbicia tych długoletnich lodów. Nie odchodź, proszę, ja mam tylko dwa słowa do powiedzenia panie Klarze, o której położeniu, dopiero co z długiej podróży wróciwszy, dowiedziałem się. Przyjdę tu inną porą, a teraz razem ztąd musimy się oddalić, aby-

śmy pomówić mogli. Mam mało czasu, zajęć bardzo wiele, trzeba z każdój chwili korzystać.

Bernard zatrzymał się. Tymczasem Klara już dawnego wielbiciela zasypywała wymówkami niemal grubiańskimi. Twardziński się tłumaczył lekko, z uśmiechem, przerywając mowę jej żarcikami i nie okazując ani wielkiej litości, ani szacunku dla nieszczęśliwej.

— Ja pannie Klarze mówiłem zawsze—wtrącił wkońcu—że ten Francuz to łajdak i że nigdy żadnemu takiemu arystokracie wierzyć nie można, lecz trzeba naprzód sobie zapewnić przyszłość... Tymczasem żyło się wesoło, nieogłędnie, a Francuz pierzchnął przy piérwszej sposobności.

— Co jabym dbała o tego jednego Francuza—przerwała Klara — gdyby nie ta noga i choroba. Miałam ich do wyboru ilum chciała i lepszych od niego... a teraz...

— Jakto? do baletu już powrócić nie można?—zapytał Emil.

Klara poruszyła ramionami.

— Te doktory, przekupione łajdaki, czy co, umyślnie mi tak nastawili nogę, abym tańcować nie mogła. To sprawa Karoliny.

Twardziński się uśmiechnął.

— Wiiesz pani co? Śpiewać uczyć się pono za późno, ale któż wie, czybyś pani ze swą powierz-

chownością i głosem nie mogła w komedyi lub dramacie występować.

— O! ja już o tém myślałam—rzekła Klara.— Dlaczegobym nie mogła grać komedyi? Ale i tam intrygi i zazdrość staną na drodze.

Pan radzca poszeptał coś, przemówił jeszcze słów kilka, ścisnął ręce panny Klary, szybko zwrócił się do Bernarda i wyszedł z nim razem.

W ulicy szli czas jakiś milczący. Radzca począł badać dawnego swego protektora o całą tę jego przeszłość, której nie znał bliżej. Wypadki 1830 r. rozdzieliły ich tak, że się zupełnie z oczu stracili. W krótkich słowach Bojarski opowiedział o swoich losach. Nawzajem spytany Emil, nie umiał się wytłumaczyć jasno, jakimi szedł drogami, iż potrafił tak zajść szczęśliwie i daleko... Zbywał ogólnikami, składał na losy, mało przyznawał sobie, a każdy inny, nie prostoduszny Bojarski, byłby z téj gmatwaniny wyrozumiał, że pan radzca z wielu rzeczami się ukrywał umyślnie, bo się nie mógł chwalić niemi. Wkońcu, rozmowie obrót niespodziany nadał Twardziński.

— Słyszałem wiele—rzekł—o waszych drukowanych rozprawach, które wrzawy dosyć wywołały. Przyznaję się, że ich nie czytałem, bo mi moje urzędowe zajęcia mało pozostawiają czasu. Z tego jednak co ludzie powiadają wnoszę, że trzeźwo i zdrowo zapatrujesz się na położenie

i nie hołdujesz hasłom popularnym. Myśmy wiarą w ideały, a pogardą rzeczywistości zgubili się i będziesz miał zasługę, otwierając ludziom oczy.

Bernard spojrział na niego zdumiony.

— Zdaje mi się—przerwał—że musiano wam fałszywe dać wyobrażenie o tém, co pisałem. Niech mnie Bóg uchwota, abym miał zachwiać wiarę w ideały i targać się na nie. Ci, co mnie o tę dążność oskarżają, nie zrozumieli mnie.

Radzca popatrzył na mówiącego, podumał i nie nalegając, zamilkł. Razem przeszli jeszcze ulicę parę, tak że ich z sobą wiele osób widzieć mogło, a zdawało się że Twardzińskiemu chodziło o to, bo najludniejszą ulicą, pod rękę wzięwszy Bojarskiego, prowadził go z sobą.

Niespodziewane to zbliżenie się i pojednanie dla Bernarda starczyło, aby mu dać jaknajlepsze wyobrażenie o Emilu. Mając za zasadę ludzi zawsze widzieć i sądzić z dobrej strony, przebaczał mu przeszłość, tłumaczył ją i gdy powrócił do matki, pierwszą było rzeczą oznajmić jej o spotkaniu się z Emilem i wziąć go w obronę.

Bojarska nie sprzeciwiała się synowi i słuchała go pilnie. Nie rozumiała tego tak spóźnionego pojednania, podejrywała je, ale nie chciała go zatruc Bernardowi. Zamilezała.

O Klarze i bytności u niej nie mówił nic matce; wrażenie jakie wyniósł od niej było bolesne.

Szedł do niej w nadziei, że nieszczęście skłonięjszą ją uczyni do poprawy, do skruchy, do zupełnej życia zmiany. Znalazł ją przeciwnie zbolełą, ale razem złośliwą, mściwą i nawet umyślowo upadłą, niższą niżeli była za świetnych swych czasów.

Serce, na które rachował, nie otworzyło się, nie zmiękło. Łzy, których był świadkiem, wyciskał nie żal, ale uczucie gniewne, bunt przeciwko losowi. Nie przyznawała się do winy... Zrzucała wszystko na ludzi.

To pierwsze jednak niepowodzenie nie zraziło Bojarskiego; powiedział sobie, iż wielka zmiana w umyśle człowieka nigdy nagle spełnić się nie może. Wymaga ona czasu, stopniowego, powolnego działania, odrodzenia zawsze trudnego, które całą naturę musi przerobić do szpiku kości.

Ideał lat jego dziecinnych, nie bacząc na zszarzenie jakiemu uległ, dla niego, mimo wszystkich swych plam i zwiędnięcia, mimo odarcia z pierwszego blasku młodości—cudownem jakimś i niepojętem działaniem wyobraźni pozostał zawsze ideałem, co serce poruszał i pociągał ku sobie.

Bernard wstydził się swęj słabości, była ona niepojętą dla niego samego, ale oprzec się jej nie mógł. Obudzała w nim litość niezmierną, miłość szaloną, gorączkę pragnienia, aby w nią mógł wlać własną duszę i nowe życie. Widział w niej

uśpioną, od losu poniżoną i rozwinięciu się zatomowaną istotę nieszczęśliwą, w której spoczywały władze, co ją podźwignąć mogły i uszlachetnić.

Nie chciał wierzyć, aby ta śliczna Klarcia nie miała w sobie promyka Bożego, ziarna co kwiat wydać mogło.

Roił że teraz, zbliżając się do niej, łagodnie, powolnie, obchodząc się z nią jak z dziecięciem, wychowując nanowo — potrafi utworzyć to, czem ją widzieć pragnął. Z rozkoszą myślał o tém, jak poświęcając się dla niej, miał temu aniołowi straconemu przywrócić białe skrzydła. Było to zadanie trudne, ale godne, aby mu się poświęcić.

Cały plan postępowania miał już ułożony naprzód. Potrzeba było uspokoić ją, ukołysać, obudzić miłość pracy i cnoty, zwalczyć fałszywe pojęcia o życiu i używaniu, zmusić umysł do poważnego zapatrywania się na sprawy ludzkie. Bojarski chciał ją wyrwać z pod wpływu i otoczenia dawnych znajomych, ludzi płochych... Marzył, że wszystko to zwolna, ostrożnie, stopniowo, z wielką miłością braterską da się dokonać.

A Klara?... po wyjściu swych gości, wstała z kanapki, orzeźwiona i rozmarzona. Gdy nic lepszego się nie trafiło, myślała sobie, że potrzeba było pociągnąć choćby Bojarskiego, zjednać go sobie i zmusić do ożenienia. Gotową była nawet trochę się zmienić, aby go sobą nie zastraszyć...

trochę złagodnieć i choć pozornie zmienić nawyknięcia.—Potem zrobię z nim co zechcę—mówiła, pocieszając się na zakończenie.

Z drugiej strony przybycie radzcy wyobraźnię jęj ciągnęło na wcale inne drogi. Była młodą, mogła się podobać, zawracać głowy i w świecie wesołym znaleźć nowego protektora.

Zwierciadło, w którym się długo przeglądała, mówiło jęj że choroba i zmartwienia chwilowo tylko odebrały jęj wdzięk i świeżość. Nie miała lat trzydziestu... wszystko jeszcze było przed nią.

Bernard stał tylko w odwodzie, w najgorszym razie, bo z nim życie było dla nięj groźbą walki i wojny. Wolala aby pan radzca przez przyjaźń znalazł jęj co innego... bogatego rozrzutnika, któryby się dał uwikłać i związać.

— Ale tym razem—szeptała pocichu—nie będę tak głupią, jak z Francuzem, o nie!... Będę zbierała i myślała o jutrze i nie dam się tak łatwo wywieść w pole próżnemi obietnicami.

W życiu panny Klary był to dzień stanowczy szczęśliwego zwrotu ku nowym nadziejom. Świtała jęj znowu jutrzienka dni lepszych... Chciała być młodą i piękną, a wola kobiety nawet tego cudu dokazać może.

Stara służąca poznać jęj nie mogła, tak kilka godzin tych ją zmieniło.

Druga edycja rozpraw przyszła do skutku. Już samo to rzadkie na polskiej książce: „Wydanie drugie, poprawne i powiększone” — zaręczało pewne powodzenie. Bojarski z niepokojem w duszy oczekiwał, jakie teraz uczynią wrażenie.

Stary profesor Żardyński, odczytawszy rękopis, wyraził się o nim wątpliwie.

— Zbyt jesteś sumiennym człowiekiem — rzekł Bernardowi — ażeby cię ludzie ocenić należycie potrafili. Sami oni po większej części nicponie, a z siebie sądzą o innych. Będą czytali między wiérzszami rzeczy, których tam nié ma, których ty powiedzieć nie chciałeś. Nie uwierzą, abyś był całym i szeszéym. Prąd krytyki po piérwszych rozprawach jest ci nieprzyjazny, trudno go będzie odwrócić. Ale któż wie? dzieją się cuda! Lepiej może i sprawiedliwiéj osądzą, niż się spodziewamy. Aby działać na publikę, wierz mi, trzeba być zepsutym, chytrzejszym, większym komedyantem, niż ty jesteś.

Po ukazaniu się książki to tylko dało się naprzód uczuć Bojarskiemu, że ludzie od niego stornili, jakby się obawiali, aby ich o nią nie badał.

Nawet na te zwykłe pogadanki wieczorne, które dawniéj gromadziły wszystkich dobrych przyjaciół Bojarskiego, mało kto teraz przychodził. Muliniec się tłumaczył, że nie miał czasu, Larski unikał widocznie Bojarskiego, a Piotruś milczał.

Panna Henryka także wymawiała się nadzwyczajnym zajęciem, które może nie było prostą wymówką, bo ona jedna szczerze sprzyjała i wierzyła Bojarskiemu.

W jednym z dzienników, do którego wiadomem było że Piotruś Grochowski pisywał, ukazała się pierwsza wzmianka o drugim wydaniu, dwuznaczna, niemal uszczypliwa, zredagowana w ten sposób, że dziełu dopomódz i zalecić go nie mogła.

Styl zdradzał Piotrusia, poznał go Bernard; ale nikt nad niego nie szanował bardziej szczerých przekonań i wyrozumialszym nie był na bezwzględne wypowiedanie myśli. Nie miał mu więc wcale za złe tych słów kilku, choć przykre na nim uczyniły wrażenie.

Następnego wieczora Piotruś Grochowski, w swym wyszarzanym surduciku i chustce czarnej na szyi, zpod której bielizna nie wyglądała, bo jej podobno nie nosił—stawił się zawczasu, sam jeden.

Bernard chodził pośepny po pokoju i rad go powitał. Nie skarżył się na to, że go przyjaciele opuszczali i zanedbywali, lecz bolał nad tem.

Piotruś mierzył go oczyma milczący. Rozmowa zaczęła się od kilku słów obojętnych.

— Może ty mi co powiesz przynajmniej o tych moich biednych elukubracyach, o których zdania ogółu jakoś się dopytać nie mogę?— zagadnął go Bojarski, podając mu cygaro.

Grochowski uśmiechnął się, wykręcając usta charakterystycznie. Siadł przy stole, przysposabiając się do urządzenia sobie cygara.

— Ba! gdyby z tobą mówić można, mój ty Katonie — odparł Piotruś. — Ty jesteś jak z jednej bryły ukuty, a my, pospolici ludziska, składamy się z mieszaniny różnych żywiołów. Przygotuj się do tego, że tak jak brązowego posągu, coby przemówił nagle, i ciebie nigdy dobrze nie pojmą, nie oceniają, a ty znowu, słabostek ludzkich nie biorąc w rachunek, podziałać na nie nie potrafisz. byłeś stworzony na kaznodzieję, a nie na literata. Literat furfantem być musi, musi kłamać, oszukiwać, przypoehlebiać się, jednego nie dopowiedzieć, z drugim się wygadać, gdy co innego myśli, słowem...

Machnął ręką Piotruś.

— Jak tu mówić z tobą? Skłaniam głowę przed twą cnotą, ale nie poradzę na to, żeś stworzony na męczennika.

Bojarski się skrzywił.

— Nie mówisz mi, o co się pytałem — wybąkał. — Radbym wiedzieć nie jaką biedną, ułomną istotą ja jestem, ale co warto to, z czém wystąpiłem. Co ludzie mówią o tém?

— Troszczysz się o to, co mówią ludzie? — odparł Grochowski — ale naprzód czémże to są dla ciebie ci ludzie? Ogół, moje serce, jest głupi, po-

wtarza za panią matką pacierz—owce Panurga... Dbasz-że ty o niego? Naprzód nie czyta wcale, chwyta przeżute i dalej żuje. Wybrani zaś ludzie dzielą się na tyle kategorii, iż zdania ich muszą także być podzielone. Jedni ci będą zazdrościli, drudzy poczną cię lekceważyć, inni na tobie się popisywać z bystrością umysłu i zarzynać cię na ofiarę swęj miłości własnej. Naostatek... *numerus est infinitus*.

— Tak, ale wśród tych głosów coś jednak przeważać musi—odezwał się Bernard.

— Ks. Lamennais utrzymuje, że rozum i prawda przeważają i że przyznanie ogólne ma wielką wagę... Inni twierdzą, że tłum i ciżba wybierają zawsze za hasło co najgłupsze... a ja dalibóg nie wiem.

Bojarski stał, słuchał i zwijał papierek jakiś w rękę.

— Nie idzie mi o pochwały i o uznanie—rzekł—lecz o nauczenie się czegoś z krytyki.

Grochowski śmiać się począł.

— Naiwny jesteś i umrzesz dzieckiem.

— Powiedz-że mi przynajmniej własne swe o rozprawach zdanie—przebaknął gospodarz.

— To co innego—zawołał Grochowski.—Skłaniam głowę przed twą cywilną i literacką odwagą. Widzę i czuję, że piszesz co myślisz, a to jest rzeczą niezmiernie rzadką. Są precudowne ustę-



py w rozprawach, na które i przeciw którym podniosą się wszyscy głuptaszkwowie jako jeden mąż i cisną na cię kamieniem. Te rzeczy oceni przyszłość, gdy my ostygniemy. Są znowu rzeczy przedwcześnie powiedziane i rzeczy zapóźne. Dużo dobrego, nieumiejętność pisarska wielka, choć styl wyśmienity. Człowiek maluje się w książce z najlepszej strony, ale bożyszczem tłumu nie będziesz nigdy, bo mu kadzić nie umiesz, i nie zrozumieją cię, bo potakiwać im nie chcesz. Goniąc za prawdą, wpadniesz w studnię...

— Wolalbyś więc, abym, pędząc za fałszem, poszedł szerokim gościńcem? — spytał Bernard.

— Zrozumiemy się — odparł Piotruś. — Aby kogoś za nos prowadzić, trzeba naprzód umieć go wziąć za szacowny ten apendyks. Ty tego nie potrafisz nigdy. Pozostaniesz *vox clamantis in deserto*.

— Prawisz mi ogólniki — rzekł kwaśno Bernard — a jabym chciał ściślej sformułowanych zarzutów:

Grochowski śmiać się począł.

— Co u licha! — zawołał. — Nikt twoich rozpraw wyżej nademnie nie ceni. Ja im nie mam nic do zarzucenia. Czytałem je, jak smakosz zajada raki; ale niemniej powiadam ci, że twoja książka dla ogółu będzie zapieczętowaną. Nie rozumieją jej, będą się czepiali drobnostek.

— Zdaje mi się, że co było niejasnym i niedopowiedzianym a dwuznacznym w pierwszym wydaniu, w drugim...

— W drugim tak się wyjaśniło—odparł Grochowski—iż to, o co cię posądzano, dziś stało się pewnikiem.

— Mianowicie?—spytał Bernard.

— Że ty, czciciel ideałów, obwiniony jesteś o ostudzenie tych, co w nie wierzą, o napędzanie do przedjednania się z rzeczywistością.

To mówiąc, jakby sobie coś przypomniał, Piotruś śmiać się począł i długo śmiał się sam dla siebie. Dopiero zdumione wejrzenie, które w niego wlepił Bojarski, zmusiło go do jaśniejszego wytłumaczenia się.

— Jak ludzie są rozmaici, na czym opierają i czym popierają swe sądy, tego najlepszym dowodem to, że w mieście jako argument przeciw tobie służy, iż cię widziano *bras dessus, bras dessous* z panem radcą Emilem. A ponieważ nikt nie jest jawnie przedjednanym i ostygłym nad niego, ludzie ztąd wnoszą, iż się musicie godzić ze sobą.

Bojarski stał, z początku niedobrze rozumiejąc, o co chodziło.

— Wiiesz i znasz mój stosunek do pana radcy, który pierwszą całą koszulę w życiu otrzymał odemnie—rzekł, uśmiechając się. — Był w całym

znaczeniu tego wyrazu łobuzem, gdym mu dał przytułek. Długo potém, lata całe, nie znaleźmy się. Niedawno podał mi rękę. Widziałem w tém uczucie poczciwe. Miałem ją odtrącić?

Grochowski nie odpowiedział nie długo; wkońcu dorzucił:

— Nie idzie o to jak miałeś postąpić, ale co ludzie mówią i jak wnioskują.

W téj chwili weszła panna Henryka. Gospodarz pośpieszył ku niej, ale po przywitaniu zimném, które mu dało do myślenia, nie zatrzymując się w saloniku, spytała o profesorową i poszła do niej, jakby coś nadzwyczaj pilnego miała.

Ze zwykłych gości nie zjawił się tego wieczoru nikt, oprócz dobrze podchmielonego Skórki.

Wódz Cyganów wszedł pompatycznie, jakby łaskę robił Bojarskiemu, zaszczycając dom jego bytnością swoją, rzucił się na kanapę, wyciągając na nią nogi i dwa cygara z leżących na stoliku schował do kieszeni, a trzecie zapalając, odezwał się od niechcienia do gospodarza:

— Spodzielwam się od pana dostać egzemplarz tych tam rozpraw, o których po mieście gadają tyle! he?

Bojarski skinął tylko, iż służyć mu będzie.

— Ja książek nie kupuję—dodał Skórka—bo to jest ciężar, a mało która tego warta, żeby się

z nią nosić... Cóżes pan tam popisał, że tak wrzeszcza?

— Wrzeszcza?—spytał Bojarski—nie wiedziałem o tém.

— Gadaj zdrów!— rozśmiał się Skórka.—Już ciż chciałeś tego, to jawna rzecz! Są tacy złośliwi, iż widzą w tém rachubę na dobrą posadę, która nie powinna go minąć.

Bojarski zbladł jak ściana, usta mu zadrgały, słowo w nich zamarło. Skórka postrzegł, że za daleko poszedł, i poprawił się.

— Rozumię się, że to są potwarze, ale głupi to powtarzają. Co do mnie, chcę sam się przekonać, co jest tak monstrualnego w tych rozprawach, aby ludzie mieli prawo ciągnąć takie wnioski.

Struty, zmieszany, Bernard upadł na krzesło, a wtém panna Żabska wyszła od matki jego do saloniku. Widok rozłożonego na kanapce Cygana, którego znieść nie mogła dla jego cynizmu, zmusił ją szybkim krokiem oddalić się w przeciwną stronę pokoju.

Bojarski zbliżył się do niej. Spojrzała mu woczy długo i głęboko, z pewnym politowaniem, i milcząc, ścisnęła jego rękę.

— Mój ty biędny męczenniku—szepnęła. -- Wielebym miała do mówienia z nim, ale przy Haburskim słowa mi zamiérają na ustach. Jak go mozesz przyjmować?

Bernard ruszył ramionami.

— Jestem tego zdania — rzekł — że nikogo odpychać, wyłączać, banitą czynić się nie godzi. Zagradza mu to drogę do powrotu, do poprawy, do nawrócenia.

— Pan masz pasyą nawracania? — spytała Żabska.

— Ale mi się ono nie udaje — odparł Bojarski. — Szczęśliwe jednak czy nie, próby nie zwalniają od obowiązku. Znasz pani moje przekonania. Upięram się widzieć w ludzkości całej jedną wielką rodzinę; zdaje mi się więc, że brat brata nigdy nie powinien opuszczać.

— Dziś się śmieją z tych utopij — odparła panna Henryka. — Ja je szanuję; ale w braterstwie musi być przecie pewne stopniowanie.

— Jak w rodzinie dalsi i bliżsi krewni, ukochani i obojętni; niemniej obowiązek solidarności i braterstwa rozciąga się na całą rodzinę.

— Piękne marzenia — rozśmiała się panna Henryka. — Przeczuwam że nowa teoria społeczna, która przyjsć musi po tój dawnój XVIII wieku, braterstwem poczętój a we krwi utopionój, będzie zupełnie przeciwną i cała się oprze na najciaśniejszym egoizmie.

— Byłoby to bardzo smutném — rzekł Bernard — choć jest możliwém, kto wie, nawet konieczném, dla wyprzedzenia nowych myśli, nowych

ciągle pojęć, któremi ludzkość się karmić musi. Z tém wszystkiém myśmy się w blasku tych ideałów urodzili i im wierni powinniśmy pozostać.

Panna Żabska przeszła się parę razy milecząc po pokoju i spoglądając uważnie na Bernarda, który jęj towarzyszył w tęg przechadzce. Miała zwyczaj zawsze prawie trzymać ołówek w rękę, a zamyśliwszy się, wkładała go w usta. Był to nałóg nauczycielski, mającęg zawsze coś do notowania.

I teraz trzymała ten ołówek długo w rękę.

— I pan, idealista—rzekła wkońcu, obracając się ku niemu—pan, dziwną sprzecznością, któręj ja sobie wytłumaczyć nie umiem, w swoich rozprawach zdajesz się chcieć ogień gasić i ostudzać?

— Ja?—zapytał Bernard. — Stało się to chyba bez męj wiedzy i woli, nieprzewidzianym skutkiem męj nieumiejętności w użyciu słowa. Pani więc także mojęj biędnej książce to zarzucasz?

— Być może, iż czytałam ją pod wrażeniem tego, co o nięj słyszałam, i to oddziałało na moje zdanie—rzekła Henryka.

Podano herbatę, weszła profesorowa i wszyscy goście zebrali się około stolika. Skórka Haburski zdaje się oczekiwał tylko na książki i ten posiłek. Dolał sobie dobrze rumu do herbaty, tak iż zapach jego rozszedł się po całym pokoju, zaczął zapijać i zajaadać, otarł potęm usta, wziął za czapkę i po-

żegnał się, śpiesząc zapewne do jakiejś dziury, w której mógł bezkarnie utraktować się szpagatem.

Po odejściu jego wszystkim się lżej zrobiło na sercu. Za odchodzącym, gdy już był we drzwiach, panna Henryka przesłała krzyżyk na drogę.

Żardyński też ścigał go oczyma.

— Proszę mi tu człowieka wytłumaczyć — dodał po chwili namysłu. — Ten pijanica, cynik, brutal, ta po szynkach walająca się istota, jest autorem kilku przeslicznych piosnek, technących wiosną, młodością, pełnych rzewnego uczucia. Oprócz tego znam ułamki jego poematu na ludowych podaniach opartego, w których znakomitego czuć kunsztmistrza. Proszę mi to wytłumaczyć.

— To się wyklada tém — przerwała panna Żabska — że istota najobfiej wyposazona od Boga może się zwalać i zezwierzęcić. Piosnki i poemata należą do przeszłości; myśmy patrzyli na terażniejszość, wcale do niej niepodobną.

-- Przepraszam! — zawołał profesor. — Poemat się dopiero pisze, jest nieskończony... Strach ogarnia myśleć, ile w jednym człowieku sprzeczności pomieścić się może! Biędna, biędna istota!

— Której przystała pokora — dokończył Bojarski.

Rozmowa, po usunięciu się Skórki, żywiej i swobodniej rozwijać się zaczęła. Piotruś, panna Hen-

ryka, profesor, widząc Bojarskiego przybitym i znękanym fałszywemi sądami o jego dziele, usiłowali mu wmówić, że powinien był w innym rodzaju sił swych próbować.

— Nie jesteś jeszcze dosyć wyżytym, ostyglým, panem siebie, aby się wdawać w rozprawę—mówił Żardyński.—Dlaczego nie rozpoczęłeś od ogłoszenia swojego poematu?

Bojarski się zarumienił.

— Bo to są tylko fragmenty i epizody, co wam łaskawie podobało się nazwać tém imieniem, do którego one prawa nie mają.

— Ja także głosuję za panem profesorem—dodała panna Henryka.—Czytałeś nam pan wyjątki, znam je, są prześliczne. Inaczéj wcale z nichby pana sądzono.

— Nie chciałem dawać fragmentów — odparł Bojarski—marzyłem o zbudowaniu z nich formnój, pięknej całości.

— Dumą zgrzészyles — odparł Żardyński — gdyż ściśle biorąc, owych budowł o liniach klasycznych, nieposzlakowanych w literaturze staréj i nowéj prawie niéma... Wszystko co jest najpiękniejszego, z fragmentów się składa. Iliada i Odysea urosły z połamanych kawałków, które niezawsze przystają do siebie.

— A Eneida?—zapytał Bojarski.

Żardyński skrzywił się nieco.

Od kolébki do mogiły t. II.

3

— Arcydzieło budowy, elegancyi pełne, ale za-
to lodowate, zimne i sztywne — szepnął, głowę spu-
szczając.

— Jako przyjaciele — wtrąciła panna Henry-
ka — musimy, nieprawdaż, skłonić go do tego, aby
koniecznie teraz wydał choćby ułamki swojego
poematu. Oddziałają one na sąd o rozprawach
i otworzą ludziom oczy.

Piotruś Grochowski milczał, spożywając podo-
bno trzecią już bułkę z masłem i szynką, ale oczy
jego świecące dowodziły, że brał udział duszny
w rozmowie.

— A wy co na to mówicie? — potrącając mileżą-
cego, zapytał Bojarski.

— Nie mówię nic dlatego — odparł Piotruś, że
nie jestem pewny, czy poemat oddziała na sąd
o rozprawach, a mógłbym się o to założyć, iż roz-
prawy na poemat oddziałają.

Skrzywiła się panna Henryka.

— Pan jesteś pesymistą! — zawołała gorąco.

— I wolę nim być, niż ciągle się rozbijać o za-
wiedzione nadzieje — rzekł Piotruś. — Ale nie mam,
uchowaj Boże, nie przeciwko wydaniu poematu.
I owszem... Znam epizody z niego, które są arcy-
dziełami.

Rozprawiano tak do późna, a gdy po rozejściu
się gości Bojarski pozostał sam z sobą i wszystko
co słyszał w duszy począł rozpamiętywać, aby ja-

kiś z tego ostateczny wniosek wyciągnąć — znalazł się wobec tak podzielonych zdań, iż wcale się nie czuł pewniejszym jak postąpić, niż był przed ową przyjacielską naradą.

Sięgnął na półkę po teczkę, w której spoczywały luźne karty, mające złożyć owę marzoną całość, siadł i począł czytać.

Oddawna już nie miał w ręku swego poematu, a ostatnie wrażenie, jakie mu pozostało po nim w duszy, było upokorzeniem i zniechęceniem: wydawał mu się słabym.

Zdziwił się wielce, gdy teraz, po wielu miesiącach zapomnienia, odczytując nanowo, znalazł swój niedokończony utwór w wielu miejscach pięknym, wogóle niepospolitym i życia pełnym.

Przyczyną tego było, że ideał kompozycyi, jaki miał w duszy, zatarł się i zbladł, a to co pod jego natchnieniem stworzył, zastąpiło go. Uradowany, rozgrzany, doczytał do końca fragmentu. Czuł się usposobionym do wykończenia, do złożenia części, do wydania.

Dobrze po północy skończył czytanie i byłby zaraz się wziął do dalszej pracy, tak się czuł natchnionym, ale matka, która czuwała, przyszła mu oznajmić późną godzinę i napędzić go do łóżka.

Nazajutrz wstawszy, znalazł jeszcze tekę na stoliku i mając chwilę wolną, powrócił do niej; ale dziwną sprawą jakiegoś wpływu godzin i usposo-

bień, to co wczoraj w nocy tak mu się wydawało piękném, dziś znowu niemal słabe i mierne wyglądało.

Z niechęcią jakąś zarzucił teczkę na półkę i poszedł do zwykłych swych lekcyj. Po odbyciu ich tyle miał czasu wolnego, iż mógł pobiedz zobaczyć, co się z panną Klarą działo. Myśl nawracania jej nie opuszczała go. Szedł rozmarzony, z bijącym sercem do dworku tego, z którego obiecywał sobie wyciągnąć nieszczęśliwą, tak mu ulica, dom, sąsiedztwa niemiłemi były.

Zbliżając się ku zajmowanemu przez Saską mieszkaniu, dostrzegł w niém naprzód tę zmianę Bojarski, iż okna, z firanek dawniej оголоcone, teraz już zostały w nie opatrzone. Musiały one być pozostałością przeszłości, gdyż zbyt wspaniale zza szyb niebardzo foremnych wyglądały.

W dużym pokoju, w którym po raz pierwszy przyjęła go Klara, wśród nieładu, nieporządku desperackiego, porozrzucanej odzieży, skupionych bezmyślnie sprzętów — z wielkiem podziwieniem Bernard znalazł teraz urządzenie prawie eleganckie, a przynajmniej z pretensją pewną obmyślane. Połowa niepotrzebnych rzeczy znikła, a to co pozostało, poustawiano tak, aby pewna harmonia panowała na pierwsze wejrzenie. Kanapa wytarta stała w cieniu, stół przed nią osłaniał dosyć świeży kobierczyk, dywan, choć zużyty, pod nim

nie raził. Na półkach było trochę fraszek, albumy z fotografiami od niechcienia położone dla gości. W kącie zamknięty fortepian, około niego wazoniki z kwiatami, bukiety w porcelanowych naczyniach, na ścianach kilka ram złożonych... izbę tę, niedawno podobną do składu starzyzny, czyniły teraz bardzo przyzwoitą i znośną.

Trzeba się było dobrze przypatrzeć, aby odkryć w niej pewne rażące zestawienia rzeczy, które tylko z konieczności się z sobą spotykają.

Małeńkie, bardzo kosztowne biurko, *boule*, które tylko dlatego nie zostało spięnięzone, iż Klara знаła jego wartość, a za bezcen pozbyć się nie chciała—ocięrało się tu o komódkę starą mahoniową, obłupaną; zegar przepyszny brązowy miał po bokach dwie obrzydliwe szklanki niebieskie na kwiatki; ale na pierwszy rzut oka nie dawały się dostrzedz te kontrasty.

Klary nie było w saloniku, prowadziła wojnę ze starą służącą, która ją zdradzała, sprzedawała Żydom, okradała, ale pomimo to pozbyć się jęj było trudno. Należały się jęj zasługi, wiedziała wiele rzeczy, mogła szkodzić. Rozstawały się z sobą ciągle i... nie rozchodziły.

Stuknięcie drzwiami wywołało Klarę z drugiego pokoju.

W krótkim czasie zaszła w nią szczęśliwa metamorfoza.

Włosy były uczesane bardzo starannie, ranny ubiór, choć może nie ostatniej mody, był świeży, włożony z myślą, aby przystał do figury i do twarzy.

Rozpaczliwe to zaniedbanie, które taką litość obudziło w Bernardzie pierwszym razem, znikło, twarz nawet odżyła młodością, lekkim się zafarbowała rumieńcem, wydawała mniej wychudłą. Rączki białe znowu zdobiło kilka pierścionków i ładne, świeże mankietki. Szlafroczek ranny, koloru kawy z mléką, przybrany białymi koronkami i wstążkami niebieskimi, leżał na zręcznej figurce jak ulany. Trzewiczki nie dawały się domyślać, że jedna z małych nóżek od owego nieszczęsnego wieczora była odrobinę krótszą, a Klara tak umiała chodzić, iż poznać tego nie było można.

Zobaczywszy Bojarskiego, z wesołym uśmiechem podeszła ku niemu.

— A! witam mojego protektora — odezwała się z odcieniem małym szyderstwa. — Już od dwóch dni go wyglądałam. Widzisz pan, urządziłam się nawet przyzwoicie na jego przyjęcie. Znośnie teraz u mnie wygląda, nieprawdaż? Widzisz pan, że ja nawet z takich rupieci i niedobitków umiem coś sklęić.

To mówiąc, siadła na kanapie z pewnym wdziękiem, usiłując się umieścić naprzeciwko Bernarda,

któremu wskazała krzesło. Nim miał czas jej odpowiedzieć, ciągnęła dalej:

— Razem z panem, doprawdy, wstąpiła na ten próg nadzieja! Powrócą dobre czasy... tak! głupią byłam, żem desperowała.

— Ale cóż panna Klara nazywa temi dobrymi czasami?—zapytał nieśmiało Bojarski.

Wlepiła w niego oczy, zdumiona.

— Alboż się o to pytać potrzeba?—odparła.— Dobre moje czasy były tam w pałacu, gdyś mnie pan odwiedził... pamiętasz?

— Ale one zakończyły się smutnie—rzekł Bernard. — Wierzaj mi pani, potrzeba teraz innych szukać i wejść na drogę inną.

Zniecierpliwiła się panna Klara i rzucając chustkę na stół, zawołała:

—No cóż robić? co? powiedz pan! Mówiłeś pan pracować; ale ja nie mam ochoty do pracy.

Załamala ręce.

— Ja nie jestem do niej stworzoną!

— Niema na świecie człowieka, coby do niej stworzonym nie był — rzekł spokojnie Bernard.— Pani jesteś tylko od niej odwykłą.

Klara się zamyśliła i poruszyła ramionami parę razy. Coś mówić chciała niby i zamilkła nagle; tylko chusteczkę ze stołu ściągnęła, zmiąwszy ją w rękę.

— Jak pan myśli — rzekła — gdyby wistocie

próbować dostać się do teatru? Radzca podał wcale niezły projekt. On jest dobrze z generałem, udałoby się może za jego protekcją.

Wlepiała oczy w Bojarskiego, który długo pozostał milczącym.

— Do teatru — rzekł — potrzeba powołania, szczególnego talentu, naostatek i stosownego przygotowania się.

— Pedanterya! — przerwała Klara. — Któraż kobieta nie jest aktorką?

— Ale pani sama doświadczyłaś poczęści, co się dzieje za kulisami — dodał Bernard. — Tcz samo co w balecie: rywalizacye, intrygi, znajdziesz pani w komedyi i dramacie.

— Właśnie to dobrze, wiem co mnie czeka i nie będzie niespodzianki — zawołała Klara.

To mówiąc, podniosła się z kanapki, zaczęła czegoś szukać pod poduszką, która leżała na niej, dobyła papier zmięty, rzuciła okiem na niego i wysunęła się, nic nie mówiąc, na środek pokoju. Tu przybrała komiczną postawę, zmieniła wyraz twarzy i znienacka zdumionemu Bojarskiemu zaczęła deklamować ułamek z Dziewicy Orleańskiej Szyl-lera.

Deklamacya, z przesadnym patosem, była do śmieszności niedołączną i świadczyła o fałszywem zupełnie pojęciu roli, ale fizyognomia dziewicy-he-

roiny, gdyby milezała, mogła zachwycić malarza i rzeźbiarza.

Postacią instynktowo, nie myśląc, umiała być tą bohaterką, której mowy, uczuć wcale nie rozumiała.

Plastycznie śliczna dziewczica orleańska, w słowie była jej karykaturą.

Bojarski z przykrością słuchał. Spodziewała się zachwytu; lecz on spuścił oczy i pozostał zimnym.

— No, a cóż?— zapytała nagle. — Kłaśnij-że pan, pochwal, zachęć!

Westchnął Bernard.

— Jesteś pani bardzo ładną dziewczicą orleańską—rzekł—ale, na miłość Boga, nie deklamuj! Tak ta prosta wiejska dziewczeczka, natchniona przez Boga, aby przysłała w pomoc królowi i ojczyźnie, mówić i deklamować nie mogła. Pomyśl sama: chłopka od trzody wprost powołana uciskiem i klęskami do pochwylenia chorągwi w imię niebiańskich zastępów! Słowo jej musiało w sobie mieć coś z biblijnej prostoty, coś surowego i szorstkiego.

— A kiedy jej te słowa w usta włożono — zarzuciła Klara, ciskając precz papier od siebie.— Cóżem ja winna temu?

— Wina może nie jest wyłącznie pani—rzekł Bernard;—ale to samo, co panna Klara tak pom-

patycznie, tak napuszyście deklamowałaś, gdybyś się starała odczuć inaczej, wygłosić w sposób prostszy, surowszy, a silniej duszą napojony... toż samo wydałoby się i brzmiało inaczej.

Saska długo zrozumieć nie mogła, czego chciał od niej Bojarski; skrzywiła się.

— To są już jakieś wymysły, których ja nie pojmuję. Oto poprostu powiedz pan, że mnie nie chcesz widzieć na teatrze! POCO to w bawelnę obwijać?

— Gdybyś pani talent miała...

— Więc go nie mam?—podechwyciła obrażona, rzucając się na kanapkę.

— O tém ani ja, ani pani teraz wyrokować nie możemy. Talent potrzebuje ukształcenia, z dnia na dzień dobyć go z siebie nie można.

— To niechże licho weźmie!—zawołała Klara, nogą tupiąc. — Będę musiała rok z głodu mrzeć, nim mi powiedzą czy mam talent, czy nie mam. Czasu na to mi braknie.

— Nie gniewaj się pani na mnie—rzekł Bernard łagodnie —ale nie chciałbym, abyś się ludziła. Powoli, cierpliwie iść potrzeba do celu, a ja w teatrze go nie widzę.

— Więc w czém? — zagadnęła zniechęcona i gniewna.

Odpowiedź była nader trudną; gość skłonił głowę.

— Będziemy razem szukali—odparł po namyśle. — Nie możesz pani wątpić, że jej dobrze życzę, że jej przyszłość radbym tak zabezpieczyć, aby na nową katastrofę narażoną nie była.

Klara ostygła trochę i wyciągnęła rękę.

— Ja wierzę w przyjaźń pana—rzekła. — Ale zlituj-że się, nie wystawiaj mnie na zbyt ciężką próbę! Ze mnie inną niż jestem trudno będzie zrobić.

— A gdyby to było koniecznością i warunkiem dla zabezpieczenia się na przyszłość?—odparł Bernard.

Klara, skrzywiona, zasmucona nagle, nie już nie odpowiedziała.

Z następnych kilku słów dowiedział się Bojarski, że wczynie jego nieobecności parę razy odwiedzał Klarę pan radzca, i to mu się nie podobało. Z półsłówek domyślał się, że rady tego drugiego przyjaciela były w zupełnej sprzeczności z tem, co on chciał wmówić Klarze. Przyjmowała też je daleko chętniej i dowodziła, że radzca istotnie praktycznym jest człowiekiem.

Spodziwała się robić znajomości, czarować ludzi, zdobyć sobie kogoś i.... być rozumniejszą, ale zawsze na tem samym polu, na którym tak nie-szczęśliwa spotkała ją katastrofa.

Nawracanie szło tak tępo, iż nawet poczętém go nazwać nie było można. Bojarski wyszedł

smutny, ale nie zniechęcony, nie zrzekający się tego, co nazywał obowiązkiem, a w czém wiele też słabości było, do której przyznać się nie chciał.

— Miałaby na wieki być zgubioną i ten piękny kwiat przeznaczony, aby go ludzie zdeptali?

Stara profesorowa, codzien z trwogą wpatrując się w twarz syna, znajdowała na niej coraz wybitniejsze ślady walki, której nieszczęśliwe skutki Bernard starał się taić przed nią.

Początki tego nowego życia zdawały się nie świetną, skromną, ale znośną egzystencją, która się powinna była czasem polepszyć.

Nadzieje zupełnie zawiodły: właśnie to, co miało Bojarskiego podnieść, wyrzuciło mu największą krzywdę.

Pierwsze jego rozprawy, którym fałszywe nadano znaczenie i cel przypisano, jakiego nie miały, zachwiały jego dobrą sławę. Powtórne wydanie ich uważano za niezręczne wycofywanie się, do którego został zmuszony. Podejrzowano jego dobrą wiarę. W oczach ludzi, patrzących na niego zdaleka, nie był już tym czystym i niepokalanym, za jakiego niegdyś uchodził.

Stosunki z radcą Emilem zdawały się potwierdzać te domysły.

Bronili go ci, co bliżej znali i piękną duszę ocenić umieli, ale to przypisywano szlachetności ich i opinia raz powzięta, nie dawała się zmienić.

Na kilku pensyach trwożliwe o sławę ich panie zawahały się z zatrzymaniem profesora, którego posądzano o przekonania niezgodne z temi, jakie większość wyznawała. Liczba godzin zmniejszała się. Dostyc było przykładu jednej z przewodniczek zakładów, aby inne poszły za nią. Za właścicielkami pensyj poszli inni; wypowiedano pod różnemi pozorami lekcye, a następowało to po sobie tak żywo, iż Bojarski, nieprzygotowany, znalazł się w położeniu nader przykrém.

Przed matką nie mógł i nie chciał się przyznać; robił więc długi, nie wiedząc, co począć. Nie opuściło go męztwo i gotów był cierpieć a walczyć, nie tracąc ducha, ani się rzucając do jakichś awanturnicznych środków podźwignięcia w opinii u ogółu—ale matka, matka!... Sądził, że ona nie wiedziała jeszcze o niczém, nie domyślała się coraz gorszego położenia.

Tymczasem biedna staruszka płakała po nocach, bo instykt macierzyński obdarzył ją jasnowidzeniem.

Nie umiała sobie wytłumaczyć przyczyn, które ubóstwianego, szlachetnego, dobrego Bernardka strąciły z tój wyżyny, na której stać był godzin; ale czuła i wiedziała, że szło źle i coraz gorzej,

że ludzie się usuwali, że brakło zajęcia, że wkrótce groził niedostatek.

Nie miała się zwierzyć komu i wstydziła się odkryć tę swoją boleść, tłumila ją w sobie i cierpiała okrutnie. ¶

Z uśmiechniętą jednak twarzą, z obmytemi pończach oczyma wychodziła do niego, udawała wesołą, starała się go zabawić, natchnąć meztwem.

On tak samo przymuszał się dla matki, jak ona dla niego; ale to długo trwać nie mogło.

Zagrożony, nie umiejąc poradzić sobie, Pernard poszedł w ostatku raz do Żardyńskiego, obrachowawszy się tak, aby go zastał samego, gdy żona w kościele była na nabożeństwie.

Nie wahał się otwarcie przed nim wyznać, co mu groziło.

Był przekonany i nie mylił się w tém, iż profesor mu sprzyja szczerze, a w duszy jego czytać umie.

Zastał starego jak zawsze, nad książką, zatopionego w przeszłości i pożyczającego sobie życia od umarłych.

Uścisnęli się milezący. Profesor, spojrzawszy na bladą i smutną twarz gościa, domyślił się, iż pewnie mu się z czém zwierzyć przychodzi.

— Przerwałem kochanemu panu czytanie miłe—rzekł Bojarski—nad czém témbardziej ubolewam, iż ja mu nic miłego nie przynoszę, ale przy-

chodzę się poskarżyć, jak bezsilna istota, która sobie sama rady dać nie umie.

— No, cóż to znowu— zapytał Żardyński— o co idzie?

— Położenie moje coraz się staje przykrzejszém— odezwał się Bernard.— Nie mówiłem o tém nikomu, ale przed panem przyznać się mogę. Ludzie odemnie się usuwają, jakaś potwarz mię ściga, lekeye tracę. Jakiś niepojęty dla mnie wpływ, posądzenie o winę, której nie popełniłem, odstrasza odemnie. Gdybym był sam, obszedłbym się najmniejszém, nie skarżył i szedł dalej, jak mi wskazują przekonania, ale idzie mi o spokój i szczęście matki.

— Jest-że tak źle?— spytał profesor.

— Istotnie z lekcyj nie pozostała mi ani część trzecia— rzekł Bojarski— a nowe nie przybywają; codzień prawie ktoś mi dziękuje.

Żardyński zadumał się głęboko.

— Niepocziwi czasem i lekkomyślni są ludzie— odezwał się po chwili. — Dla przyjemności pochwalenia się ze swym zmysłem krytycznym, gotowi poświęcić przyjaciela i zaprzecić się prawdy. Połowa tych, co twoje rozprawy osądzili tak surowo, szukając w nich tendencyj szkodliwych, sama nie wierzy w to, co prawi. Inni, nie chcąc się mniej bystrymi od nich pokazać, potakują. Ale cóż przeciwko temu począć? Otwarta polemika

jest zupełnie niemożliwą, a gdyby nawet się nią stała, nie radziłbym jęj. Przyplątałyby się do niej namiętności, oburzenie i.... skutek byłby wątpliwy. Widzę jedno tylko lekarstwo: trzeba wydać poemat, a w nim wybitnie, gorąco zamaniestwować te uczucia, o których brak ludzie cię pomawiają.

— Szanowny profesorze - przerwał Bojarski— ale nie byłoby to profanacją poezyi, gdybym ja tój królowej dał miotłę w rękę i kazał jęj śmiecie wymiatać? Zresztą nie potrafiłbym nawet świętego języka poezyi użyć do tak poziomego, osobistego celu. Po rozprawach, to, co je miało wyjaśnić, nie przyczyniło się wcale do zmiany opinii o mnie; poezya kazałaby posądzać mnie tylko o wyzyskiwanie talentu dla samolubnego celu.

Żardyński myślał znowu chwilę.

— Z mojej strony—rzekł—wierzaj mi, gardłuję za tobą, staczam walki, robię co mogę. Potrzeba mieć cierpliwość i mężstwo!

Podał mu rękę.

— Pani Karolina, właścicielka pensyi, jest moją starą przyjaciółką, jutro idę do niej.

— Wypowiedziała mi lekcyę, a moja miłość własna nie dozwoli już ich przyjąć.

— A! dajże mi z nią pokój! Ona cię musi przeprosić—odparł Żardyński.—Posłucha mnie. Nieporozumienie się zagładzi i zapomni. Jesteś du-

mny i nie mogę ci tego mieć za złe, że czystym się czując, kłaniać się nie chcesz, ale dla samej matki twój godzi się uczynić jakąś ofiarę.

Zmilczał Bojarski.

— Proszę was, profesorze—dodał po namyśle—nie nalegajcie zbyt—dajcie mi raczej ogólną radę, jak mam postępować sobie.

Stary ramionami poruszył.

— Na co ci się przyda rada moja, gdy ty jej z pewnością nie posłuchasz?—rzekł, powoli cedząc słowa.—Szanuję cię, podziwiam, ale przy twych zasadach twardych, miłości prawdy, a wstręcie do półśrodków, niema sposobu nie zrobić na świecie. Nie chcesz się poniżyć, słabostkom ludzkim ulegając, nie umiesz pochlebiać nikomu, nie masz zręczności, bo nią pogardzasz—więc musisz być męczennikiem. Poradziłbym ci zbadać chwilę i to czego teraz łakną czytający ludzie; poradziłbym uderzyć w ten ton, który rozbrzmiewa najgłośniej, krzyczyć tak, abyś przekrzyczał drugich. Ale możesz-że ty to uczynić?

— Nie—rzekł stanowczo Bojarski. — Więcej powiem profesorowi: chwilowego usposobienia ogółu, choć piękne jego pobudki uznaję, nie widzi mi się dziś godziwem potęgować, gdy raczej opanować je, uśmierzyć i w pewne kluby ująćby należało.

— No, to cóż ja ci powiedzieć mogę? — przerwał Żardyński. — Nie mam dla ciebie ratunku...

Załamał ręce.

— Jednakże—odezwał się po małym przestanku—pominawszy prądy, dążności i t. p., poemat twój, który ty nazywasz złożonym z fragmentów, ma piękności wielkie. Niepodobna, aby się na nim nie poznali ludzie. Być może iż poeta przejedna umysły i pogodzi z krytykiem. Potrzeba wydać poemat, jaki on jest, uczynić to prędko, a gdy się ukaże, dopilnować się, aby pierwsze o nim sprawozdania podniosły go, jak zasługuje.

Bojarski zbladł.

— Jakto! jakto! panie profesorze; jabym miał starać się i wpływać na sąd o moim poemacie? Spaliłbym się ze wstydu, gdybym miał uczynić choćby najmniejszy krok, uwłaczający powadze krytyki i godności poety.

Śmiać się zaczął stary Żardyński.

— Jesteś naiwny jak dziecko!—rzekł. — Największe arcydzieło czasem, wyszedłszy niewporę i w niepomysłnych warunkach, zabite zostaje na długie wieki tém, że nie miało rozgłosu. Jest rzeczą pewną, że wiele z tych owoców ludzkiej pracy, które znalazły powszechnie uznanie, zawdzięczają je chwili pomyślniej, w jakiej jna świat się ukazały. Niewątpliwie głupia całkiem książka nie da się sztucznie arcydziełem uczynić, ani dzieło ge-

niuszu zabić milczeniem; ale nawet bardzo znakomite produkuje marnieją, gdy się nie umie ich podnieść i nie postara o pierwsze wrażenia. Później najzjadlejsze polemiki już tylko wrzawę i sławę powiększają. No, ale drukuj poemat—dokończył—ja mu będę ojcem chrzestnym i biorę na siebie, że dopilnuję panów recenzentów.

Bernardowi tak przykrą była rozmowa w tym przedmiocie, że ją natychmiast przerwał, okazując zniecierpliwienie. Z Żardyńskim dłużej nie było co rozprawiać. Rozdrażniony wyszedł od niego Bernard i wprost zawrócił do domu.

Matka czekała na niego w progu, z listem w ręku. Na widok koperty, Bojarski, który od niejakiemu czasu same niepomysłne odbierał wiadomości, zadrżał, chociaż twarz profesorowej nie zdawała się nie zapowiadać groźnego.

— Od radzcy Emila — rzekła, podając synowi dużą i piękną kopertę.—Posłaniec mówił, że odpowiedź jest pilna.

Bojarski otworzył z ciekawością list i znalazł w nim tylko zaproszenie, aby tegoż dnia jeszcze widział się z panem radzcą, we własnym interesie.

Dodatek ten zdumiał wielce Bernarda, gdyż interesów nie miał i ani się mógł domyślać, o co chodziło.

Obrachowawszy się z godzinami, poszedł natychmiast po obiedzie.

Bojarska tymczasem, z jakąś nadzieją w sercu, na intencją syna odmawiała modlitwy. Obiecał jej wprost powrócić do domu i wytłumaczyć tę zagadkę.

Parę godzin bijąc się z myślami, niespokojna czekała profesorowa na syna, a gdy wkońcu usłyszała kroki, nogi pod nią zadrżały i nie śmiała wyjść przeciw niemu.

Bernard też szedł jakoś powoli i nie śpieszył. Zatrzymał się w progu z wymuszonym na ustach uśmiechem, zbliżył do matki, pocałował ją w rękę, wziął krzesło i nierychło mówić zaczął.

— Czegóż radzca chciał od ciebie? — zapytała profesorowa z trwogą.

— A! małej rzeczy—przysługi, czegoś co mu się zdawało że ja napisać potrafię. Ale—dodał, jękając się, Bernard — nie czułem się na siłach i nie mogłem uczynić tego, czego sobie życzył. Lękam się, aby go to nie zraziło, aby się nie pogniwał; ale ty mnie znasz, matusiu, syn twój i syn tego ojca, którego my tak oboje kochamy, dla osobistój korzyści nie może przeciwko przekonaniom swoim nic uczynić. To, czego radzca żądał, nie zgadza się z mojemi—odmówilem.

Westchnął Bojarski. Spojrzeli sobie w oczy; profesorowój powieki łzami były nabrzmiałe.

— A! mój Bernardku— rzekła — wiem, że cokolwiek ty uczynisz, to zawsze z pobudek najszla-

chetniejszych wypłynię. Ale zważ, dziecko moje, czy... czy... nie jesteś zasuwym? Lękam się o ciebie. Jakoś ci niebardzo się wiedzie, męczysz się, pracujesz, mizerniejesz, a ludzie cię zrażają.

Bernard z głową spuszczoną siedział milcząco.

— Nie idzie mi dobrze — odparł, pomyślawszy. — Gdy raz już o tém mówimy, muszę się do tego przyznać, że jestem niezręczny i nie mam szczęścia. Ale boli mnie to tylko dlatego, że się lękam o ciebie, matuniu.

— O mnie! Jezusie nazareński! — zawołała staruszka, składając ręce. — O mnie! Ale cóż ja tu znaczę? ja, której do życia tak mało potrzeba, bylebyś ty był szczęśliwym?! Widzisz co ja jem, pół tygodnia suszę, sukien mi i bielizny do śmierci starczy. Przy tobie mam kątek, który jeszczeby mógł być ciaśniejszym, a dobrzeby mi w nim było. Co ty się masz troszczyć o mnie! To gorzej, że ty, coś wart aby cię złotem obsypywano, ledwie na biedny ten chleba kawałek zarobić możesz.

Rozśmiał się Bojarski, chwytając rękę staruszki, którą do ust przycisnął.

— Kochana matusiu — zawołał — słowo ci daję najuroczystsze, że mnie na niczém nie zbywa. To co mam, starczy mi, przechodzi nawet moje wymagania. Spokojny w sumieniu, mogę znieść wszystko, byleś ty się nie gryzła. Prawda że mamy mało, że mi się nie powodzi, choć radbym

pracować, ale dla mnie to obojętne. Patrzą tobie w oczy i strach mnie ogarnia.

Bojarska powstała z krzesła, chwytając go za głowę i cisnąc ją namiętnie do ust.

— Doprawdy, że możnaby sądzić, iż ty mnie nie znasz!—zawołała. — Pamiętasz życie nasze w miasteczku? Nigdyśmy wiele nie mieli, ale też nigdyśmy nie czuli ubóstwa. I teraz ono mnie weale nie przestrasza, tylko dla ciebie.

— A mnie dla twój starości, którąbym rad otoczyć pieszczotami—dodał Bernard.

— Mogą być większe, jak gdy ty jesteś przy mnie i ja cię widzę spokojnym i szczęśliwym? Ani co będziemy jedli, ani co pili, weale mnie nie obchodzi. Potrzeba zmniejszyć mieszkanie—dodała profesorowa—aby ci ulżyć w wydatkach. Proszę ciebie, nie wahaj się ani chwili. Wynieśmy się ztąd; ja jedną komórką się doskonale obejdę. Widzisz jak jem, byleś ty nie był głodny.

— Ja potrzebuję bardzo mało—rzekł Bojarski.

— Domyślam się, że ci ciężko być musi — pośpiesznie dokończyła matka.—Nie rób że żadnych niepotrzebnych ofiar dla mnie.

Głęboko westchnął Bojarski, a milczenie jego zrozumiała matka.

— Proszę cię—mówiła, ręce składając—zrób to dla mnie. Ograniczmy się, zastosujmy do tego co mamy, abyś ty się nie zabijał pracą i nie me-

czył niepokojem. Moja próżność na tём nie ucierpi, ja się wcale nie wstydzę być ubogą, ty... także.

Bernard lżej oddychał, ale się jeszcze nie chciał przyznać szczerze przed matką do położenia, które ona odgadła.

Profesorowa poczęła się zaraz obliczać ze swą pensyjką, z tём co on mógł zarobić, z wydatkami, które bardzo zmniejszyć było można. Twarz jęj rozjaśniła się, głos zabrzmiał weselęj. Syn widział ją tak mężną, a tak szczęśliwą z tego, iż mu ulżyć mogła ciężaru, że zaprzeczać jęj nie śmiał.

— Ja z Katarzyną — dokończyła profesorowa — poszukamy nowego mieszkania. Ściśniemy się trochę; chcę żebyś był spokojny, to i mnie zobaczysz weselszą. Szczęście jest nie w używaniu, ale w pokoju ducha i sumienia.

Tak się skończyła rozmowa między matką i synem; profesorowa napróżno starała się wybadać go o to, czego po nim żądał radzca i dlaczego on odmówić musiał. Fernard zbył ją ogólnikami, nie przyznając się do kroku, do którego był zmuszonym.

Twardziński chciał go wciągnąć za sobą w koła, których przekonañ nie dzielił Bojarski, i ofiarował mu posadę korzystną, do której nie czuł się usposobionym.

Odmowa ta nastąpiła właśnie w chwili, gdy przyciśnięty, znękany Bojarski narażonym był na

największą pokusę. Ale nawet miłość dla matki złamać go nie potrafiła.

— Muszę prosić cię, matuniu — rzekł, odchodząc—abyś o liście radzey i o mojem widzeniu się z nim nie wspominała nikomu. Powinno to pozostać tajemnicą.

Właśnie gdy Bojarski, więćej teraz mając czasu wolnego, wziął się nanowo do poematu swego, wypadkiem nadjechał do Warszawy pan Teofil, wydawca rozpraw, który zwał się głośno jego przyjacielem. Zaraz pierwszego dnia tęż z paczką nowości, o których domagał się sprawozdań, znalazł się w pokoju Bojarskiego.

— Drugie wydanie — rzekł, siadłszy przy stole i krzywiąc się kwaśno—jakoś słabo idzie. Spodziewałem się, że więćej zaciekawi. Krytyka ostra, która przyczyniła się do dosyć dobrego rozejścia się piérwszėj edycyi, zamilkła o drugiej. Dla książki zawsze najzgubniejszém jest milczenie.

Bojarski nie na to nie odpowiedział.

Pan Teofil nigdy z żadnego swojego przedsięwzięcia nie był kontent, utrzymywał że na wszystkich traci, ale wspaniałomyślnie, natychmiast prawie zwracając się do gospodarza, dodał:

— Ma pan tam co w tece nowego?

Bojarski zmileczał chwilę.

— Słyszałem już o poemacie? — dodał wy-

dawca.—Prawdziwie nie wiem, kto mi o nim mówił. Skończony? obszerny? Można wiedzieć tytuł? Od tytułu bardzo, bardzo wiele zależy.

A gdy Bernard spóźniał się z odpowiedzią, dorzucił p. Teofil:

— Wogóle poezya źle, bardzo źle się sprzedaje. Najgorsza proza jako tako się rozejdzie, nie obrażając na makulaturę, a poemata kończą zwykle sprzedają na funty.

Uśmiechnął się Bojarski

— Nie życzę ich też wydawać — odparł spokojnie.

— Pański poemat wydam chętnie—żywo odezwał się p. Teofil.— Mam słabość do pana, słowo daję.

— Dziękuję, ale poemat niegotowy.

— A mnie mówiono...

— Omylono się. Są fragmenty, ale do całości daleko.

— Fragmenty? No, to mogą się wydać fragmenty. A tytuł?

Bojarski zimno objaśnił, że nie ma dotąd tytułu.

Nastąpiły pytania o objętość, o treść, o rodzaj i wkońcu naleganie, aby tego w tece nie trzymać.

— Po rozprawach, które, jak tam jest to jest, pewne wrażenie wywarły — dodał wydawca — poemat mógłby być dla pańskiej sławy w tej chwili bardzo wielkiem poparciem. Już to, że

o nim mówią, dowodzi, iż go są ciekawi. Nie trzeba dać ostygać zajęciu...

Bojarski niełatwym był wogóle do przekonania i wzięcia na niezręczne pochlebstwa; pomimo to jednak wciągu dni kilku pobytu p. Teofila, przypominanie poematu, podbudzanie, ofiara nabycia go, pewne naleganie coraz żywsze, wmiarę jak Bojarski się zimniejszym okazywał, zachwiały nieco postanowieniem zatrzymania go w tece.

Pan Teofil, umiając korzystać z najmniejszej sposobności, jakby przeczuł czy dowiedział się, iż Bernard może potrzebować pieniędzy, ofiarował małą zaliczkę. Bojarski był zmuszonym ją przyjąć.

Uczył to dla matki, chcąc się jej czémś przysłużyć, bo staruszcze na wielu rzeczach zbywało, o których się pociechu dowiadywał od starej Katarzyny. Wziąwszy te pieniądze wieczorem, przez całą potém noc męczył się w sumieniu tém, że uległ, że popełnił słabość, że nie powinien był dać się skusić niemi, nawet dla matki.

Nazajutrz rano pobiegł do pana Teofila, odnosząc je i pragnąc odzyskać swobodę co do poematu, aby go mógł natenczas dopiéro wydać, gdy zechce. Trafił jednak na człowieka, który jakkolwiek niechętnie dawał pieniądze, gdy raz się na to ważył, rachuby nierad się zrzekał.

Księgarz wprost odmówił przyjęcia zwrotu za-

liczki i uparł się przy zawartéj umowie, podnosząc to, że słowu Bojarskiego wierzył.

Po długich naleganiach, p. Teofil na swojém postawił; pieniądze zostały przy Bojarskim, ale księgarz obiecał nie naglić o przyśpieszenie wydania. Ażeby zaś tém mocniej związać Bernarda, tegoż dnia postarał się wydawca przysły poematu, aby Piotruś Grochowski, który za parę rubli zawsze był gotów zobowiązać się napisać taki artykuł, jakiego odeń żądano, czarny czy biały— umieścić w Gazecie warszawskiej parę wierszy, zapowiadających poemat autora rozpraw, który powszechnie już teraz obudza zajęcie.

Bojarski odczytał doniesienie z przykrością, ale mając już nóż na gardle, chcąc się coprędzej pozbyć zobowiązania, natychmiast zasiadł do ostatecznej redakcyi fragmentów.

Była to rozkosz i męczarnia. Któż z tych, co myśli swe wyléwali kiedy na papier, utrwalając je, nie zna uczuć, jakich doznaje poeta wobec tego dziecięcia, naprzemian wydającego mu się cudowném i potworném, jaśniejącém i ciemném, doskonałym i niedoleżnym?

Dziesięć razy Bernard rzucał zrozpaczony robotę poczętą i znów powracał do niej, mazał i dodawał... Natura jego talentu była taka, iż największą pracą nie umiał poprawić tego, co w mniej szczęśliwej chwili spod pióra mu wypłynęło. Od-

rzucić coś łatwiej mu było, niż dosztukować... Przerobienia wcale się nie udawały. Przekonał się sam, iż nie był zdolnym stworzyć tego, co ludzie zwali arcydziełem, bo sztucznego wykończenia na zimno nie umiał nadać swój pieśni. Rodziła się ona w nim cała, pełna, taka jaką pozostać miała, silniejszą lub słabszą, nie dając się już ortopedycznymi środkami naprawić, ani wzmocnić.

Fragmenta schodziły się nieźle i łączność ich z sobą była dostateczną do usprawiedliwienia tego, że je w jedną całość zlano. Bernard wszakże, surowo ją sądząc, znajdował zamało oryginalną. Brzmiały w niej głosy wieku podobne do tych, które się odzywały w pieśniach innych poetów. Było to nieuchronnem, ale nadawało fałszywy koloryt naśladownictwa temu, co natchnęły prądy czasu. Bojarski czuł i wiedział, że mu ono zarzuconem zostanie, choć nie był go winnym, bo od wpływu idei nie mógł być wolnym.

Rzadko komu danem jest w chwilach wielkich zwrotów w ideach wydać pierwsze hasło i pobudkę do nich. Wszyscy, co śpieszą na ten sygnał i wtórują mu, muszą później szeregowani stać pod chorągwią tego wodza, co pierwszy dostrzegł nieprzyjaciela.

Gdy redakcyja poematu miała się już ku końcowi, Bojarski, który nad nią z gorączką i niecierpliwością pracował nieustannie, był tak znużony,

tak zniechęcony, iż po kilkakroć zabięrał się wszystko rzucić w ogień i zniszczyć.

W niepewności, walcząc z sobą, radził się to Źardyńskiego, to panny Henryki, której czytywał ustępy, to naostatek Grochowskiego, ostrego sędziego, ale tak giętkich przekonań, takiej obojętności i sceptycyzmu, że gotów był za i przeciw dowodzić, nie czując najmniejszych zgryzot smienia.

Źardyński chwalił i zachęcał, panna Źabska unosiła się, bo miała zmysł admiracyi rozwinięty szczęśliwie, co niewielu wybranym tylko się zdarza—Piotruś słuchał, głową pokręcał, krzywił się i naprzemiany podnosił lub poniżał różne ustępy. Wogóle poemat, Bojarski, sztuka — wszystko to obchodziło go daleko mniej, niż podwieczorek, zarobek i troska powszedniego życia. W nim właściwie było kilku ludzi, którzy nie wiedzielić jak się pogodzić mogli.

Czuł chwilami piękno i natychmiast to uczucie budziło w nim przeciwne — zmysł krytyczny, tak że gotów był to, czemu przyklaskiwał niedawno, mieszać z błotem. Na dowodzenie i umotywowanie zachwytu i potępienia argumentów mu nigdy nie brakło.

Wtajemniczeni w sprawy jego opowiadali sobie historyjkę, może zmyśloną, o polemice, którą raz

w interesie pisemka, dla nadania mu rozgłosu, Piotruś prowadził sam z sobą.

Grochowski założył się, że owo pisemko mało znaczące potrafi uczynić głośnym i wagę mu wielką nadać. Wpadł na nie z gwałtownością niesłychaną w recenzyi, która mogła w próch obrócić. Nazajutrz sam siebie, to jest recenzenta, mieszał z błotem, jako nieuka, jako złośliwego potwarcę. Na tę odpowiedź on też napisał replikę i po wymienieniu kilku artykułów, pisemko się rozeszło, a Grochowski sztuczkę tę swoją pod sekretem opowiadać lubił, jako dowód siły swęj i... obojętności.

Ze zdań i rad Piotrasia niewiele więc mógł Bojarski korzystać; sam Grochowski tak małą przywiązywał wagę do tego co mówił, iż często nazajutrz po wypowiedzeniu swojego zdania wprost przeciwne objawiał.

— Ale wczoraj—przerywał Bojarski — wydało ci się to inaczej, przypomnij sobie!

— Wczoraj? może to być—odpowiadał obojętnie.—Wszystko jest względne. Cóż ja temu winien, że kawa z trzema kawałkami cukru raz mi się wydaje słodką, a drugi niedosłodzoną?

Jednego dnia wreszcie rękopis zapakowany, opieczętowany w świat wyruszył.

Stara pani profesorowa nad wieczorem pewnego dnia jesiennoego siedziała w swém krześle, które z nią jeszcze przyjechało do Warszawy i pamiętało owe ciche miasteczko i szczęśliwe życia chwile.

Bernard starał się o to, aby je poduszki i poprawki wygodném czyniły. Stosowny podnózek stanowił część jego składową. Krzesło miało swe miejsce stałe przy stoliku, na którym pod ręką staruszki znajdowały się rzeczy, jakich zwykle potrzebowała.

Tu leżały okulary, od lat kilku niezbędne do ręcznej pracy, której Bojarska wyrzec się nie chciała, choć ręce jej drżały, choć Katarzyna nawet wyśmiewała się z jej cérowania i obrąbków... tu obszyta suknem cegielka ze szpilkami, igłami i niemi, koszycek z kłębuszkami, kilka różnych nożyczek i dwie książki do nabożeństwa, przy których spoczywał wysłizgany pobożnemi rękami różaniec.

Zaraz po obiedzie, przeszedłszy do swego krzeselka, usiadła w niém profesorowa; miała robotę poczętą, ale ta nie szła jakoś, bo się oczy zamykały. Zwróciła się więc do książki, bo zalegały zwykle pacierze, które jej zrana przerwano.

Pacierze zaś odmawiając, broniła się niemi od snu wielką gorącością ducha, bo wiedziała, iż modlitwa ustami tylko szeptana nie ma wartości i wagi, a zasnąć nie chciała, bo się spodziewała

że Bernard nadejdzie, z którym o nowém mieszkaniu naradzić się potrzebowała.

Tymczasem zawiodła ją nadzieja. Bernard nie przyszedł tak rychło, powieki ciężkie, ołowiane zapadły na znużone oczy i staruszka, parę razy napróżno usiłując się ze snu otrząsnąć — uległa mu wkońcu. Siedziała, jak zwykle, wyprostowana, z głową nieco na piersi spuszczoną, ze spartemi na stoliku rękami, z których uspienie różaniec wyrwało. Nie upadł on na ziemię, zawisł na palcach. Twarz profesorowej wypogodzona była, spokojna, niemal uśmiechnięta, czoło wygładzone, usta napół otwarte zdawały się ostatnie słowo modlitwy trzymać na bladych wargach.

Zmierzchało. Katarzyna kilka razy ukazywała się w progu, chcąc o czémś pomówić ze starą swą panią, ale przychodziła pocichu, z ostrożnościami, bo wiedziała że czasem drzémie, a snu tego jęj przerywać nie chciała.

Profesorowa téż nie lubiła, aby ją na drzémce poobiednięj pochwycono; nie przyznawała się do nięj.

Raz i drugi zajrzawszy i widząc profesorową ciągle nieruchomie siedzącą, gdy wedle jęj rachuby godzina już się zbliżała do przygotowania podwieczorku — służa stara weszła, chrząkając i posuwając nogami, aby panią obudzić.

Bojarska zawsze sen miała bardzo lekki; zdzi-

wiła się więc Katarzyna, gdy razy kilka przeszedłszy po pokoiku i suwając krzesłami, nie potrafiła rozbudzić pani.

Nigdy się nic podobnego nie trafiało. Tuż podszedłszy, stara sługa wprost już głośno się odezwała do Bojarskiej.

— Jéjmościuniu, już późno!

Ale i na to nie otrzymała odpowiedzi.

Z obawą zbliżyła się do siedzącej, usiłując jéj się przypatrzeć.

Twarcz nie była bynajmniej zmienioną, ale od dechu czuć ani widać nie było. Zwolna, ostrożnie zbliżyła Katarzyna swą pomarszczoną dłoń do rąk profesorowej: były jak lód zimne, ostygłe i stężale.

Przerażona tém, dotknęła skroni—i tu już ciepła, życia nie było śladu... Staruszka, modląc się, skłéiła powieki i... usnęła, aby się już nie zbudzić. Na krzyk, który Katarzyna wydała, wpadł Bernard ze swego pokoju i wprost pobiegł do matki. Okrutna rzeczywistość razila go jak piorun. Katarzyna biegła już po lekarza, mieszkającego w domu sąsiednim, gdy syn tymczasem rozciérał skronie i, sam nie wiedząc co czyni, starał się życie obudzić, sądząc że omdlała tylko.

Przybycie doktora nie pozostawiło wątpliwości, iż śmierć przed kilku godzinami nastąpiła we śnie i żaden ratunek nie był możliwym.

Od kolébki do mogiły t. II.

5

Tak łagodnym uspieniem skończyło się to ciche życie, całe oddane obowiązkom, czyste, spokojne, niemal szczęśliwe.

Bernard, płacząc, z twarzą rękami zakrytą, kłęczał u zwłok matki. Miał na świecie pozostać teraz sam, osierocony, biedny, bez tej duszy opiekuńczey, która w niego wlewała miłość, a w miłości dla niego umiała znaleźć zawsze słowo rady mądrzej, pociechy chrześcijańskiej. On i Katarzyna, z pomocą duchownego, któremu znać dano, zajęli się pogrzebem skromnym, który zawczasu Bojarska oznaczyła, iż miał być jaknajmniej kosztownym i cichym. Obok męża czekało na nią zamówione miejsce.

Niewielka gromadka przyjaciół, którzy się dowiedzieli o śmierci starzej Bojarskiej, a cnotę jej wstydliwą, niepokazną cenić umieli, poszła za trumną na Powązki...

Bernard, który za łzami nie widział wiele, postrzegł jednak w czerni ubraną pannę Klarę, towarzyszącą pogrzebowi, i uczuł dla niej wdzięczność.

Zaraz potem prawie nastąpiły przenosiny do nowego mieszkania, które przypadły wporę, aby wyrwać Bojarskiego z niepokoju matki, boleść po stracie powiększającym. Musiał się tem zająć, oderwać od dręczących go myśli, a ze zmianą lokala i stosunki ucierpiały. Znajomi i przyjaciele

niemnodzy potrzebowali się przyzwyczaić, by szukać go trochę dalej, trochę wyżej i niewszystkim było wygodnie za samotnikiem gonić tak daleko.

Panna Henryka z żalem wielkim musiała zaprzestać go odwiedzać; Żardyńskiemu po niewygodnych schodach trudno się było wdrapać na trzecie piętro. Grochowski w zmianie mieszkania przewidywał zmianę trybu życia i nie rachując na podwieczorki, nie miał ochoty iść daleko, aby głodnym powracać.

Szczupło teraz mieścił się Bojarski w trzech pokoikach, składających połowę piętra. Dla Katarzyny, którą zatrzymał więcej przez litość, niż z potrzeby, pozostawała kuchenka i przy niej mała komórka. Cały dom teraz był na jej rękach drżących i niedoleżnym krzątaniu się, gdéraniu, narzekaniu. Tylko tak mało wymagający czło-wiek jak Bojarski mógł ograniczyć się tém, co stara sługa mu dostarczała. Zalévając się łzami i wspomnieniami dławiąc, Katarzyna gotowała źle, podawała zimno, zapominała o wielu rzeczach; ale Bernard był na to obojętnym.

Życie tu rozpoczęło się nowe, samotniejsze, pracowitsze niż dawne, a że lekcyj nie przybywało, czasu zostawało bardzo wiele do studyów, do nowych projektów i pomysłów.

Wśród tych żalobnych początków ukazał się zapowiedziany poemat, z nieuniknionym registrem

omyłek, które w poezyi raziły jeszcze okrutniej, niż w prozie.

Bernard od deski do deski odczytał jednym tchem drukowaną pieśń tę, wszystkie marzenia młodości zamykającą w sobie. Był nią dumny, wydała mu się lepszą, niż się spodziewał.

Z trwogą wyczekiwał, co też ludzie o niej powiedzą. Nie mając tych pism wszystkich, w których wzmianka o poemacie znajdować się mogła, musiał, rad nierad, szukać ich po kawiarniach i w bibliotekach.

Oprócz suchego ogłoszenia księgarskiego, bardzo długo nic o sobie znaleźć nie umiał w żadnej gazecie i dzienniku.

Na ulicy spotkał go tylko dawno niewidziany hrabia Zygmunt, podszedł do niego, pozdrowił i z uczuciem powinszował mu poematu.

— Żona moja jest zachwycona nim—rzekł.— J rzyjdź-że do nas... nie widujemy cię, słyszeliśmy że straciłeś matkę... nie zapominaj o przyjacielach. Smutkiem i radością dzielić się potrzeba.

Bernardowi trochę ciepła wlało to w duszę; nabrał nadziei lepszej. Hrabina miała zdanie zdrowe i znajomość literatury, które sądowi jej nadały wielką cenę.

Powrócił do domu odżywiony.

Tu na stole znalazł z kartą profesora Żardyn-

skiego zeszyt bibulasty tygodnika jakiegoś, który na niego oczekiwał.

Żardyński pisał: „Choć zapewne nie będziesz rad recenzyi, posyłam ci pierwszą jaka się ukazała, bo lepsza najsurowsza krytyka, niż milczenie. *Sunt bona mixta malis*. Czytaj, rozważ, nie bierz do serca i myśl, czy ci zarzuty odeprzeć należy, lub wcale się nie bronić.”

Świeca stała już na stoliku; Bernard siadł i zapomniawszy o świecie całym, zatopił się w czytaniu.

Autora rozbioru tego domyślać się było trudno, ale pióro było wprawne i rzecz opracowana umiejętnie. Biło to tylko w oczy, nawet mniej czułych od autora, że recenzentowi szło nie o książkę, nie o poetę, nie o sztukę, ale o popis z bystrością, erudycją, z dowcipem i stylem.

Poemat nadawał się doskonale do takiego wystąpienia na scenę, do zdobycia powagi i imienia. Autor, podpisany pseudonymem, wysilił się na artykuł, rozbięrał wszystko: treść, formę, dążność, analogie z utworami innemi, a wszędzie i zawsze stronę słabą, ujemną wykazywał dobitnie.

Zakończenie tylko przyznawało poecie talent niepospolity, wielką świeżość barw w obrazach nieświeżych, uczucie gorące, poprawność języka i t. p.

Główną podstawą całego tego rozbioru była

myśl, że poeta, przeciwko prądowi wieku, sławił to, co epoka nasza uważała za przeżyte i umarłe. Kilka jasnych postaci, nacechowanych arystokratycznymi rysami, a ustawionych w świetle, spowodowało zarzut niesprawiedliwy, bo obok tych figur, poeta równie sympatycznie odmalował typy ludowe. Ale te nie istniały dla krytyka. Poemat, według niego, był rehabilitacją przeszłości i jakby westchnieniem do niej, gdy co się przeżyło, nigdy powrócić nie mogło. Z demokratycznych wychodząc zasad, które tyle mają uroku i tak się łatwo dają w świetne szaty ustroić, recenzent wystawił Bojarskiego jako zacofanego i bolał nad jego ślepotą.

Wszystkiego się biędny Bernard spodziewał, oprócz tego rodzaju obwinienia. Sam on czuł się częścią tego ludu, o którego nieuznawanie go pomawiano. Uderzyło go teraz jednak, że hrabia Zygmunt tak serdecznie go powitał i tak chwalił poemat. Godziło się to poniekąd ze zdaniem krytyka. W poezyi więc, bez wiedzy poety, uwydatnioną była myśl, do której on nie przywiązywał wagi szczególniej, a ona jednak przeważała szalę.

Bojarski, czas jakiś zniechęcony, odrętwiały, pozostał z drukowanym zeszytem w ręku, nie umiając sobie zdać sprawy z tego, co czuł.

— *Habent sua fata libelli!*—szepnął wkońcu.

Możeż więc książka mówić to, czego jęj w usta autor nie włożył?

Wszystko to były dla niego zagadki i tajemnice. Miałzeby pisarz, w ręku jakiejś siły nieznanęj, być jęj niewiadomém narzędziem?

Na te rozmyślania nadszedł Piotruś Grochowski, który go rzadko odwiedzał teraz. Mógł on być posądzonym o autorstwo owęj recenzyi, ale nie mając dowodu, Bojarski nie chciał go o to zagadywać. A gdyby wistocie tak było, mógłże mu mieć za złe, że to, co czuł, z całą szczérością wypowiadał?

Odwiedziny dla kogo innego, bystrzejszego niż Bernard, wydałyby się tropieniem skutków krytyki.

Piotruś zagadnął o nią zaraz.

— Nieżle napisana — rzekł — muszę to przyznać, ale jednostronna i niesprawiedliwa. Będziesz na nią odpowiadał?

Bojarski zadumał się.

— Wiész co—odparł—wszystko dobrze rozważywszy, czy autor bronić się ma prawo—ja o tém wątpię. Rozumiem to, że inni mogą za nim przemawiać, ale on we własnej sprawie sędzią być nie powinien. Odpowiada się z konieczności, namiętnie, gorąco, i to, coby może przeszło niepostrzeżone, podnosi się wysoko. Koniec końcem, nie chcę zabięrać głosu.

— Ale nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym ja się odezwał za tobą?—odparł Piotruś.

— Czyń co ci twoje przekonanie dyktuje, a mnie nie pytaj — dokończył Bojarski.

— Nie obchodzi cię więc los poematu?— badał Grochowski.

— Wiész co — po namyśle rzekł Bernard — jestem tego przekonania, że poemata, jak ciała na powierzchni płynów, utrzymują się lub toną specyficzną wagą swoją, a nie sztuczném ich podtrzymywaniem. Nie pomoże więc nic — i Fragmenty doznają tego losu, na jaki zasłużyły. Amen. Z wydania ich skorzystałem tylko tyle, że się wiele nauczę i poznam jak trzeba pisać, aby być zrozumianym. Jestem zupełnie spokojnym. O sławę mi nie idzie.

— Masz słuszność — odparł Grochowski — bo sława jest bańką mydlaną, którą bawią się umysły słabe i dziecinne; ale ma ona jednakże swą wagę i znaczenie. Jest siłą i daje ją. Pisma ludzi znanych nie przechodzą niepostrzeżone. Z pomocą sławy człowieczyna sobie może tłuszciej posmarować powszedniego chleba kawałek.

— A! — rozśmiał się Bojarski. — Co do kawałka chleba, różnimy się także w pojęciach o jego wartości. Ludzie przemyślają nad tém, jak na przykład w piecu napalić, najmniejszą możliwą ilość drzewa zużywając, a nikt nie chce popracować

nad t \acute{e} m, aby życie utrzyma \acute{c} jaknajmniejszym kosztem i najprostszym sposobem. Ja to licz \acute{e} do zada \acute{n} wielkich, gdy \acute{z} rozwi \acute{a} zanie jego czyni cz \acute{l} owieka do pewnego stopnia niezale $\acute{z$ nym. Nie idzie mi o smakowanie w \acute{z} yciu, o nasycanie si \acute{e} ni \acute{e} m, ale o spe \acute{l} nianie obowi \acute{a} zk \acute{o} w.

— Weszli \acute{s} my na drog \acute{e} teoryj takich, o kt \acute{o} rych ja z tob \acute{a} , kochany Bernardzie, rozprawi \acute{a} c nie mog \acute{a} . R \acute{o} znimy si \acute{e} w premisach: ja uwa \acute{z} am \acute{z} ycie jako, b \acute{a} dcob \acute{a} dc \acute{z} , plac, na kt \acute{o} rym wolno mi najwygodni \acute{e} j si \acute{e} umie \acute{s} ci \acute{c} i got \acute{o} wem rozpycha \acute{c} lokeciami innych, aby mi dobrze by \acute{o} ; ty za \acute{s} ust \acute{e} pujesz wszystkim i my \acute{s} lisz o... idea \acute{l} ach. Pi \acute{e} knie to by \acute{c} Dyogenesem, ale wola \acute{l} bym by \acute{c} Lukullem.

— Mylisz si \acute{e} mo \acute{z} e, panie Piotrze; Dyogenesem by \acute{c} bezpiecni \acute{e} j i wygodni \acute{e} j. Wystaw sobie swego Lukulla w n \acute{e} dzy, zmuszonego cierpie \acute{c} ...

Pocz \acute{a} ł si \acute{e} \acute{s} mia \acute{c} Grochowski.

— Daj ty mi pok \acute{o} j ze sw \acute{a} filozofia \acute{n} ! Wierz mi to zdradzieckie s \acute{l} owo jest obosiecznym narz \acute{e} dziem wszystkiego ni \acute{e} m dowie \acute{s} c mo \acute{z} na i wszystko obali \acute{c} . Ja nie wiem co prawda, a co fa \acute{l} sz.

— Bardzo mi ci \acute{e} \acute{z} al—zako \acute{n} czy \acute{l} Bojarski.

— No, a z lekcjami twemi jak idzie?—zapyta \acute{l} Grochowski.—Czy wistocie ci si \acute{e} liczba ich zmniejsza \acute{l} ?

— Tak jest, ale teraz, gdy moja \acute{s} wi \acute{e} ta starszka spoczywa ju \acute{z} i ja tylko dla siebie potrze-

buję coś zarobić na życie, bynajmniej mnie to nie obchodzi. Trochę mniej, trochę więcej, mocno tego nie uczuję. Mam więcej czasu do pracy, zyskuję swobodę. Czegóż pragnąć?

— Zazdroszczę ci twój filozofii, jeżeli ona nie jest czczem słowem—rzekł Grochowski.—O sławę nie dbasz, jak powiadasz, o dobrobyt i wygodne życie ci nie idzie, miłujesz pracę—jesteś człowiekiem szczęśliwym.

Bojarski się zarumienił i odpowiedział cicho:

— Wierz mi, iż pono innego szczęścia na ziem szukaćby próżno.

— O tém szeroko mówić można — przebaknął Grochowski.

Zakręcił się jeszcze po pokojach gość, wziął cygaro, zagadnął raz znowu o poemat i recenzją, popatrzył zdumiony na spokojnego Bernarda i poszedł, ruszając ramionami.

— Stary dzieciak—rzekł w duchu.

Drugiego dnia w ulicy zetknął się Bojarski z podchmielonym, ale jeszcze nie pijanym Skórką, który wprost wpadł na niego, z brwiami namarszczonemi.

— A no! czytałem pański poemat—zawołał.— Nie można było piękniejszego talentu obrócić na obronę gorszej sprawy. Więc wy, dziecię ludu, przeszliście do obozu arystokracji i zacofanych?

— Zkądże ten wniosek?—odparł spokojnie zagadnięty.

— Ależ to apologia przywilejów i kasty!— gwałtownie począł Skórka. — To bije w oczy. Wszyscy panowie stoją w jasności na piętym planie.

Z zimną krwią poeta przytoczył parę imion osób wchodzących do poematu, które występowały w nim niemniej jasno, choć należały do ludu.

— Tak! tak!—zaśmiał się Skórka—ale w tém czuć paliatywę tylko i pewne ustępstwa dla opinii ogółu, gdy arystokracja jest odmalowana *con amore*.

— A gdybym ja utrzymywał, że ona jest i niezbędnie potrzebną społeczeństwu i niezmiernie mu użyteczną? gdybym był przekonany, że jej wady i zboczenia nie mówią przeciwko klasie, ale przeciw indywiduom? gdybym to, co wyrobiły dzieje, miał za konieczność dziejową — cóż wy na to?

Skórka się rzucił.

— Powiedziałbym, że jesteście zdrajcą zaprzędanym, lub oślepionym i kaléką...

— Zaprzędanym!— rozśmiał się Bernard—to zabawne! Co do ślepoty zaś, Bóg z tobą.

I nie rozprawiając dłużej, nie żegnając Skórki, poszedł dalej.

Od śmierci matki nie był u Klary i nie widział

jéj. Chciał podziękować za bytność na pogrzebie i cmentarzu. Zbliżając się do dworku, zdziwił się naprzód, postrzegłszy iż firanek w oknach znowu nie było. Nie rozumiał, co to miało oznaczać. Drzwi zastał zamknięte, a gdy do nich zapukał, z sąsiednich wyszła służąca obszarpana i zawołała szorstko:

— Czego się tam dobijacie? Tam niema nikogo.

— A ta pani, co tu mieszkała?—zapytał Bernard.

Ręką pogardliwie rzuciła kobiéta i zamruczała:

— Jak to przyszło, tak i poszło. Wyniosła się i niema.

— Dokąd?

— Albo ja wiem?

I stuknąwszy drzwiami, sługa zniknęła.

Na zamkniętych drzwiach dopiero teraz dostrzegł Bernard przylepioną kartkę, na której bardzo niezgrabnie nakręślone było:

— „Panna K. Saska, ulica Wierzbowa.... Numer... drugie piętro.”

Nie mógł się domyśleć Bojarski, co znaczyła ta tak nagła zmiana mieszkania, ale serce mu uderzyło niepokojem. Chociaż ulica zapowiadała polepszenie jakieś, zląkł się Bernard, aby ono drogo okupioném nie było. Tu biedną, ubogą, znękaną, spodziewał się jeszcze powolnie nakłonić do zmia-

ny życia, do pojmowania go surowiej; w nowém położeniu, kto wie czy to już było możliwém.

Nie zwlekając jednak, udał się pod adres wskazany.

Kamienica starannie utrzymywana zapowiadała lokal porządniejszy i droższy. Gdy zadzwonił, wyszła też sama stara sługa, z głębą obwiązaną, popatrzyła na niego, przypomniała sobie zapewne, zawahała się nieco z przyjęciem go; prosiła aby zaczekał i pobiegła do pani.

Powróciła jednak natychmiast, otwierając salonek, w którym Bojarski poznał część starych sprzętów, obok których stały wcale nie brzydkie nowe, widocznie niedawno kupione. Świeżo było dosyć, ładnie i pachnąco.

Nim się miał czas rozpatrzyć, zaszeleściło i Klara weszła ubrana bardzo starannie, odżywna, z prawdziwym czy podrobionym rumieńcem, ale bardzo ładniuchna, uśmiechnięta, chociaż pewne zakłopotanie znać na niej było.

— Nie czynię panu wymówek — rzekła — żeś mnie od tak dawna nie odwiedził. Wiem że miałeś wiele własnego smutku i cudzych pocieszać nie mogłeś.

— Panna Klara zmieniła mieszkanie — odparł Bernard.

Nie dała mu dłużej mówić.

— A tak! ale bo to był kąć obrzydliwy, nie-

znośny, nie do wytrzymania. Musiałam się go pozbyć. Tu niewiele więcej mnie kosztuje, prawie to samo. Gospodarz bardzo dobry człowiek.

Spuściła oczy.

— Pan także się przeniósł podobno?— zapytała.

— A! tak—z tą różnicą, że ja na szczuplejsze i skromniejsze, bo teraz nie potrzebuję wiele.

Klara przeszła się po pokoju, poprawiła coś na stoliku, była widocznie zmieszana.

— Nie obmyśliłaś pani czego na przyszłość?— spytał Bernard.

— Nie. Chciałam, jak pan wiesz, starać się wejść do teatru; ale zraziłeś mnie, jestem zniechęconą i nie wiem co począć. Pan nie masz nic dla mnie?

— Niestety — rzekł Bojarski — nie znalazłem nic jeszcze, ale chciałem się naradzić z panią. Coś przecie trzeba postanowić na przyszłość.

Klara milczała i nieznacznie poruszała ramionami; rozmowę urywała, niespokojnie spoglądała ku drzwiom... Zawołała służącą nagle i spytała jej o godzinę.

— Przepraszam pana— rzekła śpiesznie — muszę wyjść. Obiecałam się mojej przyjaciółce Justysi. Niech mnie pan znowu kiedy odwiedzi.

Widząc że się go pozbywa, Bojarski wziął za kapelusz. Radby się był dowiedział czegoś więcej

o tój zmianie położenia, z której Klara nie miała ochoty się tłumaczyć; ale natrętnym być nie śmiał. Był prawie pewnym, że Saska mileżała przed nim dlatego, iż wstydziła się przyznać do jakiegoś nowego stosunku. Wysunął się smutny i nie widział już, jak w tójże chwili za jego plecami radca Emil wślizgnął się do tój samej kamienicy.

Wieczorem poszedł nareszcie do hrabiostwa Zygmuntowstwa, gdzie zastał hrabinę Annę tylko i gospodynię domu. Gwalberta, którego dawno nie widział, nie było z matką.

Przyjęto go tu bardzo dobrze, a hrabina Anna nawet, rzadko się kiedy ożywiająca, okazała, że miło jój było widzieć dawnego nauczyciela swego syna.

Przez samą grzeczność pani domu wkrótce potem z gorącą pochwałą wspomniała o wydanym poemacie.

— O i ja miałam przyjemność go czytać—dodała hrabina Anna—i przyznam się panu, że gdybyś go był wydał wcześniej, nigdybyśmy się nie rozstali z sobą. Pan się tak taisy ze swemi przekonaniem, jak inni z niemi się chwala.

Nie czując, aby na te pochwały zasłużył, Bjarski zmileżał, wkrótce tylko potem dodał, że hrabina, jak słyszał, jest kontenta z jego następcy, który zapewne lepiej mógł spełnić trudne

obowiązki kierownika, do których Bernard nie czuł się powołanym.

— A! Muliniec — Muliniec jest miły, przyzwoity, giętki człowiek, który spełnia obowiązki swe przykładnie; ale — dodała hrabina Anna — mało ma samoistności i lękam się też, że wpływu na umysł Gwalbertka wielkiego mieć nie będzie.

Gdy hrabina Anna pożegnała wkrótce potem gospodynię, a Bojarski samnasam z nią pozostał, zatrzymany na herbatę, troskliwa o los jego hrabina zaczęła go rozpytywać, jak mu się powodzi, co zamyśla nadal.

— Jestem teraz, pozostawszy sam - rzekł Bernard — zadowolony tem co mam i nie skarzę się. Niewiele zarabiam, ale potrzebuję też mało... czasu mi zbywa dosyć na pracę.

Hrabina, zawahawszy się nieco, przyznała się potem, iż szukała dla niego miejsca i miała znowu na widoku jedno, któreby był jego polepszyć mogło. Szło o towarzyszenie w podróży dla dokończenia wychowania młodemu księżątku, chłopcu bardzo zdolnemu, ale żywego temperamentu. Bojarski, który już słyszał o niēm, podziękował stanowczo.

Odpowiedzialność zbyt była wielka, zadanie nadto trudne, a on, jak powiedział, tem co miał zupełnie był zaspokojony.

— Jest-to podziwienią godne — odezwała się

hrabina — ta pańska sumienność i bezinteresowność; ale potrzeba myśleć o przyszłości, o starości, o zapewnieniu sobie spokoju w tych latach, gdzie praca będzie trudniejszą.

— Czasu jeszcze mam dosyć — odparł Bojarski.

W oczach zacnej pani, która się tak zajmowała losem jego, mógłby być wyczytać pewien rodzaj politowania nad sobą i poszanowania razem. Pytała go nad czem teraz pracuje — nieumiał odpowiedzieć, gdyż myśli miał bardzo wiele, a żadna z nich jeszcze go nie opanowała tak, aby cały się jej oddał.

W ten sposób płynęło życie Bernarda, którego wszyscy nawykali coraz bardziej uważać i sądzić jako istotę jakąś dziwaczną, nieprzystającą do świata społecznego, żyjącą w innym i nieznośną wymaganiami, jakie zarówno stawiał innym i sobie.

Obawiano się go w wymowie dla prawdomówności dziecięcej, nieoszczędzającej nikogo i mimo dobroduszności a łagodności swój — nieubłaganej.

Osiórocie i osamotnienie, życie z myślami własnymi tylko i książkami, wpłynęło też powoli na samą powierzchowność młodego człowieka, który starszym się daleko wydawał, niż był. Zamieszkiwał się w ubraniu, zapominał często i spoj-

rzawszy nań, można go było posadzić niemal o ma-
nią jakąś, tak był zatopiony w sobie.

W rok po zgonie matki, starą Katarzynę potrze-
ba było oddać do szpitala, gdyż zachorowawszy
ciężko, z łóżka się już dźwignąć nie mogła. Ber-
nard zapłacił za nią chętnie, przychodził ją od-
wiedzać, ale po wyprowadzeniu się z domu, mu-
siał znowu myśleć o zmianie życia. Sługi trzy-
mac nie widział potrzeby, a jeść mógł w najbied-
niejszej restauracyi, tak mało był wymagającym.

Właśnie teraz, gdy o ilość lekcyj swych mniej
się troszczył, bo to co z nich miał wystarczało mu
do życia, nastąpił zwrot niespodziewany. Zaczęto
się dobijać o niego. Było to skutkiem téj trochy
sławy, jaką pozyskał, i sumiennosci, z którą peł-
nił swe obowiązki, nie będąc wymagającym w za-
płacie. Bojarski musiał odmawiać niektórym
spóźnionym, chcąc zawsze czasu część poświęcić
pracy dla samego siebie.

Poemat przebrzmiał bez wielkiego rozgłosu, wy-
danie pierwsze się rozeszło, a pan Teofil nie upomi-
nał się o drugie; przed znajomymi ubolewał on nad
tém, że się zawiódł na Bojarskim, który ma talent,
ale spożytkować go nie umie.

Przez czas dosyć długi Bernard nie miał ani
ochoty, ani czasu dowiadywać się o losy Klary.

Ktoś mu półgębkiem oznajmił, że jest w położeniu dosyć znośnem, bo przyjaciel, radzca Emil, losem się jęj zajmował. Nie potrzebowała więc dawnego swego opiekuna, który stracił nadzieję, aby ją mógł na lepszą nawrócić drogę. Przebąkiwano, że miała ukazać się w teatrze i że się do tego przysposabiała.

Znając swą słabość dla nięj, Bojarski rad był niemal, że się nie czuł do obowiązku czuwania nad nią.

Przypomniał ją sobie dziewczątkiem ze złocistemi kosami, siedzącém w okienku dworku, i wzdychał nad losem, jaki jęj był zgotowany. Dałby był za to wiele, gdyby ją mógł widzieć szczęśliwą i spokojną, taką jak marzył. Starał się zapomniać o nięj, a żadna inna kobięta, pomimo że ich wiele spotykał, nie obudziła w nim tego uczucia, co ona. Był wielbicielem piękności, skłaniał głowę przed ideałami plastycznemi, lecz zawiedziony raz, już w nich nie szukał aniołów, których rysy zapowiadały.

I byłby może powoli zatarł się w pamięci jego obrazek ów uroczy, gdyby po milezeniu długim, dnia jednego nie odebrał karteczki znajomym charakterem nabazgranęj, w której go proszono usilnie, aby odwiedził starą przyjaciółkę młodości.

Wprost z lekcyi około południa pośpieszył na ulicę Wierzbową, gdyż adres dawny pozostał.

Oczekiwano już tu na niego i służąca skwapliwie mu drzwi otworzyła, prowadząc do saloniku. Na kanapie siedziała Klara, z oczyma zaczerwienionemi, z brwiami ściągniętymi, z wyrazem gniewu i oburzenia na twarzyczce jeszcze ładnej, ale napiętnowanej jakąś namiętnością, nad którą zapanować nie mogła.

Porwała się natychmiast z siedzenia, obie ręce wychudłe wyciągając ku niemu.

— Pan zupełnie o mnie zapomniałeś!

— Nie chciałem być natrętnym.

— Wiész pan co się stało?— dodała bez żadnego przygotowania.— Ten pan radzca Emil, pański przyjaciel, to ostatni łajdak. Uwodził mnie, uwodził, alem ja też rozum miała, bom się raz sparzyła. Mówił że gotówby się ożenić... miał mnie wprowadzić do teatru; wszystko to było oszukaństwo, podłość! Teraz, gdy się przekonał, że ze mną nielatwa sprawa, bo ja drugi raz nie myślę grać roli opuszczonej Aryadny, zwinął się i porzucił.

Bojarski, słuchając, pilno jęj patrzył w oczy; zmieszała się od tego wzroku, zarumieniła i jakby w nim wyczytała niedowierzanie, dodała:

— Słowo daję, tak było, nie inaczej! Niech mi pan wierzy. Bywał u mnie, pomagał mi, alem go trzymała zdaleka. Widząc że ze mną trudna

rada, zostawił mnie tak na piasku. W teatrze się pomieścić ani myślę. Co ja tu pocznę, co pocznę?

Bernard, pomimo całej swój słabości dla nie-szczęśliwój istoty, uczuł wreszcie obowiązek mówienia z nią otwarcie.

— Co panna Klara poczniesz, nie wiem— rzekł—ale że coś trzeba począć i nie rachować na płoche stosunki, to pewna. Widzisz pani, że one do niczego jej nie doprowadziły, oprócz zawodu i narzekania. Nikt na świecie pani nie pomoże, jeśli sama sobie nie zechcesz pomódz, wchodząc na inną drogę.

— Na jakąż drogę? na jaką? — niecierpliwie syknęła Klara, przesywając go oczyma. — Właśniebym rada, aby mi kto ją wskazał.

Bojarski uzbroił się w męstwo; długo pobłażał, ale czas było mówić otwarcie.

— Droga jest tylko jedna — rzekł. — Każdy musi i powinien pracować, to prawo ogólne. Są ludzie, co na loteryi życia wygrywają próżnowanie, ale to są przypadki. Trzeba pracować i żyć skromnie.

Klara się oburzyła i wybuchnęła.

— A! to mi piękny przyjaciel —zawołała—to mi piękny dawny kochanek! Czy pan tego nie rozumiesz, że ja do téj grubój, męczącój pracy nie jestem stworzona?

Ruszył ramionami Bernard.

— Niepodobna żyć kosztem drugich, na miłość Boga!—dodał surowo. — Jeżeli pani nie zechcesz zmienić tych błędnych pojęć i rachować będziesz na nie wiem już co... ani ja, ani nikt jój nie pomoże. Raz musiałem jój prawdę powiedzieć.

— Aby się odemnie uwolnić, nieprawdaż?— krzyknęła z gniewem Klara—aby mi nie pomagać!

— Przeciwnie, aby dopomódz jój do tego, co może spokojny i ucziwy byt zapewnić — rzekł Bojarski.

Saska płakać zaczęła, ale z gniewu. Serce się Bernardowi poruszyło, wytrwał jednakże, bo czuł że inaczej jak surowością nie poradzi tu nic. Wątpił nawet, czy i nią co zrobi z zepsutą i obalamuconą, ale chciał przynajmniej próbować. Nie przerywając jój łez, których wybuchy się powtarzały kilkakrotnie, Bojarski usiadł i czekał.

-- Mów że pan, co mam robić? — zapytała wkońcu, milezeniem rozdrażniona panna Klara.

— Na nikogo nie rachować, prócz na siebie— rzekł Bojarski—stosunki z płochymi ludźmi zerwać i wziąć się do pracy.

Klara tupnęła nogą.

— Do jakiej pracy? — przerwała. — Ja nie umiem nic. Chcesz abym innych przyjmować przestała, dlatego żebyś sam tylko bywał u mnie? Zarumienił się Bernard.

— Myli się panna Klara — rzekł—ja nie będę

bywał, to pewna. Założ pani sklepik, pracownię bielizny, co chcesz, dam na to pieniądze, choć noga moja tu nie postanie; ale—przepraszam, nie dla pieniędzy moich, tylko dla niej będę kontrolował każdy grosz i słuchał rachunku. Na bieliźnie, na haftach znasz się pani, na to wielkiej umiejętności nie potrzeba.

— Ale to podła rzecz!—przerwała Saska.

— Daleko uczciwsza i szlachetniejsza, niż łapanie ludzi na swą piękność i rachowanie na ich słabość—dodał Bojarski.

Stanowczość, z jaką się tego dnia odzywał, wywarła nakoniec wrażenie na Klarze. Powoli, otarłszy łzy, zadumała się, zdawała poddawać wyrokowi, który zapadł na nią. Bojarski mileżał. Przedsięwziął kuracyą heroiczną, choć się nie łudził jój skutkiem.

Po chwili przerwał sam milczenie.

— Od śmierci matki mojej—rzekł—nie mam wydatków tak wielkich, a lekeyj dosyć; oszczędziłem trochę grosza, gotów więc jestem parę tysięcy złotych i więcej poświęcić, dla uratowania panny Klary; ale ich wyrzucić w błoto nie mogę. Są ubodzy, którzy niemi podźwignąćby się mogli.

— Obchodzisz się pan zemną okrutnie—westchnęła Saska.

— Inaczej nie mogę—dokończył, biorąc za kapelus, Bojarski.

Klara przeszła się, ręce załamując, po pokoju.

— Nie odchódź-że pan. Więc cóż? co mam robić? mów!

Znowu się jój łzy z oczu polały.

Bernard sam dobrze jeszcze nie wiedział, jak swój pomysł doprowadzić do skutku.

— Jeśli się pani poddasz moim życzliwym radom, postaram się poszukać kobiety w wieku, którąbym jój mógł dać do pomocy.

— Do nadzoru!—kwaśno przerwała Klara.

Na to wcale nie odpowiedział Bojarski i zakończył:

— Dam jój znać.

To mówiąc, wyszedł, aby nie zmięknąć. Sam dziwił się mężtwu własnemu, ale był razem niem dumny. Miał litość dla biédnego dziewczęcia, gotów był do ofiary, ale chciał, aby ona skuteczną się stała.

Sam nie mając znajomości, udał się do jednój z poważniejszych naczelniczek pensyi, u którój dawał lekcyę, jój prosząc o następczenie niemłodej a statecznej osoby, którójby Klarę mógł powierzyć. Znalezienie kandydatki nie było trudnem, ale zapewnienie się, że ona odpowie wymaganiom położenia—niełatwe. Wzięła do serca tę sprawę pani L... i gorąco się nią zajęła. W kilka dni potém wdowie po urzędniku, osobie długiem nieszczęściem znękanój, powierzyć mógł Bojarski

Klarę, nie kryjąc przed nią, że będzie miała wiele do czynienia, nim płochną i zepsutą istotę na poważniejszą drogę wprowadzi. Wszystko co miał, ofiarował Bernard na założenie pracowni, której głową miała być Klara, a kasyerem i rachmistrzem pani Lacka. Poddanie Saskiej pod kontrolę i nadzór starszej kobiety bolało ją strasznie; przywiedziona jednak do ostateczności, nie mając nic innego do wyboru, uległa.

Rachowała zapewne na Bojarskiego, który znaczną dla niej czyniąc ofiarę, zdawał się zakochanym jeszcze i mogącym się wkońcu z nią ożenić

Raz za mąż wyszedłszy za niego, obiecywała sobie powetować wszystko i pomścić, co ucierpiała.

Mylna to jednak była rachuba, gdyż to, co pozostało w sercu Bernarda, już się miłością nazwać nie mogło. Jak na grobie kładą się wieńce, tak on wspomnieniom zawiedzionych nadziei składał ofiary. Bolesnym mu było pierwszy swój ideał widzieć bez ratunku zgubionym i upadłym, ale czuł, że ją od niego dzieliła przepaść i że nigdy ani szczęśliwymi z sobą być nie mogli, aniby ona mogła go zrozumieć. Pierwsza ta miłość odstręczyła go od wszystkich innych. Ucierpiał zbyt wiele, aby się mógł znowu dać pochwyć złudzeniom, upoić nadziejom.

— Beatrycze mieszkają w obłokach! — powtarzał smutnie — nie szukać ich na ziemi.

Zmiana w postępowaniu z Klarą była jakby zwiastunką wielkiej metamorfozy wewnętrznej istoty człowieka, który dotąd żył więcej zamknięty w sobie i wahał się z objawieniem na zewnątrz.

Mając zwyczaj robić z sobą rachunek sumienia, Bernard właśnie, w tym czasie przebiegłszy myślą życie swoje, znalazł je czczem, mdłym, bezsilnym, raczej przygotowaniem do żywota, niż rozpoczętą walką.

Los, czyniąc go sierotą, dawał mu teraz zupełną swobodę czynu, nie kępując go już łzami i troskami matki, poszanowaniem jej spokoju. Był sam i mógł się poświęcić cały temu, co uważał za obowiązek. Należało tylko zbadać, co miało być jego obowiązkiem, co celem życia.

Bernard zamało się cenił, aby sobie zbyt wysoko go postawił. Obawiał się o siłach swych tuszyć zanadto. Kształcić siebie i drugich, cześć dobro i piękno i ku nim prowadzić, walczyć za prawdę, być pracownikiem winnicy nie dla grosza, ale dla rozkoszy znoju... zdawało mu się najpiękniejszym zadaniem.

Podniósł głowę mężnie, postanawiając iść raz wytkniętą drogą.

Tego dnia, gdy nieco rozgorączkowany rozmyślaniem, uczynił ślub apostołstwa prawdy, dobra i piękna, pobiegł na Powązki, u grobu rodziców

go powtórzyć. Związał się niejako przysięgą, iż nigdy apostatą nie będzie.

Mięwał takie chwile uniesienia Bojarski i czuł się naówczas szczęśliwym. Powracającego z cmentarza w tém usposobieniu rzewném, w upojeniu jakimś, spotkał na ulicy zdawna niewidziany Muliniec. Rozpalona twarz, iskrzące się oczy, ożywione rysy, rozpromienione czoło, dały odrazu poznać Cezarowi, iż przyjaciel jego nie był w tym stanie dni powszednich, w jakim go dawniej spotykał.

Ścisnęli się za ręce.

— Zkąd-że to?—zapytał Cezar.

— Z cmentarza, od grobu rodziców—odparł z otwartością Bernard. — Potrzebowałem wniknąć w siebie i coś postanowić o przyszłości. Duchem połączyłem się z moim ojcem i matką, aby oni mi z lepszego świata byli pomocą na tém polu walki.

Brzmiało to dosyć dziwnie dla ostygniętego zawsze Cezara, który nagle przerzucony w sfery, w których rzadko przebywał, potrzebował chwili namysłu, by się do przyjaciela dostroić.

— Jesteś dziwnie poruszony—rzekł.—Czy zaśzło co w twém życiu? Czy doznałeś jakiego zawodu, zabłysła ci jaka nadzieja?

— Nie, w życiu mojem niema najmniejszej zmiany—odparł Bernard—czuję ją tylko w sobie. Dałem się trochę zadługo unosić prądowi życia

biernie, muszę więc coś postanowić, trzeba coś robić...

Muliniec patrzył na niego, jak lekarz na chorego.

— Mów jaśniej—dodał.

— Powiadam ci co myślę—uśmiechnął się Bernard.

— Czy zamierzasz jaką wielką reformę?—spytał Cezar, idąc z nim dalej—zaprzagnąłeś innego zawodu?

— Nie—żywo przerwał Bernard—mam tylko sobie do wyrzucenia jakąś opieszałość, zleniwienie, chcę z nich wyjść.

— A!—dodał Muliniec—ja sobie też mam do wyrzucenia, żem ciebie z tego miejsca, tak właściwego tobie, można powiedzieć, wysadził. Hrabina byłaby się z tobą pojednała, bo i teraz często wspomina cię sympatycznie, osobliwie od wydania poematu. Gwalbertek dotąd za tobą tęskni i kocha cię, a Francuz byłby musiał mileżeć. Nie wiem czy tobie równieby dobrze było u hrabiny jak mnie, ale ja jestem jak u Pana Boga za piecem. Opływam we wszystko, przyszłość mam ubezpieczoną i maleńką ofiarą miłości własnej zdobyłem tak wiele, iż mam na sumieniu, żem ciebie tego pozbawił.

— A!—rozśmiał się Bojarski—to miejsce nie było dla mnie, a ty jesteś do niego stworzony. Nie

mówmy o tém. Wspomniałeś o poemacie. Są tam dwie czy trzy postacie sympatyczne z większego świata; wnosząc z nich, uznano, że *laudator temporis acti* i odstępcą od demokratycznój idei. Przyznam ci się, że to mnie zabolalo. Przykro jest nie być zrozumianym, a boleśniej jeszcze posądzonym o pochlebianie możnym. Będę się teraz musiał starać dowieść, że lud kocham, że oddanie sprawiedliwości wodzom nie przeszkadza mi cenić żołnierzy. Poemat ludowy stał się dla mnie koniecznością.

To mówiąc, rozśmiał się Bojarski.

— Cóż ty na to?

— Ja, pytam się tylko, jak stworzysz poemat ludowy, nie żyjąc z ludem i nie wżywszy się w niego?

— To prawda— żywo odparł Bernard— ale nie przeszkadza, abym nie miał poznaniu ludu i zbliżeniu się do niego kilku bodaj lat poświęcić.

Muliniec spojrział nań niedowierzająco.

— Bodaj zawiłka ofiara—szepnął.

Bojarski był wesół, serce mu się otwierało jakos szeroko, duch w niego wstąpił. Uścisnął przyjaciela.

— Cóż ja mam lepszego do czynienia na tym świecie?—odezwał się rzeżko.— Będę marzył, śpiewał, uczył się i uczył innych. Na nic więcej się nie zdałem.

— Mógłbyś być szczęśliwym, a kogoś uczynić też z sobą szczęśliwym i otoczyć się rodziną— rzekł Muliniec.—Nigdyżeś o tem nie pomyślał?

Bojarski się zasepił.

— Lękałbym się obarczenia zbyt wielkim obowiązkiem—odezwał się wkońcu.— Swoje szczęście można stawić zawsze na losy, ale cudze.... A potem troska powszednia, myśl nieustanna o chlebie zabiłaby we mnie czciciela piękna i prawdy.

— Cóż, nie urodziłeś się przecie na mnicha?— rozśmiał się Muliniec.

— No, nie wiem—rzekł poważnie Bojarski.— Myślałem o tem nieraz, że trochę gorętsza wiara uczyniłaby mnie nim mogła.

— Nie jesteś przecie niedowiarkiem.

— Ale też nie ascetą i niedość może gotowym do poddania woli swojej rozkazom starszych—mówił Bojarski.

Szli kilka kroków milczący.

— A kobiety?—szepnął, spoglądając na towarzysza, Muliniec.

Rumieniec lekki przebiegł po twarzy Bernarda.

— Nie są stworzone dla mnie—westchnął.

— Nie kochałeś się nigdy?

— Raz i tak nieszczęśliwie, że mnie na wieki odpadła ochota powtórzyć ten sen uroczy, z którego rozbudziła mię boleść.

— A! — żartobliwie dodał Cezar — panna cię zdradziła.

— Nie, bom się do niej nie zbliżał prawie — mówił dalej Bernard — ale zdradziła ideał niewieści, który ja w niej widziałem. Stała się nagle z ideału najpospolitszą, niestety, litość tylko obudzającą istotą.

Z ciekawością, znajdując go dnia tego tak otwartym, Muliniec się przysłuchiwał opowiadaniu i badał człowieka. Wydał mu się więcej niż ekscentrycznym, posądził go niemal o jakieś małe umysłowe zboczenie.

Rozstali się tak po dosyć długiej przechadźce, a pan Cezar wyniósł z niej to przekonanie, iż z Bojarskiego nigdy porządnego człowieka nie będzie. Marzyciel i dziwak!

Rozeszło się to wkrótce po ludziach; a że niejednen już wprzód się wyśmiewał z Bernarda, potwierdziło opinią o nim dwuznaczną. Zauważono potem jakąś podwojoną czynność, krzątanie się niespokojne, podbudzenie nerwowe w Bernardzie.

Piotruś Grochowski, uśmiechając się, szeptał:

— Pisze nowy poemat.

Wistocie jednak Bojarski nie pisał jeszcze nic, ale zaczął i plany tworzył olbrzymie. Zarazem z gorliwością niezmierną poświęcał się swoim lekcjom, a doprowadzał do skutku spętanie Klary, która płakała, narzekała, ale poddała się konie-

czności i rozpaczała, że musi krajać koszule i kołnierzyki, w nadziei iż posłuszeństwem tém ujmie i zwiąże Bernarda.

Tymczasem jedno jej słowo, wyrzeczone w piérszej rozmowie z przekąsem, że on innych chce od niej odpędzić, aby sam mógł bywać tylko — skłoniło surowego opiekuna do zupełnego zaprzestania odwiedzin u Klary. Stara jejmość przychodziła mu zdawać sprawę z tego, co się u nich działo, lecz on unikał spotykania się z Saską.

Niewielka była nadzieja, zdaniem téj pani, którą do dozoru dodano, aby się kiedy Saska dała usatkwować; tymczasem jednak zakład, któremu Bojarski poświęcił co tylko miał, szedł jako tako.

Miał mocne postanowienie Bernard, gdyby się ofiara okazała nadaremna, więcéj już się losem biednéj Klary nie zajmować.

Wśród tych zaprzątnień nauką, poezją, sztuką, wychowaniem, zbliżyły się wakacye, które Bernard miał spędzić w mieście. Spotkał się jednak w ulicy z hr. Zygmuntem przypadkowo i to zmieniło jego postanowienie.

— My za parę dni jedziemy na wieś — rzekł do niego hrabia — jeżeli ci nie było bardzo źle z nami piérszym razem, to jedź, proszę cię. Odpoczniesz na wsi, odetchniesz świeżém powietrzem, a żona moja mieć będzie wieczorami lektora, za którym tęskni.

Zawahał się trochę Bernard; ale lud mu przyszedł na myśl, a z nią pokusa.

— Jedź—dodał hrabia—nie wahaj się. Mamy dla ciebie miejsce w powozie, prosimy i czekamy.

Chciał się jeszcze namyślać Bojarski, ale stary hrabia chwycił go za ręce i z pańską swą, dobroduszną poufałością ujmującą rzekł, nalegając:

— Jedź, zrobisz nam przyjemność, a naprawdę i tobie lepiej będzie, niż w mieście. Człowiek nigdy całkiem wsi i natury wyrzekać się nie powinien. Poeta jesteś, masz obowiązek kochać sielankę, zwłaszcza naszą własną....

I jakby odgadnął myśl wahającego się Bernarda, dodał wkońcu, śmiejąc się:

— Będziesz lud nasz studyował i poemat napiszesz, w rodzaju Wiesława.

W ten sposób dał się namówić do podróży Bojarski. Powierzył swe mieszkanie opiece Żardyńskiego, Klarę i jej zakład pani L., a sam, odżywiony i wesół, siadł do koczyka, razem z hrabią Zygmuntem.

Z głową pełną tego ludu wieśniaczego, u którego się najstarsze całego rodu człowieczego tradycje przechowały i który wszędzie przedstawia jakby źródło, jakby surowy materiał narodu—Bernard przybył do starej, cichej rezydencji hr. Zygmuntownstwa, dokąd i syn ich Leon miał z Galicyi przyjechać w odwiedzin. Od wielu lat już

nie widzieli się i nie spotkali z sobą. Bojarski ciekawym był, co wyrosło z wiele obiecującego, poważnego młodzieńca, który znalazł się teraz wśród społeczeństwa nowego, pokrewnego wprawdzie, lecz stuletniem oderwaniem mającego wyrobione życie właściwe. Oprócz hr. Leona, zaproszonych na polowania przybyło kilku panów galicyjskich, a z okolicy ściągnęła się szlachta, z dawna z domem hrabiów połączona węzłami przyjaźni i klienteli.

Dla Bojarskiego nie było tu właściwie towarzystwa, oprócz hrabiny. Wszyscy panowie, nie wyjmując hr. Leona, żyli duchem i ciałem w innych sferach, niedostępnych uczonemu literatowi, z którym obchodzili się grzecznie, ale dając mu mimowolnie uczuć, że do sfery ich nie należy.

Kto inny byłby to może uczuł inaczej i wziął za złe, ale Bojarski swój świat, zajęcia i powołanie cenił tak wysoko, iż nikomu niczego nie zazdrościł. Byłby nawet zakłopotanym może, gdyby się go starano wciągnąć w poufalsze obcowanie z ludźmi, nawykłymi zajmować się przedmiotami dla niego obcemi.

Biblioteka, ogród, lasy stały dla niego otworem, dalej probostwo, szlacheckie dworki, do których go zapraszano, i klasztor w blizkiem miasteczku, mający też pozostałe szczątki biblioteki z dawnych czasów. Hr. Zygmunt, a nawet pani Ma-

rya, której miłe było towarzystwo Bernarda i bawiła ją jego dobroduszość a naiwność, dawali mu jaknajzupełniejszą swobodę, z której on korzystał chętnie.

Do uprzyjemnienia pobytu na wsi przyczyniło się i to, że hr. Anna zapowiedziała odwiedziny swe z Gwalbertkiem, z nieodstępnyim abbé i Muliniec. Wprawdzie Muliniec zaraz po przybyciu potrafił się wcielić, uczynić potrzebnym towarzystwu paniczów i usiłował na pewnej stopie zająć w niém stanowisko, zato pozostał mu Gwalbertek, zawsze wierny swemu przywiązaniu do pierwszego nauczyciela, a hr. Anna wcale nie bronila im po całych dniach być z sobą. Muliniec przyłączał się na chwilę i odbiegał, zajmując końmi, polowaniem i tą pustą gawędką, w której celował, jak gdyby do niej był stworzony.

Z paniczami, dla przyszłych dobrych stosunków, dobrowolnie się czynił maluczkiem, pokornym, nieukiem, choć niemilosiernie ich później na cztery oczy przed Bernardem wyśmiewał.

— A po całych dniach siedzisz z nimi i potakujesz im — czynił uwagę Bojarski.

— Nie przeczę, naprzód że to ciekawe studjum dla mnie, a powtóre że chcę mieć stosunki, inaczéj zaś jak ofiarą inteligencji one się nie okupują.

Niezmierną pociechę miał Bernard z Gwalbertka, który zdawał się nadspodziewanie iść w kie-

runku niezależnym własnym, nie dając się ani obalamuwać pobłażaniem Mulińca, ani spętać surowością matki. Czas ten, który Bernard spędził przy chłopcu, w chwili gdy dusza jego jak kwiat się otwierała, podziałał na przyszłość całą.

Niejedno słowo utkwilo i stało się posiewem. Na samotnych przechadzkach, w których im rzadko Cezar towarzyszył, zarzucał Bojarskiego Gwałbertek pytaniami i wątpliwościami, wprawiającymi w zdumienie.

Chłopię zdawało się więcej uczyć, wpatrując w postępowanie Bojarskiego, niż prosząc go o rady. Patrzyło na zapał, z jakim się oddawał naukom, na rozkosz jaką go to napełniało gdy coś pochwycił, nabył, rozświecił, stworzył sobie jako zadanie, na obojętność zupełną dla czezych rozrywek, za którymi się inni ubiegali.

Gwałbertek śledził każdy krok Bernarda, rzucił czasem nieśmiałe pytanie, żądając objaśnienia, a widząc go tak spokojnym, obchodzącym się małym, wesółym, szczęśliwym, potrosze zapragnął go naśladować.

Na przechadzkach, gdy mu Bojarski wskazywał to piękności widoków, to go zaciekawiał tajemnicami życia i natury, to zwracał uwagę na lud pracowity, niewykształcony, a stosunkowo do miary swój cywilizacyi rozumny i umiejący żyć w ciasnych warunkach, jakie mu dola jego zakre-

ślała.—Gwalbertek zapalał się, z tą chęcią naśladowania nauczyciela, która wszystkich umysłów młodych jest cechą.

Razem z Bojarskim zażądał chłopiec stworzyć sobie zielnik krajowych roślin; potem spisując zaczął piosenki i przysłowia i t. p.

Matka, hr. Anna, uważała to za nieszkodliwe zabawki, jednakże jednego dnia wzięła Bernarda na stronę i bardzo delikatnie prosiła go, aby Gwalbertkowi dał do zrozumienia, że jego powołanie było inne, że życie go do daleko ważniejszych przeznaczało zadań.

Na jednej z przechadzek Bojarski dotknął tego przedmiotu.

— Wszystko to—rzekł do herboryzującego paniczka—dobre jest dla mnie, bo ja nie mam nic innego do czynienia, tylko uczyć się przez całe życie, lub potrosze innym pomagać do uczenia się; ale panu Gwalbertowi, dziedzicowi przyszłemu wielkich włości, mającemu zająć stanowisko wpływowe w obywatelstwie, temu się całkiem oddawać nie godzi. Masz inne obowiązki.

— A pan sam mówileś, że najpierwszym obowiązkiem człowieka jest samego siebie do jak najwyższego stopnia wykształcenia doprowadzić? Wszakże nauka jest środkiem do tego.

— Tak, ale wy możni nauce niekoniecznie macie obowiązek oddawać się sami—mówił Ber-

nard.— Dostarczając uczonym środków badania, posiłkując ich, spełniacie posłannictwo, a zato owoc nauki przynoszą wam oni obrany z łupiny i gotowy do przyswojenia.

— Rozumiem—odezwał się Gwalbert—ale zawsze ja na tém tracę, boś pan mi mówił, że badanie człowieka wyrabia, władze jego podnosi, więc my zawsze pozostaniemy niedouczonymi i dyletantami... Nie może-ż człowiek bogaty poświęcić się nauce, którą ukochał, oddać się jej cały?

— Kochany mój Gwalbercie—przerwał Bojarski—widzisz to sam, że ludzi ich położenie rozdziela na wiele różnych klas, które pracę ogólną wykonywają wspólnie. Wy też wydział swój macie; stoicie u steru, nadajecie ton pewnemu światu i możecie nim pokierować na drogi piękne i ucziwe. Hr. Aleksander Chodkiewicz bawi się chemią, pisze tragedye, zakłada litografię, a mało ma wpływu na społeczeństwo. Ludzie zane jego chęci, trud pocziwy wyśmiewają, uczeni je lekceważą, a tymczasem to, czegoby Chodkiewicz mógł dokonać, otwierając tylko salon, dający hasło arystokracji do czynu—pozostaje niedokonane.

Gwalbertek się zamyślił.

— A! to mi się podoba! — odezwał się po chwili.—Panu, dlatego żeś Bojarski, ma być wolno pójść za popędem umysłu i serca, rozkoszować

się nauką, dociekać tajemnic natury, być szczęśliwym, a kto inny, na przykład hr. Leon, musi nudzić się dóbr zarządem i przodowaniem obywatelstwu....

— Tak jest, kochany hrabio — rzekł Bernard — z tym wyjątkiem, że gdyby w duszy zrodziła się żądza niepohamowana nauki, światła, naówczas iść należy za nią. Nie mam jednak o to obawy, abyś ty się dał zwiechnąć, bo zawczasu masz przez matkę wpojone zasady, jakimi rządzić się będziesz. Wiész co cię czeka, a dola twoja nie jest znowu tak nieszczęśliwą.

— A wolno mi powiedzieć, co ja sobie myślę? — przerwał chłopak, pufale wpół obejmując nauczyciela.

— Zawsze... zawsze! — odparł Bojarski.

— Czy pan tego nie rozumie, że się może w młodej głowie zrodzić przeciwieństwo, naprzekór właśnie temu, co w nią chcą koniecznie wpoić? — rzekł Gwalbert. — Zdaje mi się, że nawet w logice, której mnie uczy l'abbé, znalazłem potwierdzenie tej prawdy, że rzeczy wręcz sobie sprzeczne równie się wywołują, jak sobie podobne.

— Być może, kochany Gwalbercie — dokończył Bojarski, pragnąc uniknąć dłuższej w tym przedmiocie rozprawy — ale uczucie obowiązku powinno walczyć z zachciankami, a w życiu obowiązek idzie przede wszystkim.

Na tém dnia tego skończyła się rozprawa: Gwalbert pozostał zadumany głęboko. Matka, troskliwa o swe dziecko, nawykła czytać w jego duszy, tak się obawiała wpływu Bernarda, choć poemat ją był uspokoił, we względzie jego przekonań, że Mulińcowi wkońcu poleciła nie puszczać go sam na sam z Bojarskim.

— Bardzo zacny i miły człowiek, ale to marzyciel— wytłumaczyła się— a na taką sensytywę jak Gwalbertek działa on ogromnie, bo dziecko go kocha. Czuwaj więc pan.

Rad nierad, Muliniec musiał oderwać się od myśliwych, a powrócić do swego wychowanka i stać przy nim na straży. Wkrótce też potem hr. Anna odjechała do swoich dóbr, a Bojarski sam pozostał.

Na plebanii u hrabiostwa siedział więcej niż siedemdziesiąt lat już liczący sobie ks. Wojucki, kanonik honorowy katedry lubelskiej, dziekan, prałat i duchowny starego autoramentu.

W czasach tych, w których kościół nie miał do walczenia z nikim, oprócz filozofów francuskich, a tych wpływ u nas słaby był, nieznaczny i do pewnych kólek ograniczony— duchowieństwo całe miało inny charakter, obowiązki, można powiedzieć powołanie. Nie wydzielalo się ono tak z o-

gółu, lecz szło z nim równym krokiem, w wielu zadaniach posiłkując mu, było pobłażającym, a w związku serdecznym ze społecznością czerpało siłę, która i religii w pomoc przychodziła.

Ks. Wojucki pamiętał te stare dzieje i zupełnie odmienne stosunki społeczne. Był to kapłan tych czasów patryarchalnych, dziś okrzyczanych, w których dwór, plebania, wioska składały jedną całość, wielorakiemi zniszczoną węzłami. Wieśniak nie marzył o emancypacyi, ale rachował na opiekę: dwór popierał plebanią, a proboszcz stał po stronie władzy patryarchalnej.

Zwolna przyszyły pojęcia, wymagania nowe i nagle okazało się, że to co latom długim starczyło, dla przyszłości było zgubne. Zażądano swobody dla włościan, kościół znalazł się pod kontrolą już nie oddalonego Rzymu, ale miejscowej władzy świeckiej. Nastąpiły starcia... dwór coraz się stawał bardziej osamotnionym i poczuł otoczonym nieprzyjaciółmi. Nadchodziły lata walki dla wszystkich, mające nowy organizm państwowy wyrobić, epoka przesileń... Kościół stał się w całym znaczeniu tego wyrazu wojującym.

Ks. Wojucki patrzył na to, ze stanem nowym rzeczy pogodzić się nie mogąc. Staruszek był gawędziarz wesoły, niewyczerpana skarbnica wiekowych podań, anegdot, dowcipów, tradycyj; pobożny, dobry, wyrozumiały, lecz musiał znaczną

część spraw zdawać na młodszego zastępcę, bo ich nie rozumiał. Po staremu godził, jednał, zbliżał, błogosławił, a na stanowisku bojowém długo wytrwać nie umiał.

Dla Bojarskiego plebania z tym staruszkciem, przykutym wiekiem do fotelu, siedzącym zawsze w domu, radym gościowi, opowiadającym o starych dziejach z zapalem, który na chwilę prawie młodość mu przywracał — była najmilszym poobiednim spoczynkiem. Ks. Wojucki bardzo sobie podobał Bernarda, z którym mógł nawet po łacinie się rozmówić, a łaciną chlubił się i lubił ją. Oczekiwał też na niego niecierpliwie i równie ciekawie przysłuchiwał się temu, co Bernard mu o nowych czasach prawił i o wielkich ich wynalazkach.

Raz wśród tej gawędy, gdy mówić zaczęli o ludzie, Bojarski się odezwał z zapytaniem o szkółki.

— Dawniej w Polsce było ich pełno, każdy znaczniejszy kościół miał swą szkołę, nauczyciela i dozorcę...

Ks. Wojucki ręką zamachnął w powietrzu.

— Myślisz asindziej, że to ludowi koniecznie potrzebne? — rzekł. — Ma on swój rozum i swoją naukę, a jak liźnie innéj, w głowie mu się zawraca i od roboty odpada ochota. Byle pacierze umiał, a katechizm, to dla niego dosyć.

— Mnie się zdaje że nie, księże prałacie dobrodzieju — odparł Bernard. — Jak wszędzie, tak

i wśród ludu są zdolności różne, rodzą się z talentami ludzie i marnieją bez wykształcenia. Trzeba choć furtkę otworzyć, aby to co ma siły mogło w świat wyjść i tak się podnieść wysoko, jak tylko zdoła.

— To są wasze nowe utopie — odparł ks. Wojucki.

— Ale choćby dla samego oświecania się w rzeczach wiary, nauka nie jest do pogardzenia. Kto do niej nie będzie miał ochoty i usposobienia, zmuszać go nie potrzeba, lecz... Jużci u hrabiostwa, tak troskliwych o dobry byt ludu, szkółka być musi.

Ks. Wojucki strzepnął rękami obiema.

— Była szkółka, której budynek rozwalony do dziś daia stoi; jest paręset złotych dla bakałarza; ale gdzie tu kto myśli dzieci posyłać do nauki? Majętniejszych włościan niewielu, a ci, gdy się uprą dzieci uczyć czytać i pisać, szukają sobie bakałarzy po miasteczkach. Reszta woli, aby chłopaki gęsi pasły.

Poruszył głową Bojarski i na tém się skończyło, bo ks. Wojucki począł rozwijać szeroko teorią tego, że każdy powinien trwać w tym stanie dla którego się urodził i t. p., a Cham był do roli przeznaczony.

Wieczorem Bernard zagadnął hrabinę, która się czynnie ludem opiekowała, o szkołkę. Nigdy

tu o niej mowy nie było. Wspomnienie o tém rozgrzało bardzo panią domu. Nadszedł hrabia Zygmunt, który sam niegdyś próbował wskrzesić szkołę elementarną we wsi, ale się rozbił o tysiące małych trudności, jakie spotykał na każdym kroku.

— Dziś koniecznie potrzeba myśleć o szkołkach po wsiach—począł Bernard—bo inaczej gospodarstwa włościańskie upadną i gdy przyjdzie nieunikniona emancypacya, oczynszowanie, zmiana która jest w powietrzu — wieśniak się wobec niej znajdzie nieprzygotowanym, ciemnym i może stać niebezpiecznym.

— Ja to zawsze mówiłem, mówię i apostołuję za tém—rzekł hr. Zygmunt—ale trudno poczynać pierwszemu i samemu, a początek każdy niezmiernie ciężki.

— Któs jednak począć musi—dodał Bernard.

Przeszkodziło coś dalszej rozmowie, ale Bojarskiemu szkółka ludowa, oświata ludu utkwiała w umyśle i nie dawała spokoju. Nie mówiąc o tém nikomu poszedł obejrzyć rudereę dawnéj szkoły przy plebanii; służącą za skład drzewa i starych sprzętów; począł, spotykając się z ludźmi na polu, badać usposobienia wieśniaków.

Wielkiego zapалу do nauki tu nie znalazł, a natomiast bezmierne utyskiwanie na dolę, na nieo-

placający się trud, który nigdy się niczego dorobić i mienia powiększyć nie dozwalał.

Ze statystyki dóbr przekonał się, że na ogromnych obszarach, wśród tysięcy dusz, ledwie wyjątki bardzo nieliczne czytaniem i pisaniem pochlubić się mogły.

Obok tego ze zdumieniem nadzwyczajnym spotykał ludzi, co nie nie umieli, co cały rozum winni byli sobie i tradycyom, a z którymi o wszystkim, nawet o największych zadaniach, rozmówić się było można i nauczyć czegoś od nich.

Zkąd pochodziła ta mądrość, zupełnie odrębna od książkowej, wyczerpnięta z życia, będąca owocem samoistnego trudu?... Bernard pojąć tego nie mógł.

Reszta jakiejś zagubionej stariej cywilizacji tułała się widocznie pomiędzy ludem i potrzeba było przyznać, że naukowe wykształcenie w wielu punktach stycznych schodziło się z temi prastaremi prawidłami życia i obyczaju.

Im więcej zbliżał się tak do lulu Bernard, tém miłość dla niego rosła. Zdawało mu się zadaniem wielkiem i szczytnem z tego surowego materiału najwyższej ceny próbować dobyć nową siłę społeczną. Potrzeba tylko było światła, światła!

Poświęcić się temu roznoszeniu go pomiędzy zgłodniałe rzesze, mogłoż być co piękniejszego?

Według niego, zbierać umierające piosenki

i przysłowia, gusła i zabobony, nie było dosyć; należało uczyć, podnosić, kształcić.

Jednego dnia przy stole, gdy się ciągle wznawiana w tym przedmiocie rozmowa wszczeła nawo, Bojarski już był tak rozogniony, iż mu się wyrwało, że za najszcześliwszegooby się uważał, gdyby mógł czynnie dla oświaty ludu działać i poświęcić się.

— Gotówbym wdziać siermięgę i zostać bakałarzem—zawołał.

— Ale zmiłuj się pan—przerwała hrabina—na to panaby było szkoda; masz większe zadanie i zdolności wyższe. Tu dosyć bardzo pospolitych a poczeiwych bakałarzy.

— Nie, pani hrabino dobrodziéjko — odparł z zapalem Bernard—tu potrzeba apostołów, mężów poświęcenia i ducha wielkiego, którzyby swe wielkie powołanie zrozumieli. Biédny taki, ubogi bakałarzyna, któremu życie jest ciężkiem, który walczy z niedostatkiem, naucza z musu, czuje się nieszczęśliwym—szczepi razem z nauką nienawiść do ludzi, zazdrość względem możnych, pożądanie cudzego mienia. Wpaja już w dzieci, zamiast uczuć braterstwa i poszanowania, niechęć i usposobienia nieprzyjazne.

Hrabia ujął go za rękę.

— Masz wielką słusność—rzekł—ale gdzież znaleźć takich ludzi, coby się zadaniu cichemu,

niedającymu ani sławy, ani uznania, chcieli poświęcić? W dawnych wiekach tworzyła takich, jak słusznie ich zowiesz, apostołów, wiara; dziś agitatorów tylko wywołać może namiętność polityczna, lub obalamucone doktrynerstwo.

— Zapewne, że o ludzi niełatwo być może— odezwał się Bernard—ale właśnie dlatego ci, co jak ja czują obowiązek, głosowi sumienia powinni być posłuszni. Czém ja światu lepszém przysłużyć się mogę? Napisaniem rozprawy, której nikt czytać nie będzie, lub ci co ją przeczytają, zrozumieją fałszywie. Ulepieniem poematu, w którym czytelnicy znajdą to, czego ja weń nie włożyłem? Powtórzeniem rzeczy, które postokroć były już powiedziane? Mnie się uśmiecha nauczycielstwo wiejskie.

Hrabiostwo obrócili w żart ten zapal Bojarskiego, który też umilkł.

Od tego dnia jednak zaczął coraz pilnieć chodzić po wsiach i nieustannie wieczorami namawiać oboje państwa, aby się koniecznie dla swych włości postarali o szkółki.

Hrabina wreszcie wzięła to do serca, a Bojarski zobowiązał się pomagać.

Ks. Wojucki krzywił się trochę na to, gdy mu stary budynek szkolny zaczęto wypróżniać i przysłano ludzi do pokrycia go nanowo, oczyszczenia, ustawienia w nim ławek i stolików. Bojarski po-

czął biegać do miasteczka, szukając bakałarza; chciał zrobić jaki taki początek.

O nauczyciela wiejskiego trudność była największa. Zapłaty wielkiej otrzymać nie mógł, praca była nużąca i wielka, ludzi do tego usposobionych wcale nie spotykał Bernard.

Szło wprawdzie o skromne bardzo nauki czytania, pisania, katechizmu, czterech reguł arytmetycznych, ale i tych nie każdy był panem, a wielu, co je umiało, nauczać nie potrafiłoby wcale. Naostatek w miasteczku napotkał Bojarski starego zakrystyana, który w młodości nieco bakałarzował, a teraz biedny siedział przy kościele, niemal dziadkiem na łasce. Miał on tę wadę, że się napijał, lecz dopuszczał się tego dopiero wieczorem, więc z biędzy we dnie mógł klepać z dziećmi A B C. Do pensyjki wyznaczonej przez hrabstwo, Bojarski w sekrecie dodał sto złotych ze swojej kieszeni i pan Łukasz Sitko przeniósł się do jako tako polepionej szkoły.

Książki potrzebne sprowadzono z Warszawy, wszystko było przygotowane, brakło tylko jednej rzeczy — uczniów. Wieśniacy tylko potrząsali głowami, nie chcąc zrozumieć, na co im się mogła przydać nauka i szkoła. Dla nich jasnym było, że dzieci, pomagające im w domu, odrywała od roboty, wdrażała do swywoli; korzyści dalszych dopatrzeć się nie mogli.

Pierwszych uczniów potrzeba było werbować, ściągać, namawiać, niemal kupować do szkoły. Bernarda to bynajmniej nie zrażało. Owszem, trudności go podzęgały jeszcze, zachęcały i gdy przyszło powracać do Warszawy, Bojarskiemu żal tak było porzucać rozpoczęte tu wielkie dzieło oświaty, iż dla niego gotów był wyrzec się dawnych zatrudnień i sam tu na pustyni zamieszkać, dla marzonego apostołstwa.

Szczeńciem oboje hrabiostwo łagodnie i rozumnie postarali go się odwieść od tego kroku nierozważnego, dowodząc, że oświecie więcej i skuteczniej mógł służyć w mieście, gdzie klasy rzemieślnicze liczne równie pozbawione były szkółek, opieki i pomocy naukowych, a tam łatwiej się mógł, nie odrywając od zajęć, poświęcić im Bojarski.

Trafiło to do jego przekonania. Wymówił tylko sobie, że nad szkółką, przy której Sitkę umieścił, wolno mu czuwać będzie. Hrabia również podjął się sam trwanie jej zapewnić. Z głową pełną myśli tych o wychowaniu klas pozbawionych dotąd oświaty, powrócił Bojarski do Warszawy, i dawni znajomi jego i przyjaciele znaleźli go zmienionym, przejętym, obalamuconym, jak mówił Piotruś, tą misją oświecania.

Żardyński nawet zimno słuchał gorących jego wywodów i zarzucał mu marzycielstwo.

— Ale czego-bo ty chcesz? — mruzczał. — *Non omnia possumus omnes...* nie wszyscy są stworzeni do tego, aby na tój Jakubowój drabinie, wiodącej ku światłu, wysoko zająć mogli. Nie dokazesz tego nigdy, abyś masy oświecił, a bądźco bądź wybranym zawsze przypada posłannictwo przodowania.

— Ale pewien stopień oświaty jest niezbędnym, bo nas odróżnia od zwierząt, bo człowieka podnosi i uszlachetnia—wołał Bojarski.

— Tak, tak—dokończył Żardyński—pewien stopień, a usposobienia są tak różne, że tych stopni oznaczyć niepodobna. Pracownikom jak my potrzeba o tём myśleć, aby nauka stała jak najwyżej, ale rozpowszechnianie jój rzecz nie nasza.

Wyśmiewano się wprost z Bojarskiego, a co gorzej, ten zapal podał go teraz w podejrzenie, że poślubił jakieś idee demagogiczne.

Radca Emil, który o tём zasłyszał, mając złość do Bernarda, z przekąsem mówił o nim, jako o człowieku niebezpiecznym, chwytającym się niedowarzonych mrzonek i mogącym wpływem swoim źle oddziaływać na młodzież. Znowu więc i właścicielki pensyj i ci co powierzyli uczniów Bojarskiemu, poczeli się wahać, czy mu ich nie odebrać. Wpływ pana radcy był dosyć wielki,

słowo jego miało wagę, lekcy przeto uciekać zaczęły.

Bernard tak był zajęty i przejęty rozmaitemi pomysłami, iż wcale się o to nie troszczył. Dla siebie potrzebował bardzo mało.

W kilka dni po powrocie z wakacyj, poszedł się dowiedzieć o Klarę, którą powierzył dozorowi staruszki, mającej czuwać nad nią. Nie chciał sam iść do niej, aby się nie spotkać z Saską, wezwał ją więc do siebie.

Przyszła znękana wielce i smutna.

— Robię co mogę—rzekła z westchnieniem—ale ani pańskie ofiary, ani moje dobre chęci nie uratują podobno zwichniętego zawczasie i obalą muconego dziewczęcia. Napozór słucha ona niby powoduje się, robi co się jej radzi, ale nie z przekonania, bez ochoty, niecierpliwiąc się i jakiś inny cel mając przed sobą. Dozoruję krok każdy, ale zmuszona pilnować domu, nie mogę ani ciągle chodzić za nią, ani szpiegować co czyni, gdy się wymknie. Wiem jednak, iż stosunków dawnych z rozmaitemi osobami nie pozrywała, że z niemi potajemnie chodzi to na teatr, to na wieczorki, z których wraca podweselona i podrażniona. Z kasy giną pieniądze. Słowem, kochany panie, wielkich panu nadziei nie czynię i nie życzę się ludzi. Popsuć człowieka bardzo łatwo, ale poprawić go

może chyba szczególna łaska Boża. Ja prawie rozpaczam, abym się panu przydać tu mogła.

Rozpytując o szczegóły, Bernard dowiedział się rzeczy wcale niepokojących. Chciał jednak wytrwać i zachęcał swoją współpracowniczkę, aby łagodnie a wytrwale, powoli starała się nawracać tę nieszczęśliwą Klarę.

To o czém dozorczyńni powiedzieć nie śmiała Bernardowi, było dla niej widoczném, że Saska zgodziła się na zmianę życia, na ten nowicyat dla niej nieznośny, tylko w nadziei, że pozyska tém serce Bojarskiego i skłoni go do ożenienia.

Dlatego męczyła się, milezała, znosiła kontrolę, udawała oszczędność, pracowitość, aby pociągnąć tém Bernarda. Gdy jednak przez czas dłuższy on się nie pokazywał i mniej zaczął zajmować nią, Saska, zachwiana w postanowieniu, pozwalała sobie emancypować się.

Po powrocie uznał Bojarski potrzebném odwiedzić ją, sądząc że słowo zachęty przyczyni się do utrzymania jęj na dobrej drodze.

Niespodziane te odwiedziny uradowały bardzo pannę Klarę. Wszystko co w jęj zakładzie było dziełem staruszki w pomoc dodanęj, pokazywała z chlubą, jako owoce własnej pracy.

— Widzisz pan—odezwała się do Bojarskiego, rozkładając przed nim książki rachunkowe i pokazując porządek jaki panował wszędzie — nie

zawiodłam zaufania jego. Jestem na drodze, na której widzieć mnie chciałeś.

— Pozostaje tylko wytrwać na niej, panno Klara—odezwał się Bojarski—przywiązać się do tego trybu życia, uznać że on jest lepszym, zamilować go.

Zukosa spojrzała na niego Saska.

— No cóż? i pozostać sobie starą panną?—mruknęła.

— Lub za mąż wyjść dobrze, gdy serce przemówi—odparł Bernard.

Klara poruszyła ramionami. Gnięwało ją to, że nie okazał dla niej czułości najmniejszej. Wszystkie ofiary jakie uczynił ceniła mało; chciała dopiąć celu, a ten się jej wyślizgał i uciekał.

Pod koniec rozmowy z Bernardem, która go nie potrafiła rozgrzać, nie ukrywała już swój niecierpliwości.

Bojarski wyszedł, łudząc się jakimś postępem i wyprowadzając go staruszce szepnął, ażeby się nie zrażała, bo wiele już uczyniła i teraz szybkimi krokami wszystko iść musi ku lepszemu.

Omylił się najmocniej,

Klara na tych odwiedzinach budowała ostateczną nadzieję, a widząc ją zawiedzioną, zaraz po wyjściu opiekuna odezwała się kwaśno do swój towarzyszeki:

— Jeżeli się nie ma zmieni, a ja muszę

pozostać przykutą do tój taczki nazawsze, to prawdziwie powiadam pani, że nie wytrwam. Bojarski tak wszystko to co ja uczyniłam i czynię znajduje prostém i naturalném, tak ocenić nie umię mojego poświęcenia...

— Ale panna Klara czynisz to dla siebie i swojego dobra, nie dla niego—odezwała się dozorczyzni.

Spojrzeniem pogardliwém odpowiedziałwszy tylko na to, Saska wyszła, trzaskając drzwiami. Od tego dnia zmieniło się zupełnie jój postępowanie.

Bojarski był zupełnie spokojnym, gdy w parę tygodni potem, o rannój godzinie wbiegła do niego staruszka, ze zmienioną twarzą, przeleżała.

— Stało się co przewidywałam, ale czemu ja winną nie jestem—zawołała od progu.—Robiłam co tylko było w mojej możności, ale to niegodziwe i przewrotne stworzenie miało jakieś rachuby, a gdy te omyliły....

— Cóż się stało?—podchwycił Bernard niespokojny.

— Co? odbiła sobie kasę, zabrała co było pieniędzy, posprzedawała co mogła pokryjomu i uciekła.

Bernard zbladł i ręce załamał.

— Ale cóż z nią się stało? Nie napisała nic? nie wytłumaczyła tego kroku? nie pani nie wiesz?

— Nie czuła się w obowiązku uniewinniać z te-

go kroku — odparła wzruszona jéjmość. — Starsza panna nasza powiada, iż się domyśla stosunków z jakimś wojskowym, który do niéj pisywał i miał się z nią podobno ożenić.

Strata jaką poniósł Bojarski była dla niego obojętną, a tym razem oswobodzonym już był raz nazawsze od zajmowania się losem nieszczęśliwój. Żał mu jéj było, lecz gonić za nią nie myślał. Zajął się wynagrodzeniem staréj jéjmości, zlikwidowaniem zakładu, na który Klara potajemnie długie pozaciągała — i umył ręce od wszystkiego. Był wolnym.

W kilka tygodni później głośném było wyjście za mąż panny Saskiéj za podżyłego wojskowego, który służył z zamożności i zajmował w hierarchii dosyć wysokie stanowisko.

Ani słówkiem nie odezwała się do opiekuna swojego, nie poczuwając się dla niego do najmniejszej wdzięczności. Bernard nie zajmował się już wcale panią generałową.

Własne jego położenie doznało téż zmiany znacznej, którą pokątne intrygi rady wywołały. Najrozmaitsze podejrzenia rzucano ze wszech stron na Bojarskiego; mówiono o nim rzeczy tak potworne, przedstawiano go w świetle tak różném, że conajmniej posądzić było można tak dziwacznie malowanego człowieka o przewróconą głowę, o brak logiki w życiu.

On sam mimowolnie dobroduszością swą, szczerością, chętnym rozprawianiem o różnych przedmiotach w sposób taki, iż ze słów jego wnioski było można najsprzeczniesze wyciągać, przyczynił się też do zyskania sobie sławy jakiegoś egzaltowanego dziwaka.

Wczacie lekcyj na pensjach, łatwo było jednym zapytaniem, w przedmiocie który go żywiej obchodził, odciągnąć go od historyi lub nauki języka, w zupełnie obce strefy.... Panienki czyniły na niego zasadzki, w które wpadał naiwnie. Zadawano mu pytania, wiedząc że niemi go było można pociągnąć, i godziny schodziły na rodzaju kazań, zupełnie zbytecznych.

Naczelnice pensyj, pomimo gorliwości, sumienności, bezinteresowności Bernarda, musiały wkońcu i pod naciskiem opinii i dla tych dziwactw pana profesora szukać prozaiczniejszych nauczycieli.

Powtórnie więc zaczęto się pozbywać Bojarskiego, który tym razem nieustraszony, śmiejąc się i niemal radując, pozbywał tego, co mu dawało jedyny środek do życia.

Wprzeciągu pół roku zwolna powymawiano mu wszystkie prawie godziny. Zostało parę tylko lekcyj prywatnych i nie więcej. Urzędowa insynucya rady przyśpieszyła tę katastrofę.

Bojarski, obrachowawszy się jednego dnia ze swoją kasą, z dochodami, z potrzebami, znalazł

się w położeniu, które kogo innego przyprowadziłoby do rozpacz.

Bilans w bardzo krótkim przeciągu czasu ukazywał nieuchronny deficyt.

Coś na zaradzenie mu potrzeba było przedsięwziąć, ale co?

Niepewien trochę, niezbyt biorąc do serca chwilową tę troskę, Bernard poszedł do Żardyńskiego, z mocnym postanowieniem pomówienia z nim o sobie i zaradzenia się co do przyszłości. Złapał starego filologa nad Iliadą Homera. Poczeli tedy rozprawiać o niej, o duchu języka, o przymiotach charakterystycznych epopei, o sprzecznościach jakie się w niej znajdowały, o samym Homerze i kwestyi Homerydów, o łączności rapsodów, o mnóstwie szczegółów, które dostępne są tylko i widoczne dla znawców języka, dla tych, co w poematach owych zagłębiali się, anatomizując każdą w nich żyłkę i nerw każdy.... i — Bojar-ski o sobie zapomniał.

W progu dopiero, po pożegnaniu się już z profesorem, przyszło mu na myśl, iż przybył tu z czem innym; ale dłużej nudzić nie chciał staruszka.

Nazajutrz, zamiast niego, los mu narzucił Grochowskiego.

Wiedział o tém dobrze, iż Piotruś, wprawdzie nie opływający w dostatki, żył z tak zwanych

prac swych literackich; dlaczegóżby on także nie miał się im oddać i poświęcić cały?

Zajęcie to więcéj przypadało mu do smaku, niż dawanie lekcyj po pensyach.

— Słuchaj-no, Piotrus—zaczepił go—nie wiem czy słyszałeś o tém, że mi prawie wszystkie lekcye się powymykały. Jestem zupełnie wolny. Prawdę powiedziawszy, mieli słuszność, że mnie odprawili, bo jestem złym nauczycielem, to nie moja rzecz... Otóż, mój Piotrusiu, ty, co żyjesz z pióra, powiedz mi otwarcie, ja ci konkurencyi niebezpiecznej nie uczynię — jakby to można znaleźć co do roboty, coby się jako tako opłaciło?

Skrzywił się Grochowski.

— Jakto, ty zszedłeś już na pióro? — zawołał.—Nie wiesz ci. Ja, co istotnie ssę z niego soki żywotne, mogę ci najsumienniej zaręczyć, że smutniejszego zawodu niema na świecie... Lepiej już buty szyć, bo te przynajmniej pewną oznaczoną mają wartość, gdy praca literacka zawsze się tak honoruje, jakby ci dawano jałmużnę, a że brać jeszcze trzeba o nią, aby znaleźć.

Bojarski niedowierzająco głową potrząsał.

— Jużciż tak źle być nie może. Ty jesteś pesymistą... Niepodobieństwo, aby człowiek sumienny, pracujący uczciwie na skromny kawałek chleba, nie zarobił piórem.

Śmiał się Grochowski.

— Kochany Bernardzie—rzekł—jak ci się zdaje, co można wymagać za przetłumaczenie tomu, choćby romansu Walter-Scotta?

— Nie mam o tém wyobrażenia — odparł Bojarski.

— Ja tłumaczyłem tom po dwieście złotych—dodał zimno Grochowski.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Za spory artykuł w gazecie, czasu głodu, pobieram od rubla do złotych ósmiu—mówił dalej Piotruś.—Potrzeba zaś żebyś wiedział, iż za nim biegać muszę, że mi nie łatwo się doprosić.

Bojarski podumał trochę, ale się nie zmieszał wcale.

— Tak — szepnął — ale w najgorszym razie, gdyby w przecięciu zarobiło się od rubla do dziesięciu złotych, dlaczegoby to nie miało starczyć na życie?

— Z głodu umrzeć wprawdzie nie można, ale ani utyc także—uśmiechnął się kwaśno Piotruś.— Tyś chyba na anachoretę stworzony.

— Nie—odparł Bojarski—ale zawsze to sobie za zadanie ważne zakładałem, aby nawyknąć do najprostszego sposobu życia i umieć się obchodzić jaknajmniejszém. Natura szczęściem obdarzyła mnie temperamentem, który na zmysłowe pokusy nie czyni zbyt czułym. Wychowałem się ubogo; nie mam ani zepsutėj gęby, ani nałogów.

— Ale siebie nie znasz, a może i ludzkiej natury—przerwał Grochowski — a właśnie dlatego, żeś nie używał nigdy, przyjdzie na ciebie godzina, gdy wszystkie pragnienia śpiące w tobie się obudzą i domagać będą zaspokojenia.

— Na to jest jeden tylko sposób — począł Bojarski — należy walczyć i głupim zachciankom ciała opierać się siłą duszy.

Grochowski desperackim ruchem okazał jawnie, że dysputować z człowiekiem, który wszedł na to pole, nie myślał.

— Ciało ma swe prawa — odparł zimno — i nie rozumiem, dlaczego byśmy mieli wymagania jego odpychać. To są... to są...

Chciał coś powiedzieć dobitnego, ale przez wzgląd na Bernarda, zamilczał nagle.

— Mój kochany Piotrusiu—począł, korzystając z jego milezienia, Bojarski. — Gdyby nie było innych powodów do walczenia z ciałem, starczyłby ten, że bój ten prowadzi do wyswobodzenia człowieka. Wierz mi, że potężniejszym jest ten, który po Diogenesowsku obejść się potrafi kawałkiem chleba i wodą, niż pieszczony wychowaniec losu, który bez łakoci istnieć nie może. W życiu mojem spotkałem dwa przykłady potwierdzające to, co mówię... Znam człowieka, który czując w sobie powołanie duchowne i mając wdziac sukienkę kleryka, poświęcił kilka miesięcy umartwieniom

ciała, aby się przekonać, że podola temu, czego powołanie wymagać odeń będzie. Słyszałem o innym, wypieszczonym książątku, które, wystawione na próbę wytrwałości, gdzie o cześć chodziło, ze łzami uległo słabości.. a potem przez całe życie ją oplakiwało, powtarzając: — Bogdajbym był w dzieciństwie zahartowany!

Grochowski słuchał, widocznie zbytniej wagi nie przywiązując do tego co mówił Bojarski, który, ciągnął dalej:

— Otóż ja mogę się tym poszczycić, że jestem dosyć nawykły do najprostszego życia. Wiele mi nie potrzeba. Mogę więc zostać literatem, zaspokoić tym wymagania duszne, bo do tego czuję powołanie, a nawet niezbyt czułem, że uczyniłem dla niego ofiarę.

— Nie przeczę—odezwał się Grochowski, z szyderskim wyrazem skłaniając głowę— że ty, kochany Bernardzie, jesteś między nami istotą wyjątkową. Zazdroszczę ci tego, ale z tym wszystkim zachęcać cię do porzucenia lekcyj, a zdania się na łaskę losu i pióra, nie mogę. Gotujesz sobie ciężkie do przejścia godziny.

— Jeżeli one mnie i ludziom wyjdą na korzyść... amen! — dokończył Bojarski i z pogodnym czołem, uśmiechnięty, pożegnał Grochowskiego,

który patrzył długo za odchodzącym, ramionami poruszył i mruknął:

— Przewrócona głowa!...

Rok upłynął. Bojarski stał w oddalonej uliczce, ku przedmieściom wysuniętej, na poddaszu niemal, bo część mieszkania które zajmował miała, zamiast pułapu, dach zaledwie od przeciekania zabezpieczony.

Najlepsze izby były przeznaczone na ciepłe umieszczenie książek do pracy; w najciaśniejszych on pisał i tulił się na spoczynek.

Kamieniczka stara, niepozorna, odrazu zbudowana tak, aby jaknajwiększy dochód przynosiła, zajęta była cała przez ludzi ubogich i pracowitych. Dół zamieszkiwali rzemieślnicy i zalegały warszaty; pierwsze piętro najmowali biedni, obciążeni rodzinami urzędnicy, drugie familia zubożała, która do miasta przybyła dla procesu, ciągnącego się od lat wielu. Na trzecim tulili się robotnicy z różnych fabryk, żonaci, a nad nimi wybrał sobie pół-poddasze Bojarski. Miało ono dla niego dogodność i wdzięk pewien. Był sam jeden i nie przeszkadzali mu w niczem sąsiedzi, a okna wychodziły na stary, cudem ocalały ogród, niepiękny, ale pełen zieleni, drzew i zapachu roślinności. Otworzywszy okno, do którego dosięgały

gałęzie kasztanów, słyszał w nich świergot gospodarujących ptasząt, mógł na chwilę zapomnieć, że był w wielkiem mieście.

Turkot i wrzawa ulic i rynków nie dochodziły tu prawie; czasem tylko, gdy powietrze było wilgotne, a cisza nocna i spokój dźwiękom széroko dawały się rozchodzić, słyszał zdała dochodzące bicie zegara, który zdawał się powtarzać staropolskie owo godło godzinników:

Bóg patrzy, czas ucieka...

. . . . wieczność czeka...

Bez sługi, z pomocą stróża starego, który mu przynosił wodę i niekiedy nagromadzone śmiecie wymiatał, Bojarski się doskonale obchodził. Wiele drobnych usług sam sobie oddawał, znajdując w nich rozrywkę, potrzebny ruch, zajęcie, które nużącą pracę przerywało zbawiennie.

Pamiętał na ten przepis ojcowski, na to wielkie prawidło, którego trzymać się powinni ci, co wiele pracować są zmuszeni, aby zmieniać zajęcia, nie próżnując nigdy. Bawiło go niemal zrana czyśczenie butów, trzepanie sukien i wybieganie po wodę.

Stróż, którego łobuzy i dzieci przezywali Fafułą, oswojony z tém przewiskiem, stary, gderliwy człowiek, który dlatego może chętnie służył

Bernardowi, iż on niezego prawie odeń nie wymagał, gniewał się i burzył, widząc czasem przychodzącego ze dzbankiem do studni. Wyrwał mu naówczas naczynie, mruczał coś, zżymał się i sam je napelniwszy, niósł na górę.

Z pożywieniem działo się różnie... Bojarski miał osobliwszą teorią, z której się doktorowie w głos śmieli, a on się przy niej upierał. Dowodził że najsilniejsze i najzdrowsze ludy, najpiękniej wyglądające zwierzęta, ani regularnych pożywienia godzin, ani zapewnionej codziennie strawy nie mają; jedzą niekiedy więcej, naprzemiennie głodem mrają, obchodzą się małym i z tem wszystkim jest im dobrze. Wyprowadzał z tego wniosek, że najhygieniczniejsze jest życie nieregularne, a najniebezpieczniejsze zegarkowe, do godzin przywiązane i zawsze jednostajne.

Powtarzał, że z głodu umiera bardzo niewiele, z przesyty zaś i obżarstwa conajmniej połowa ludzi. Ile razy się z tem odzywał przy doktorach, klepali go po ramieniu z politowaniem; on wszakże trzymał się uparcie swęj teoryi i zdrowie zdawało się ją potwierdzać. Silny był i rzeźwy, praca nie zdawała się go nużyć i wyczerpywać.

Zrana jadał czasem bułkę, popijając wodą, pił mléko, niekiedy robił sobie kawę; siedział potem przy stoliku i książkach, dopóki nie uczuł się znużonym i głodnym. Nie pilnując godzin, wybiegał

gdy mógł do najbliższej, bardzo lichęj traktyerni, w której ubodzy jak on ludzie się stołowali, i tu, nigdy całego obiadu nie potrzebując, kazał sobie coś podać jaknajprostszego. Na apetycie mu nie zbywało, ale nie zajadał dużo, a nie pił nic, oprócz wody, lub czasem szklanki piwa.

Znała go już właścicielka garkuchni, pani Nosińska, olbrzymich rozmiarów niewiasta, z trudnością się poruszająca, ale dla swych gości uprzejma i dobrego serca. Wiedziała co Bojarski lubił i zawsze mu się czemś posiłnem a zdrowem umiała przysłużyć.

— Tylko to bięda, że pan tak mało jesz—mówiła — a to wszystko przez tę sedenteryę, bo kto ruchu nie ma, ten i apetytu mieć nie może.

— Ale ja jem tyle, żem syty zawsze — odpowiadał Bojarski.

Nosińska nawykła już była i do godzin niespodziewanych wiernego swego gościa i zawsze do późna coś dla niego zachowywała, bo czasem jadał wieczorami, pod noc, a niekiedy raz tylko na dzień.

Z towarzystwa, które się u Nosińskiej zbierało, niewiele korzystał Bojarski, bo czasem już nikogo tu nie zastawał, niekiedy zaś nowych ludzi. Ci z którymi się spotykał częściej, wszyscy podzielali dla niego uczucie gospodyni, bo miał dar ujmowania sobie ludzi. Wiedziano że był jakimś

profesorem i człowiekiem pióra, dziwowano się ubóstwu, a jeszcze więcej dobremu humorowi jaki mu towarzyszył i przystępności człowieka, który ani z nauki, ani z mądrości nie szukał chluby i nie wynosił się nad innych.

Tak samo w kamienicy, w której mieszkał, począwszy od dzieci—a było ich tu na wszystkich piętrach podostatkiem — aż do starszych, mężczyzn i kobiet, Bernard miał tylko życzliwych. Bliższych znajomości nie zabięrał, nie narzueał się nikomu, ale nikogo tęż nie odpychał. Z dziećmi, które lubił, w dziedzińcu, na schodach, w sieniach się spotykając, rzadko kiedy nie zatrzymał się, aby na ich pytanie odpowiedzieć, lub nawet do zabawy im dopomódz.

Fafuła, człowiek który nigdy nikogo nie chwalił i z lokatorów żadnego nie lubił, o jednym Bojarskim mówił, podnosząc rękę dogóry, z uszanowaniem największém.

Być może iż stosy książek, które widział u niego, obudziły pewien rodzaj respektu, ale więcej jeszcze cały tryb życia i obyczaj człowieka.

Dla wszystkich sąsiadów Bernard był zagadkowym; nie znajdywano go podobnym do pospolitych ludzi i niedobrze rozumiano celu jego życia, a wesołości i pogody, z jaką nosił na ramionach brzemię ubóstwa nietajonego.

Podpatrywano, chcąc w nim odkryć jakąś sła-

bostkę, coś coby go do pospolitych stworzeń czyniło podobnym—i nie znaleźć nie umiano.

Dawni znajomi, którzy go znali, gdy przy matce żył inaczéj i na wcale przyzwoitéj stopie — trochę zrażeni byli tém, co zwali upadkiem i zwichnięciem. Coraz bardziéj utwierdzano się w przekonaniu, że w głowie Bojarskiego czegoś brakło, że jakieś dziwactwo przyplątało się do znakomych zdolności. Złośliwsi gotowi byli posądzić go, iż umyślnie czynił się dziwakiem, aby siebie od innych wyróżnić.

Rzadko kto go tu odwiedzał.

Grochowski, który sam się mieścił w nieodgadnionej gdzieś i tajonej dziurze na strychu, dotarł tu, aby się przekonać naocznie, jak Bojarski nowe sobie życie urządził.

Obszedł i zrewidował wszystkie kąty, głową potrzasał i znalazł, że stosunkowo ten strych literacki był dosyć praktycznie wybrany i znośny.

— To tylko złe — skonkludował — że niezmiernie od miasta daleko, a po robotę i z roboty trzeba jużciż maszerować do ogniska.

— Mam trochę ruchu, a na wypadek parasol i kalosze — rzekł Bernard.

— No, i jesteś optymistą — dodał Grochowski.

— Powiedz coby mi to pomogło, gdybym pesymistą został? — odparł gospodarz.

Skórka, ów wódz Cyganów-literatów, dowie-

dziawszy się iż Bojarski mieści się gdzieś licho na poddaszu, dostrzegł w tém symptom zbliżenia się do cygaństwa wogóle i wyszukał profesora, aby się naocznie przekonać, do czego była podobną owa pustelnia.

Nie znalazłszy w niej ani szpagatówki, ani takiego nieładu, jaki Cyganów odznaczał, zbyt wiele ksiąg i czysto utrzymane izdebki — uspokoił się, iż mu Bojarski jego buławy nie odbierze.

Spokojny umysł, zapatrywanie się na świat trzeźwe, wiara w pracę, gdy Cyganie wierzyli tylko w geniusz i z obawy utracenia oryginalności woleli nieuctwo, do reszty przekonały Skórkę, iż Bernard do jego bandy nigdy należeć nie będzie.

Żardyński niemal się gniwał za dobrowolne upokorzenie i znizienie stopy życia młodego pracownika.

— Wszystko to bardzo piękne — mówił — ale ludzie jak cię widzą, tak cię piszą. Czynisz się ma-luczkiem, to chętnie powiedzą żeś niezem. Widzą żeś ubogi, niewymagający, więc zamiast dopomódz, będą wyzyskiwali twe położenie i wymagania skromne. Zła rachuba ze wszech miar.

— Ja bo wogóle rachmistrzem nie jestem — westchnął Bojarski.

Przez bardzo długi czas Mulińca wcale nie widywał Bernard; zjawił się nareszcie jednego dnia,

zateśkniwszy za dawny przyjacielem i zaniepokojony tém, co słyszał o nim.

Pobył w domu hrabiny, wśród towarzystwa najwykwintniejszego, na Mulińca miał wpływ wielki. Zawsze dbający o powierzchowność, teraz przejął zupełnie arystokratyczny obyczaj i zewnętrzną fizyognomią tych, z którymi obcował. Można go było wziąć zdala za panieza czystej krwi, a i żargon w potrzebie, i strój, i ruchy i nawyknięcia pańskie złudzenie to powiększały... Pan Cezar miał przed sobą najświetniejszą przyszłość, stosunki poufałe z ludźmi wielkiego znaczenia, fawory kobiet, uznanie zdrowych zasad jakimi się w życiu kierował. Szeptano nawet, iż bardzo być mogło, że w kołach arystokratycznych znajdzie towarzyszkę życia.

Zastawszy Bojarskiego nad robotą, z pewnym wzruszeniem obie ręce wyciągnął do niego Muliniec.

— Nie mogłem już dłużej wytrzymać — zawołał — żeby się naocznie nie przekonać, co się z tobą dzieje, dlaczego się zaszyłeś w taki kąt. Co robisz i czy ja nie mogę ci w czém być użytecznym?

Bojarski posadził go obok siebie na starój kanapie.

— Widzisz co się zemną dzieje — rzekł. — Mieszkać na poddaszu, pracuję i jest mi dobrze, bo robię to, do czego czulem się powołanym. Wpra-

wdzie rozmiary mojej działalności są szczupłe, ale i te mi starczą. Serdecznie ci jestem wdzięczny za pamięć. No, a ty?

— Ja równie jestem uparty i trwam też na stanowisku, które winienem tobie. Jest mi dobrze, z hrabiną się godzę, choć mnie męczy. Labusia uchodziłem, choć cierpieć go nie mogę, a Gwalbertowi daję tyle swobody, ile tylko mi wolno, aby sobie serce jego pozyskać na przyszłość... Cóż ty robisz? Pracuję! — to nie dosyć. Oplacaż ci się trud? masz co przed sobą, coby na ciebie oczy zwróciło i mogło cię wyprowadzić z tej otehlani do sfer jaśniejszych?

— Do jakich? — rozśmiał się Bojarski. — Według mnie, są to najjaśniejsze sfery dla takiego jak ja móla i pustelnika. Nadzwyczaj wysoko cenię swobodę, a tę mam zupełną. Mogę pracować w takim kierunku, nad tem co sobie sam wybierę; jestem panem moich godzin... nie zależę od nikogo i nie mam nadzoru nad nikim, co także jest rodzajem niewoli.

Muliniec głową kręcił.

— Optymista! — przerwał. — Sofista! Musisz przecie żyć i na życie zarabiać, zatem szukać zajęcia, a wybierać nie masz prawa. Narzucają ci je.

— Rzekłeś żeś optymista, chcę więc poprzec twierdzenie twoje — odezwał się Bernard — ale

wierz mi, że mówię to nie na przekorę tobie, lecz z najgłębszego przekonania. Prawdą jest, że dla chleba muszę się podejmować prac różnych, niekiedy pośledniej natury, niezawsze miłych; lecz nie sądz, ażeby ten rodzaj niewoli był dla człowieka bez korzyści. Wiem że genialne natury, to jest takie, które się mają za powołane do wielkich dzieł, choć ich nigdy nie dokonywają, wzdrygają się od pracy przymusowej. Deklamacya przeciw téj niewoli brzmi szczególnie pięknie w ustach poetów, jako elegia ducha, skutego w kajdany; ale z drugiej strony ów przymus jest prawie zawsze zbawienny. Jest-to gimnastyka inteligencyi, podbicie jęj i uczynienie posłuszną woli człowieka. Dlatego się nie wzdrygam podjąć drobnostki, którą inni odrzucają z dumą, jako siebie niegodną. Zmuszam się do pisania drobiazgów, i wierz mi, że się wiele przez to uczę.

— Ale tracisz przez to siły, pozbywasz się oryginalności, odejmujesz sobie natchnienie do dzieł większych.

— To pewna — przerwał Bojarski — że owe wielkie dzieła i arcydzieła, jeżeli do nich człowiek jest przeznaczonym, dokonać się muszą, pomimo wszelkich przeszkód, jakieby im na drodze los stawił. Człowiek przynosi je z sobą, żyją w nim i w danęj chwili ani Milтона, ani Schillera, ani Goethego ubóstwo, zajęcia urzędowe, życie obciąż-

żone obowiązkami od wyśpiwania areydziel nie wstrzymały.

Muliniec zamilkł wkońcu i rozpatrywał się ciekawie po izdebkach.

— Cóż teraz piszesz? — zapytał.

— Potrzeba rozróżnić — odparł Bernard — to co piszę dla siebie, od tego co muszę robić dla chleba.

Uśmiechnął się figlarnie, podsuwając parę zapisanych arkuszy Cezarowi, który z ciekawością je pochwycił. Na jednym z nich było sprawozdanie przeznaczone do dziennika, na drugim począta treść nowego dzieła niemieckiego historycznego, leżącego na stoliku...

Oprócz tego dojrzał przed sobą Muliniec nową powieść W. Hugo, w którą włożone kartki papieru zdradzały tłumaczenie.

— To są moje roboty dla chleba — odezwał się Bojarski. — Gdy umysłowo potrzebuję wypocząć, zwracam się do nich. Sprawozdania i treści nie są rzeczą łatwą właściwie, ale w pewnych momentach i usposobieniach przychodzą lżej, niż własne tworzenie. Tłumaczenie z języka, który dla nas nie ma trudności, jest rzeczą lekką, a niezawodnie pod względem języka własnego nauczającą. Nie poznaje się własnej mowy tak dobrze, jak gdy się ją z obcemi porównywa.

— Tak, wszystko to prawda. Cóż jednak robisz dla siebie? -- zapytał Muliniec.

Bernard spuścił głowę.

— Mam mnóstwo rzeczy rozpoczętych — odezwał się — znowu nieszczęsny poemat jakiś i coś z historyi piśmiennictwa. Z poematu nie wiem czy co będzie, może znowu fragmenta, które zmuszony zostanie zszyć jakąś nitką niezgrabną. Historia literatury nasza zdaje mi się dotąd tak jakoś odcięta z jednej strony od dziejów kraju, z drugiej od historyi ogólnej oświaty europejskiej, że pragnąłbym rzucić na nią światło z tych dwóch ognisk.

— Myśl piękna — potwierdził Muliniec.

— Lecz — dokończył gospodarz — ponieważ na ten budynek cegła niegotowa, ani nawet glina nienakopana, potrzeba samemu, począwszy od gliny, pracować, materiał znosić, obrabiać, oczyścić — zatem do położenia nawet fundamentów gmachu daleko.

Muliniec, przybywając do dawnego przyjaciela, oprócz ciekawości, miał i poczciwą myśl, którą dotąd chował za nadrą. Opowiadano w mieście o wielkiem ubóstwie Bernarda, o prywacyach, jakimi okupywał swobodę. Muliniec, mający zaufanie hrabiny Anny, której usposobienie dla Bojarskiego nie było nieprzyjazne, korzystał z niego i wyrobił zgodę na to, aby Bernarda umówiono do kilku godzin historyi dla Gwalberta. Profesor, który ją wykładał, nie podobał się Francuzowi;

Muliniec ręczył za przyjaciela i przybywał teraz z korzystnym wezwaniem do godzin w domu znajomym, dla chłopaka którego Bojarski kochał.

Zagał więc natychmiast.

— Niepotrzebnie się pozbyłeś wszystkich lekcyj—rzekł.—Jeżeli ci idzie o to, co zowiesz gymnastyką umysłową, one ci także dać ją mogą. Wiész co... profesor Miller odchodzi, historia wakuje w programie Gwalberta; bierz ją. Trzy godziny w tygodniu, dobrze zapłacone, ciężyc ci nie będą, a życie może choć trochę osłodzić.

— Dziękuję ci za pamięć o mnie—odezwał się Bojarski, wyciągając przez stół rękę do uścisku. — Ale do tych trzech godzin sumiennie się gotując, muszę dodać dziesięć, bo z historią trzeba być w żywym związku, aby ją wykładać, a potem.... odwykłem, zleniwiałem.

— Cóż znowu! — ofuknął się Muliniec — dla Gwalbertka, którego kochasz, powinienes przecie to uczynić. Rachowałem na ciebie i nie odstąpię.

Zamyślił się Bernard.

Tymczasem Cezar nagłos, powoli, dobitnie wyrzekł, co za lekcyę ofiaruje. Stanowiło to niemal więcej, niż przynosiły dorywcze roboty. Pokusa była wielka; Bojarski tarł czoło i wahał się.

— Ale cóż na to powie hrabina?

— Zgadza się i prosi.

— A Francuz?

— Woli ciebie, niż Millera.

— No, daj mi czas do namysłu — zakończył Bernard. — Lekcyje twoje wieki trwać nie mogą. Jeżeli się ich podejmę, będę musiał wyrzec się moich literackich zarobkowań, pozrywać stosunki, które się niełatwo zawiązują, a potem...

Spuścił głowę i zamyślił się znowu.

— Lekcyje—dorzucił jeszcze—chwilowo są dla mnie bardzo powabne, lecz to znowu wprzęga mnie w koło, z którego się wydobyłem, i wykoleja. Chcę żyć z pióra i dowieść, że to jest rzeczą możliwą.

— Mrąć napoły głodem.

— Bogdajby!—dorzucił Bojarski.

Skończyło się więc na odroczeniu; chciał się namyśleć i odważyć.

Zaledwie Muliniec, naprózno usiłujący go skłonić do natychmiastowego stanowczego przyjęcia propozycyi, odszedł, nic nie zyskawszy, gdy posłaniec zjawił się z kartką.

Na kopercie poznał Bernard rękę zamaszystą pana Teofila, który w tonie poufałym zapraszał go na skromny obiadek do bardzo lichego traktyerzyku przy teatrze, w którym miał na niego oczekiwać w danej godzinie.

Rzadko się to nader trafiało, by nadzwyczaj oszczędny wileński wydawca występował w roli amfitryona, i to chyba zapraszając tak niewyma-

gających jak pan Bernard gości. Sam on jadł chętnie i dużo, lecz gdy placić przychodziło, gotów był raczej się nie nasycić, niż pieniądź wyrzucić dla brzucha.

Bernardowi niebardzo chciało się iść na tę biesiadę, której lokal zapowiadał serwetki z bibuły i niewykwintne potrawy, z wielką czasu stratą; miał wszakże w stosunkach z panem Teofilem na względzie obowiązek działania na niego i wyobrażał sobie, że go powoli nawraca, tak samo jak niegdyś Klarę.

Pan Teofil ze swojej strony pewien był, że pocziwego, skromnego a sumiennego pracownika uzyska. Znał go już doskonale. Miał naówczas w myśli rodzaj encyklopedyi, do której mu właśnie było potrzeba zaprzędz takiego wołu, coby się żadnej pracy nie wzdragał, a samo dzieło wziął do serca.

Miał nadzieję, że Bernarda skusi do współpracownictwa, przedstawiając mu, jak podobne dzieło niezmiernie krajowi jest potrzebne i jak wielką sumę światła przynieść mu mogło.

Gdy Bojarski, przyodziawszy się nieco, nie śpiesząc bardzo, przyszedł do wskazanego mu traktyerzyku, zastał już tam oczekującego na siebie pana Teofila, który tymczasem coś przekąsiwszy sam, piórkiem już w zębach przebięrał.

Opóźnienie literata było mu na rękę, posilił się

bowiem tak, że zbyt już wiele nie potrzebował aby być sytym. i mógł przez to obiadek wspólny uczynić skromniejszym jeszcze.

Przywitanie było serdeczne. Pan Teofil wyświadał się z utęsknienia za panem Bernardem, rozpytał go o zdrowie, o zajęcia, potem potracił o to, iż może obiadek bardzo wykwintny nie będzie, ale obrał ten kątek, aby im nie przeszkadzano.

Zadysponowana już uczta wistocie była skromną, na co Bojarski nie zważał, bo jednę potrawę było mu zawsze dosyć.

Pan Teofil miał niezmienną jedną metodę zagajania rozmowy z literatami: poczynął zawsze od skarg i użalań na straty które ponosił i od zapewnień swojej gotowości poświęcania się dla ogółu.

Z tego wypłynęło, iż mu poddawano myśl wydania encyklopedyi. Spytał o zdanie Bojarskiego. Przedsięwzięcie wymagało kosztów znacznych, współpracowników wielu, połączone było z trudnościami bardzo łatwemi do przewidywania.

Bernard milczał długo; myśl była dla niego nową, ważył ją i rozważał. Gdy potem mówić począł, pan Teofil, trochę już naówczas mający słuch przytępiony, przyłożył rękę do ucha i z nateżoną uwagą chwycił każde słowo. Bojarski nie był tak bardzo przejęty encyklopedyą, znajdował że do dzieła takiej doniosłości należało się przygoto-

wywać długo, siły pozbiierać i albo je uczynić doskonałym, epokę stanowiącym, lub się go nie podejmować.

Gotową miał na to odpowiedź pan Teofil. Nie szło mu o stworzenie rzeczy zupełnie nowój; stały otworem bogate źródła obce, o których tylko przyswojenie chodziło i dodanie do nich wiadomości kraju dotyczących. Te właściwie tylko stanowić miały całą dzieła oryginalność.

Bojarski przyznał, że i w ten sposób dawało się coś pożytecznego uczynić, zawsze jednak zadanie, choćby ograniczone do tych rozmiarów, nie było zbyt łatwym do rozwiązania.

Skończyli już oddawna skromny obiadek i wypili czarną kawę, a rozmowa encyklopedyczna do niczego jeszcze nie doprowadziła. Pan Teofil wyjąknął nareszcie, iż chciał sobie współpracownictwo Bernarda zapewnić i przebąkiwał o warunkach. Bojarski nadto był skromnym i sumiennym, aby się chwycił lekkomyślnie pracy takiego znaczenia. Potrzebował rozmysłu, naostatek świadomości o współpracownikach innych i o tym, który miał całości nadać jednolity charakter.

Zwolna pan Teofil z imionami ludzi i z planem już osnutym zdradzać się począł, starając się koniecznie Bernarda pożytecznością dzieła skusić do niego. Wiedział, że ta pobudka najprędzej go skłonić potrafi.

Rozeszli się jednak, nie nie postanowiwszy; ale trzeciego dnia spotkać się znowu mieli i mówić o tém obszérniej. Dla Bojarskiego owa encyklopedia, jakkolwiek bardzo skąpo opłacana, na lat kilka dostarczała zajęcia, które z natury swój zbyt długich i mozolnych nie wymagało studyów, a dawało sposobność obeznania się z wielu źródłami, których wydawca powinien był dostarczyć.

Przez parę dni nosząc się ze swą encyklopedyą, dla której starał się Żardyńskiego pozyskać, Grochowskiego do niej wciągnąć, Mulińca nią zając — Bojarski wkońcu postanowił nie odrzucać wezwania pana Teofila. Wolał encyklopedyą, niż lekye u hrabiny.

Żardyński od współpracownictwa wymówił się wiekiem, Grochowski nie wierzył wydawcy, Muliniec nie miał czasu.

— Teofil ze wszystkiego chce się, za pozwoleniem, psim swędem wykrecić — rzekł nielitościwy Piotruś. — Spółpracowników będzie wykwitowywał na różny sposób, a za pracę nie zapłaci jak należy. Ja się w to nie wdaję.

Na drugą schadzkę przyniósł Bojarski więcej myśli, wątpliwości, ale i ochoty więcej do pożytecznego przedsięwzięcia. Pan Teofil ostrożnie, zdaleka, okazywał perspektywy bardzo wdzięczne, gdyby tylko dzieło powodzenie miało. Ale po-

czątek był trudny, pierwsze tomy musiały być oszczędnie redagowane i ostrożnie...

Gdy przyszło do cyfr, Bojarski się wcale targować nie umiał, miękł, ustępował i dał się spętać umową najniekorzystniejszą w świecie.

W dodatku, przez miłość dla sprawy oświaty, której encyklopedia służyć miała, podjął się, prawie darmo, najcięższego zadania — ostatnich korekt dzieła, które dla najróżnorodniejszych wiadomości wymagało sprawdzeń i poszukiwań niezliczonych.

Spisano na wszelki wypadek mały kontrakt... Praca około encyklopedyi natychmiast rozpocząć się miała. Rozumie się samo z siebie, że prospekta, zapowiedzie, wszystkie przygotowawcze reklamy, Bojarski wziął na siebie bezpłatnie.

Natychmiast potem pan Teofil wyjechał.

Zostawiony sam sobie, Bojarski dopiero z zimną krwią rozważając co wziął na barki swoje, poczuł, że się nadzwyczaj obciążył, że to go pochłonać musiało i siły wyczerpać.

Pocieszało go tylko, iż ogół miał korzystać z jego ofiary.

Grochowski, odrzuciwszy współpracownictwo, niezmiernie jednak całej sprawy był ciekaw i w parę dni przyszedł na zwiady.

Nie miał sekretów Bojarski i ze wszystkiego mu się wypowiadał najnaiwniej. Wczasy gdy

mówił, Grochowski okulary poprawiał, ramiona podnosił, prychał, śmiał się i wkońcu ręce spuściwszy, załamał je rozpaczliwie.

— Człowiecze, kamień sobie do szyi uczepiłeś! — zawołał. — Rozważ, pomyśl, ciężar ogromny! Nie-litościwy Teofil korzystał z twój dobroduszości i przeciążył cię zobowiązaniami. Zaprzedałeś mu się w niewolę, a z tego wszystkiego ani nawet do syta się nie najiesz.

Zmilczał Bernard, długo myśląc.

— Rzecz jest pożyteczna — rzekł wkońcu — trzeba było zachęcać wydawcę, a nie zrażać wymaganiem. Zresztą nie tak to straszne, jak się zdaje.

— Przyjacielu! — przerwał Grochowski — dla mnie może nie byłoby to wistocie tak straszném, bo jabym się umiał z tego sianem wykręcać, ale ty, z twojém, jak Żydzi mówią, delikatném sumieniem... ty, co dla jednego wątpliwego wyrazu będziesz ślęczał po nocach, nie ważąc się go pominąć, ty się zabijesz!

Bojarski w żart to obrócił.

— *Impavidum ferient ruinae* — szepnął, śmiejąc się.

I na tém się skończyło.

Encyklopedia, ogłoszona prospektami, rozpocząć się już miała, Bojarski był najlepszej myśli. Dla niej odmówił lekcyj Gwalberta; ale, gdy w tymże czasie hrabina Marya, czynnie się zajmująca szkółkami wiejskimi, dała mu znać, że je otworzyć zamysła — porzucił wszystko, aby zbiedz na wieś i pomódz do ostatecznego ich zorganizowania.

Był w swoim żywiole...

Wprawdzie suknie miał bardzo wynoszone i wytarte, buty nie eleganckie, bieliznę jeszcze macierzyńską, bardzo praniem nadwreżoną; na ulicy wyglądał mniej niż skromnie i niktby w nim nie domyślił się człowieka nauki, mającego w świecie pewne stanowisko i imię — ale nigdy może w duszy nie czuł większej pogody, w umyśle swobody, w sumieniu spokoju większego z dopełnionych obowiązków.

Był szczęśliwym.

Szkółki nowe, lud, wioska, wszystko co tam było do zrobienia, pożytek jakiego się spodziewał z rozszerzenia oświaty i moralności, bo te u niego schodziły się nierozdzielnie — wlały nowe życie w trochę miastem zmęczonego móła książkowego. Unosił się czasem nad zadaniem oświaty tak dalece, że mu był gotów wszystko poświęcić — całego siebie.

Jedna żądza nauki i własnego wykształcenia

pociągała go z powrotem na poddasze, gdzie nań czekały rozpoczęte prace, do których także miał słabość. W przeciągu kilku tygodni, spędzonych w pustej rezydencji hrabiostwa, niezmiernie czynny, wszystkie szkółki zorganizował, plany nauk im pozakręślał, nauczycieli przysposobił, obietnicami nagrodami usiłował ich zachęcić; sam także dając im przykład, godzinami siadywał z dziećmi, uczył alfabetu, starał się umysły uspione rozbudzić, i gdy nareszcie do Warszawy powracać trzeba było dla encyklopedyi, wszystko mniej więcej było wprowadzone w życie, nakręcone jak zegarek i potrzebowało tylko czasu, aky wydało owoce.

Nigdy lepiej o doskonałości przepisu ojca swego, aby dla ulżenia trudowi zmieniać zajęcia, nie przekonał się Bernard jak teraz, gdy po kilku tygodniach, spędzonych na wsi, do dawnych prac wrócił, z umysłem odświeżonym, z podwojoną ochotą, z siłą, jakiej dawno nie czuł w sobie.

Powitali go tu znajomi i przyjaciele z ciekawością ludzi, którzy się przypatrują fenomenowi niezwyklemu, bo nikt sobie dobrze wytłumaczyć go nie umiał. Ten zapał do pracy, to pragnienie poświęcania się, zaparcia siebie, spartański obyczaj nawet dla najzacniejszych wydawały się raczej rodzajem manii, niz idealnym popędem.

Piotruś Grochowski uwielbiał go ale się z nie

go wyśmiewał, profesor Żardyński obawiał się o niego, a panna Henryka niespokojna powtarzała:

— Wszystkich nas zawstydzą, ale czy to podobna, aby wytrwał tak zawsze, zapominając o sobie, a żyjąc tylko dla drugich? To człowiek innej epoki, który przyszedł zapóźno, czy zawcześniej.

Encyklopedya, przy najlepszych chęciach, staraniu i gorliwości Bojarskiego, szła nieosobliwie. Miał on w niej udział czynny, ale nie rozporządzał planem i wykonaniem wedle swój myśli. Na czele redakcyi stał człowiek bardzo zdolny, lecz niekoniecznie sumienny, któremu szło więcej o pozory, o połysk, niż o wartość wewnętrzną dzieła. Pan Teofil z nim się godził zupełnie. Olśnić czytelników, obiecywać, a potem zbyć lada czem, zdawało się im nieuniknionem i jedynie praktycznem. Bernardem posługiwano się jak mułem, wkładając na niego największe brzemiona, a nie pozwalając mu rozporządzać się.

W posiedzeniach i naradach redakcyi nie było dobrej wiary. Bojarski mówił co myślał i o czem był przekonany, inni zaś to, co im się zdawało dogodnem.

Po piérwszych dniach pracy żywój i wesołej, nastąpiły troski, ciężar dał się uczuć... Bernard żałował w duchu, że się związał tam, gdzie nie

mógł po swęj myśli nie zrobić. Życie popłynęło starém korytem. Jedyne godziny spoczynku i wytchnienia dla Bernarda były wieczory spędzane u hrabiostwa Zygmuntowstwa. Oboje państwo cenili go i lubili, sama pani rozprawiała z nim o literaturze, dawała mu książki, wciągała w dyskusye i wieczory przechodziły niepostrzeżenie. Bojarski byłby z chęcią przestawał w wolniejszych chwilach, znajdując dla umysłu higieniczném odżywianie się rozmową, z ludźmi, którzy mu jego zdania za złe nie mieli, choćby się ono z ich własném nie godziło; ale bardzo prozaiczne postrzeżenie onieśmieliło go.

Postrzegł się Bernard raz, że na jego wytarte suknie, buty wątpliwych kształtów, ubranie zaniedbane, ubogie, choć czyste, służba hrabiostwa spoglądała jakoś szydersko. Raz nawet nowoprzyjęty sługa wahał się go zameldować i wpuścić, otwarcie się tłumacząc tém, że pan profesor... nie do salonów był ubrany. Bernard, dowiedziawszy się o tém, poddał surowej krytyce garderobę swą, o której dotąd nie myślał.

Była ona w stanie oplakany. Dostyć czysto utrzymywane suknie, i krojem i zużyciem kwalifikowały się na tandetę; bielizna ledwie się trzymała, wszystkie akcesorya ubioru nieszczęśliwie wyglądały. Bojarski, raz na to zwróciwszy uwagę, porównyując potem strój własny do Mulińca,

do innych—musiał wyznać w duchu, że nazbyt się zaniedbał. Potrzeba było się odświeżyć, ale nie wiedział jak się wziąć do tego. Za pierwszym spotkaniem spytał o to Cezara.

— Dawno ci chciałem zrobić tę uwagę, żeś się opuścił zbytnio, a że ludzie tak cię piszą jak widzą, należałoby na to radzić. Surdut się łśni na lokciach et caetera... Ale to rzecz najpospolitsza w świecie: dam ci adres mojego krawca.

— A nie mógłbyś mi powiedzieć co to będzie kosztowało, mniej więcej?—zapytał Bojarski.

Muliniec począł liczyć, ale nie byli jeszcze w połowie rejestru rzeczy niezbędnych, gdy się Bernard za głowę pochwycił. Znajdował marnotrawstwem wyszafowanie takiej sumy na tak zwane galgany.

— Gdybym już mógł i chciał kilkaset złotych wydać, co nie jest mi łatwem—odparł—to wiesz cobym zrobił? Codzień prawie potrzebuję słownika Lindego, obchodzę się pożyczanym, lub biegam zaglądać do niego. Wolałbym kupić słownik, toby mi daleko było milszem i użyteczniejszem, niż surdut i et caetera.

Muliniec śmiał się, pokładając na kanapie.

— Ale bez przyzwoitego ubrania nie możesz w przyzwoitych bywać domach—odparł— a bez ludzi i towarzystwa, sam to przyznasz, obejść się niepodobna.

— Niewątpliwie — westchnął Bernard.— Ale jakże tu na to wszystko starczyć?

— Najłatwiejby ci to przyszło, gdybyś trochę dbał o zarobek, nie odrzucał lekcyj, nie myślał tak ciągle o dobru ogólném i nie poświęcał mu siebie.

Nie dał na to odpowiedzi Bojarski, bo to co czynił, zdawało mu się tak naturalném i konieczném, iż zmiany w postępowaniu nie dopuszczał.

Skutkiem jednak rozmowy i narady z Mulińcem było, że Bernard znalazł sobie partaczakrawczyka, razem z nim zrobił sumienny przegląd garderoby i oszczędnie bardzo, z pomocą jego, przedsięwziął restauracyą. Wypadła ona tak, że przez czas jakiś mógł znowu nie zwracać oczu na siebie zaniedbaniem, a o to jedno chodziło mu tylko.

Dla pracowitego Bojarskiego życie płynęło nadzwyczaj szybko. Gdy innym ono ciężyło i wydawało się nieznośnie długiem, jemu z piorunową szybkością ubiegały lata.

I przeszło ich tak kilka, bez żadnej dotkliwie czuć się dającej zmiany. Wszystkie ciężary i przykrości, do których zkolei nawykał Bojarski, mniej mu dolegały, bo człowiek jest jak koń pociągowy, któremu gdy skóra zgrubieje pod chomątem, tarcie jego mniej czuć się daje.

Ludzie téż z dziwactwem jego powoli się jednali, umiejąc tylko z niego korzystać.

Radzca Emil popsuł mu był sławę, wziętości jego w początkach zaszkodził, był przyczyną że się go obawiano, jako człowieka wątpliwych dążeń; lecz czas zaradził i na to.... Usilną, spokojną pracą, pogodą niezachwianą umysłu, charakterem którego prawości nikt nie mógł nie zadać, Bojarski się zrehabilitował w opinii. Ludzie nietylko mniej stronili od niego, ale rady jego szukali i zbliżali się doń z poszanowaniem.

Godzono się na to, iż jest dziwakiem, ale szlachetne rysy téj ekscentryczności nie mogły być zaprzeczone.

Parę lat tak upłynęło, gdy jednego wieczora siedzącego przy lampie nad papierami, w ciszy poddasza, przerywanéj tylko czasem bieganiną szczurów, które tam gospodarowały—nadchodzący Fafuła w porze spóźnionéj zdziwił, oddając mu pomietą karteczkę.

Przed kilku godzinami przyniesiono ją tutaj, ale Fafuły nie było, i teraz dopiero mógł ją profesorowi doręczyć.

Kartka z początku wydała mu się niezrozumiałą. Pisana była ołówkiem, charakterem jakimś chorobliwą ręką kréślonym; podpis miała nieczytelny, i po długich odgadywaniach dopiero

domyślił się w nim Bojarski „nieszczęśliwej Klary.”

Tak, ona to była podpisana. Wiedział o niej tylko, że wyszła za starego wojskowego, o którym mówiono, że miał być bardzo majątnym, wcale się więc o nią nie troszczył. Przez lat kilka nie słyszał o niej wcale. Z kartki jednak można było miarkować, że gwałtownie potrzebowała pomocy.

Godzina była spóźniona, adres wskazywał uliczkę oddaloną. Bojarski się zawahał, czyby nie odłożyć do jutra odwiedzin, bo że miał wezwania nieszczęśliwej usłuchać, w tém się nie wahał ani chwili.

W ogóle jednak zwlekać to co miał uczynić nie lubił. Noc była późnej jesieni, miesiąc ta, chłodna... Poszedł do kasy naprzód, bo się dymyślał, że pieniądze będą potrzebne. Znalazł w niej sto kilkadziesiąt złotych wszystkiego. Ubrał się co-prędzej i Fafule polecając mieszkanie, poszedł.

Nie znając téj części miasta, w której uliczka wskazana położoną była, musiał dość długo błądzić i pytać, nim się dostał do kamienicy nad Wisłą, ogromnej, brudnej, powierzchowności odrażającej, widocznie na pomieszczenie bardzo ubogich lokatorów przeznaczonéj.

Na dole jój był szynk, do którego musiał wejść Bojarski, dla rozpytania się o mieszkanie Klary.

Dziwnym trafem, który mu ułatwił poszukiwanie, w gospodynie szynku znalazł dawną sługę swęj matki, która go poznała. Wyszła ona za mąż i była teraz żoną utrzymującego szynk i gospodę dla nadbrzeżnej ludności.

— Jak Boga kocham, pan Bernard!—zawołała pani Domicella, której Bojarski nie poznał, bo ją znacznie zamążpójście zmieniło.— A pan tu co po nocy robisz?

Otarła fartuchem stołek i podała mu go skwapliwie. Począł się rozpytywać Bernard, nie umiejąc nawet nazwiska Klary podać, bo je zapomniał. Gospodynie, palec do ust przyłożywszy, długo po głowie chodziła, nim się zaczęła domyślać, do kogo się to stosować miało.

— A, paniusiu kochany — odrzekła na pierwsze pytanie — żebyś wiedział, ile to tu rozmaitej biedy i nędzy się mieści w tęg kamienicy! Cała ona podzielona na małe mieszkanek tanie, a już kto tu zmuszony szukać przytułku, pewno nie z rozkoszy. Administrator hrabiego, do którego dom należy, ma co robić z tą gawiedzią. Powiadają że dom bardzo piękny dochód przynosi, ja tam nie wiem, ale to grosz łzami obłany. Strach, co się tu dzieje!

Domicella, przechodząc myślą pokolei lokatorów, których znaczna część u nięj się żywiła, wpadła naostatek na trzecie piętro, na którym parę izb już od kilku miesięcy zajmowała wdowa

po jakimś wojskowym, z małym dziecięciem, kobieta bardzo nieszczęśliwa, opuszczona od wszystkich, chora i nieumiejąca znosić swęj doli.

Z opowiadania Bernard wniósł, że to mogła być Klara. Gospodyni ofiarowała się, mimo swęj tuszy, pójść na zwiady na trzecie piętro i dostać języka.

Bernard tymczasem pozostał w gospodzie, z ciekawością się przypatrując ludziom, którzy tu znad Wisły przychodzili, ogrzewali się i napowrót gdzieś niktęli, wynosząc się pociehu.

Po upływie pewnego czasu wróciła gospodyni, uwiadamiając Bernarda, że jęjmość ta, w której się on domyślał Klary, leży bardzo chora, mając przy sobie tylko jedną starą kobietę... Zdawała się oczekiwać jakiegoś ratunku. Płacz i jęki słyhać było z izby, w której leżała.

Bojarski poszedł natychmiast. Domicella dała mu dziewczę, aby na schodach poświęciło.

O ile po nocy dojrzyć się tu dawało, okropny ten dom opuszczony, brudny, cuchnący, miał fizyognomią odrażającą, a atmosfera w nim odetchnąć nie dawała, dusząc wyzięwami zgnilizny wszelkiego rodzaju.

Właściciel, który dochody ciągnął z tego szpitala nędzy, bynajmniej się nie troszczył o to, co nie zagrażało budowie, a może zrozpaczył, aby nędza tu mieszkająca z czystością i porządkiem

zgodzić się mogła. Schody były oblepione błotem, ściany pomazane, zwilgotniałe i brudne, tynki opadały gdzieśgdzie, okna w korytarzach powybijane, napół pyłem zasute... Po kątach kupy niewynoszonych śmieci się walały. Im wyżej, tem obraz tego opuszczenia stawał się jaskrawszy.

Stara, poobwiązywana płachtami baba, od której mocno wódkę czuć było, otworzyła Bojarskiemu. Napół uchylone drzwi z sieni dawały widziéć izbę pustą i ciemną.

Z drugiej słyhać było głos kobiécy, rozpaczliwy, gniewny.

— Kto tam? czegoś to drzwi otworzyła, Zamechowska?

Zmieniony głos ten dał jednak poznać Bojarskiemu, że znalazł tu Klarę. Nim się miał czas rozpytać staréj, głos ten sam począł ją wołać nagłaco... Razem z nią szedł Bernard z bijącym sercem przez ciemny pokój do drugiego, w którym się świeciło.

Naprzeciwko drzwi, gdy się otworzyły, ujrzał na łóżku potarganém, pomietém, rozrzuconém, do którego był przystawiony lichy stolicek i stołek zarzucony gratami, flaszkami i garnuszkami.... tę, która niegdyś była Klarą i Astreą.

Poznać ją mógł ledwie, tak te lata strasznie zmieniły nieszczęśliwą. Wychudła, stara, z głową którą resztki już lśniących włosów w nieładzie

otaczały, z oczyma wpadłemi, z czołem pomarszczonem, w kaftaniku brudnym, na koszulę narzuconym, siedziała z załamanemi rękami... obraz nędzy i rozpaczy... Wyplakane powieki krwawo były obramowane, usta spalone, wyschłe, popękane, otaczały zmarszczki przedwczesne. Z oczu, jakby zbladłych, ostatek siły błyskał gniewem i złością.

Na kolanach jej uspięne spoczywało dziecko, trzyletnie może, w jednej koszulinie podartej, mizerne, chude jak ona, ale uderzające pięknoscią rysów twarzyczki, we śnie wypogodzonej.

Ujrzawszy Bernarda, Klara obie ręce naprzód wyciągnęła ku niemu, potem niemi oczy sobie zakryła i nie mówiąc, ukazała wreszcie na uspięne dziecko.

Wybuchnęła płaczem niepoohamowanym. Bernard stał jak przykutym, z sercem litością ściśniętym.

Stara, która go przyprowadziła, przyniosła stółek z drugiej izby, bo tu nie było na czem usiąść. Okropny nieład nędzy i choroby panował w sypialni, zarzuconej łachmanami z lepszych czasów pozostałemi.

W powietrzu czuć było lekarstwa, jedzenie jakieś skwaśniałe, wilgoć, zaduch, wszystkie miazmata, niosące z sobą chorobę i śmierć.

Klara długo mówić nie mogła; płakała i rzuca-

ła się namiętnie. Bernard szeptem łagodnym wzywał tylko, aby się uspokoiła.

— Widzisz, widzisz—poczęła—na com zeszła, do czego mnie ten niegodziwy szalbierz doprowadził. Bodaj go Bóg skarał na tamtym świecie! Okłamał mnie, złodziej, rozbójnik! Nie miał nic, tylko to co pokradł, a za co go potem osądzili i w kajdany okuli, w których nędzne życie skończył. A ja z dzieckiem, bez kawałka chleba.... O żebranie z pod Uralu musiałam tu się wlec. Patrz, co się ze mną stało! A tu i życia już nie mam, ani siły, ani zdrowia; a to dziecko—sięrota... aniołek niewinny! O Boże mój! Żadna ludzka dusza się nad nim nie zlituje. Gdyby choć umarł razem ze mną, a nie męczył się na tym niepocziwym świecie.

Mówiła łkając, przerywając przekleństwa, ręce łamiąc, chwytając wodę, stojącą obok w brudnej szklance, aby nim spalone odwilżyć usta.

Trwało to długo. Nie dając sobie przerwać, coraz rozpoczynała nanowo narzekania na los swój i rozpaczę... Wśród tych wykrzyków i jęków, dziecko, przywykłe do głosu matki, znużone spało ciągle.

Bojarski wkońcu przerwał jęk, starając się wlać otuchy trochę. Chciał się rozpytać o szczegóły, ale niczego dowiedzieć się nie mógł. Rozpoczynała mówić i natychmiast wracała do prze-

kleństw i narzekań. Plątały się jęj myśli, słowa mieszały; zapominała się z kim mówi, schylała do dziecka... zatapiała w sobie... Bolesć czyniła ją napoły obłąkaną.

Bojarski nie wiedział już, co począć. Spytał czy doktor przychodzi. Okazało się że jeden jakiś litościwy radził, nawiedzał i lekarstwa nawet dawał, ale ten zachorował i oddawna go już widać nie było. Tu zaś więćej jedzenia, powietrza i spokoju było potrzeba, niż medykamentów.

W nocy dnia tego już nie poradzić nie mógł Bernard; dał trochę pieniędzy staręj, ażeby na dole kupiła jedzenia, jaj, mléka, bułek; ale Klara, dosłyszawszy, krzyknęła że to pójdzie na wódkę i że piędźdze przepadną. Na dole więc u Domi-cellii postanowił Bernard postarać się o pożywienie i zostawić na to piędźdze, a sam najutrz obiecał przyprowadzić doktora.

Klara nie podziękowała mu nawet, tylko nakazująco zaklęła, aby powrócił nazajutrz i nie dał jęj ginąć marnie, a nadewszystko jęj Tomciowi. Mówiąc to, przycisnęła usta do śpiacęj dzieciny, objęła ją rękami i tak ją porzucił Bojarski, wielką litością przejęty.

Sam dotąd, dzięki Bogu, nie potrzebując lekarza, Bojarski nie miał tęż znajomych między medykami, oprócz jednego uczonego patologa, który był współpracownikiem encyklopedyi. Nie tracąc

czasu, choć godzina była bardzo późna, Bernard zaszedł do jego mieszkania, aby go sobie zamówić na jutro.

Strusiński—takie było nazwisko patologa—nie miał wielkiej praktyki i nie bardzo się nią lubił zajmować. Pisał dużo o medycynie, robił doświadczenia, ale do chorych szczęścia nie miał. Zastał go też w domu nad rozprawą jakąś Bernard i dosyć kwaśno był przyjęty, ale ostatecznie Strusiński pomocy swęj odmówić nie mógł i przyrzekł nazajutrz czekać na Bojarskiego, chociaż widać było, że to czynił z musu i niechętnie.

Rano, po nocy niespokojnie spędzonej, Bernard już był u drzwi doktora i razem z nim poszli do kamienicy nad Wisłę. Strusiński na schodach wpadł w ogromną pasyą i gniewny na ludzi, którzy domy tak zatrutego powietrza pełne wynajmowali, na władze miejskie, niepilnujące porządku i t. d.... zgóry słowem wyrzekł, że najzdrowszy człowiek w takiej kloace zgnić musi.

Klarę zastali po wczorajszej gorączce wieczornej osłabłą, wycieńczoną, z głową ciężką i po niedawnej wielomówności, milczącą, jakby osłupiałą.

Tomcio, przebudzony, bawił się na podłodze i na widok obcych przestraszony przypadł do łóżka matki, tuląc się pod jej opiekę.

Strusiński, nachmurzony, począł badanie cho-

ręj, chociaż samo na nią wejrzenie nauczyć go mogło o stanie. W dzień jeszcze dobitniej malowała się w twarzy, oczach, barwie skóry wypiętnowana choroba.

Lékarstw nie było co zapisywać; wskazał co jeść miała, głową potrząsł, niby chciał dodać odwagi, a w rzeczy okazał najwyraźniej, że tu już nie niema do czynienia.

— Najpiérwsza rzecz wynieść się ztąd conajprędzej — rzekł do Bernarda. — Zdrowemuby tu było niedobrze, a cóż dopiero wycieńczonój i chorój.

Bojarski musiał się starać o mieszkanie. Ponieważ na sługę pijaczkę liczyć nie było można, opiekę tymczasową nad Klarą powierzył Domi-cellii, która przyrzekła pilnować chorój i karmić ją.

— Niech pani się uspokoi, spocznie — dodał po krótkiej naradzie Bojarski. — Postaram się o to, aby mieszkanie wynaléźć lepsze i przeprowadzić ją jaknajprędzej.

Mieli się zégnać i odchodzić, gdy Klara, jakby dopiero przebudzona, podniosła głowę.

— Ze mnie już nie będzie — rzekła — dobiła mnie ta podróż. Cheiałam się zwlec tu, pomiędzy swoich, czy téż kto nad siérotą się nie zlituje. Panie Bernardzie, czym ja tego warta, czy nie, ja ci dziecko oddaję. Zlituj się, nie porzucaj go!

Pochwyciła swego Tomcia, który się do niój płacząc przytulił, i tak ją Bojarski porzucił.

Od kolébki do mogiły t. 11.

11

— No—odezwał się Strusiński, który nie grzeszył czułością—napytałeś sobie biedy! Kobieta żyć nie może i nie będzie. Kto wie, zmiana życia na lepsze, jak się to często zdarza, gotowa tylko koniec przyspieszyć. Zostanie ci na głowie dziecko. Cóż poczniesz?

Bernard poruszył zlekka ramionami.

— Nie wiem—odparł—to tylko pewna, że nie porzucę sieroty. Będzie to ciężar dla mnie—ale zawieść zaufania tój nieszczęśliwej niepodobna.— Czy naprawdę—dodał po chwili—stan jój za tak niebezpieczny uważasz?

— Ale ona cudem tylko miłości macierzyńskiej żyje—rzekł doktor — o leczeniu i wykurowaniu mowy niema. Godziny są policzone. Naprawdę nie wiem, czy ją nawet warto przenosić z tego domu, bo jój to już nic nie pomoże.

— Ale ulży w ostatnich chwilach — szepnął Bernard.

Doktor nie już nie odpowiedział. Ofiarność Bojarskiego podziałała na niego i skłoniła do przyrzeczenia lekarskiej pomocy, do nieco żywszego zajęcia się nieszczęśliwą. Czynił to więcej dla współredaktora, niż dla jego protegowanej.

Bernard dnia tego prawie już nie mógł zajrzeć do domu. Potrzeba było wynaléć dla chorój mieszkanie, a o to nie łatwo, gdy idzie o wprowadzenie chorego. Po maleńkich hotelikach oba-

wiano się wrażenia, jakie śmierć i pogrzeb czynią odstręczając od nich ludzi; inne pomniejsze lokale nie miały sprzętów. Z największą więc w świecie trudnością ku wieczorowi dopięro parę izdebek u ubogiego urzędnika mógł najać Bernard, związawszy się najuciążliwszemi warunkami.

Nazajutrz miała się tam Klara przeprowadzić.

O zmierzchu już pośpieszał oznajmić o tém chorój i przygotować ją do przeniesienia się — gdy we drzwiach kamienicy postrzegł gromadkę ludzi i ruch jakiś niezwykły.

W sieniach spotkała go Domicella.

— Już po wszystkiém — zawołała, ręce zalamując. — Niéma co myśleć o przeprowadzce, ino na cmentarz. Biędne kobiécisko zmarło. Ledwieśmy jój dziecko ze skostniałych rąk wydobyć mogli.

To mówiąc, wskazała na drzwi szynku, w którym druga kupa ludzi otaczała Tomcia, zawiniętego w chustkę podartą, płaczącego i wyrywającego się dziewczynie, która go na kolanach trzymała. Na górze drzwi stały otworem, a pijana służąca gospodarzyła w łachmanach po zmarłej pozostałych, usiłując się zaopatrzyć na drogę. Ciało biędnej Klary leżało na łóżku, okryte brudnym prześcieradłem.

Cudem tym, jaki często śmierć sprawia, twarz wychudzona i zboląła męczennicy przybrała wy-

raz spokoju i rezygnacyi. Zdawała się słodkim snem rozmarzoną.

Bernard stanął, szepcząc modlitwę, i całe dzieje biednej kobiety przebiegły przed jego oczyma. Wszystko było skończone, tylko w spadku po wspomnieniach jemu pozostawała sierota. Bernard widział w tém wolę Bożą, nakaz Opatrzności, aby on nad nią się podjął opieki.

Chwilę postawszy przy zwłokach, zszedł pociachu nadół, aby się zająć pogrzebem, który trzeba było komuś powierzyć. Mąż Domicelli i rządcza domu podjęli się pomódz mu. Lecz co było począć z chłopcem?

Szynkarka z biędą obiecywała zatrzymać Tomcia dzień jakiś, dopóki się co nie znalazło dla niego. Bernard natychmiast znowu biedz musiał szukać jakiejś rodziny, coby sierotę przyjęła za opłatą.

Znużony, skłopotany, nie miał się nawet kogo poradzić. Szczyściem na myśl mu przyszła owa wdowa po urzędniku, którą dodał niegdyś Klarze do dozoru. Wiedział jej mieszkanie na Starém mieście, przy znajomych, na komornem. Nie odkładając przeto na jutro, udał się do niej.

Ale na pierwsze słowo o dziecku, staruszka za głowę się pochwyciła.

Sama jedna, bez sługi, mieszcząc się przy ob-

cych, stołując u nich, jakże się mogła podjąć téj opieki?

Trzeba się było wyrzec nadziei, aby tu się co dało zrobić; ale litościwa kobieta obiecała przynajmniej szukać, rozpytać, starać się o pomieszczenie siórotki.

Okolo północy, zamówiwszy trumnę i przypomniawszy sobie, że nie jadł przez cały dzień, Bojarski wpadł jeszcze do garkuchni, aby się tu czém posilić. Gospodyni już się go nie spodziewała i lękała, czy nie zachorował.

Na widok wybladłego, zmęczonego, bez tehu już niemal Bernarda, jejmość porwała się z krzesła w którym drzemała, aby coś znaleźć dla ulubionego swego gościa. Musiał się jej tłumaczyć ze wszystkiego, a że na sercu miał troskę wielką, nie mógł jej skryć przed nią.

Gospodyni plasnęła w szerokie dłonie.

— Jezusie nazareński — zawołała — a cóż pan poczniesz z tą siórotką? Niema innéj rady, jak oddać do szpitala.

— Nigdy w świecie! — przerwał Bojarski. — Matka we mnie miała ufność, nie porzucę biednego chłopca. Ale co ja z nim zrobię?

Podano tymczasem jakąś polówkę zgłodniałemu i resztki pieczystego. Otyła jejmość stała nad pożywającym i dumiała.

— Ile on ma lat? — zapytała.

— Wygląda tak, jakby dwa skończył, a zaczął trzeci—westchnął Bojarski.

— Ja swoich dzieci nie mam—odezwała się po namyśle traktyerniczka — no, i choć kochałam zawsze dzieci, alem sobie z nimi nigdy rady dać nie umiała. Lecz mi tak żal pana, że tymczasem, póki się co lepszego nie znajdzie, gotowam wziąć chłopaka. Dziewcząt jest dwie i nie jedna, to druga koło niego pobędzie. Tylko nie obiecuję nic, mój dobrodzieju, bo nie wiem czy dziecko do mnie, a ja do niego przystanę. Tymczasem choć z głodu nie umrze, bo co karmić, to mi będzie łatwo.

Nie mając nic lepszego do wyboru, Bojarski z wdzięcznością przyjął ofiarę.

— Za utrzymanie dziecka co pani sobie policzysz, z wdzięcznością uiszczeę — dodał — to mój obowiązek.

Gospodyni się uśmiechnęła tylko. Nazajutrz Tomcio z jednej garkuchni przeniesć się miał do drugiej. Bojarski padł na łóżko, złamany trudem dnia tego i nie zbudził się, aż gdy Fafuła z wodą do drzwi zastukał.

Wszystkie porozpoczynane prace, nie wyjmując encyklopedyi z jej korekturami, musiały dnia następnego spoczywać nietknięte. Bojarski, wyczerpawszy co miał, potrzebował pieniędzy dostać, pogrzebem się zająć, płacić za wszystko, a na-

ostatek i płaczącego Tomka przeprowadzić do nowej opiekunki jego.

Tu dopiero i on i pocziwa jejność, co się ofiarowała tymczasowo przyjąć dziecko, mogli lepiej się mu przypatrzeć.

Chłopczyk był piękny jak aniołek, ale wychudły, znędzniały, opuszczony czasu choroby matki, rozpieszczony przez nią nedorzecznie, zaniedbany — tak że począwszy od kąpieli, nakarmienia, posłania, odzieży, wszystkiego potrzebował. Po zmarłej lepsze łachmany pozostałe schwyciła służga, której szukać próżno było. Z tej spuścizny nędzy nie doszło nic rąk Bernarda, oprócz trochy papieru i rzeczy niemających żadnej wartości. Dziecię brał tak jak nagie.

Ale że w wielkiem mieście wszystkiego dostać można, gdy kto szukać umie, a jejność, gorąco się zająwszy sierotą, równie jak jej służki obie, chciała okazać, że radzić potrafi, do drugiego dnia Tomcio miał koszulę, przyodziewek, obówie i na podłodze, w pokoju gospodyni, bawił się już najrozmaitszemi sprzączkami, których mu dziewczęta dostarczyły.

Wśród tego roztargnienia, przychodziła mu na myśl matka i wyrywał się z płaczem do niej. Karmiono go, pojono, usypiano, kołysano i choć krzyczał, zwolna ułagodzone pierwszy żal, który z każdą godziną tracił siłę. Gospodyni sierotki prawie

nie odstępowała. Bernard przyszedł popatrzeć i zadumał się. Nie czuł jeszcze całego ciężaru opieki, jaką wziął na siebie, ale wiedział, że w życiu jego ten nowy żywioł musi z sobą pewne przywieść utrudnienia.

Spadło to jak piorun, w chwili gdy znośnie się urządził i nie doznawał niedostatku. Dla dziecka trzeba było albo pracę powiększyć, albo własne zmniejszyć wydatki.

Na chwilę jednak nie pomyślał Bojarski, aby się mógł pozbyć siéroty i miłosierdziu publicznemu ją polecić.

Tymczasowo chłopiec został u starłej gospodyni; innego mu pomieszczenia Bernard znaleźć nie mógł.

Przybrana opiekunka nie mówiła wcale o pozbyciu się Tomcia; zajmował ją i pocziwem sercem zaczynała się przywiązywać do niego.

Wieść o tém, co spotkało Bernarda, przez doktora, przez wdowę, przez gospodynię, lokatorów domu w którym stał – rozeszła się pomiędzy jego znajomymi. On też tajemnicy z tego nie czynił.

Zaczynali przychodzić ciekawi z zapytaniami; nikt pojąć tego nie mógł, ażeby obowiązku jakiegoś nie mając, przez miłosierdzie samo, człowiek z trudnością mogący zapracować na własne utrzymanie, miał się podjąć opieki nad dzieckiem cudzém...

Pierwszy Muliniec, dowiedziawszy się o tém, wpadł do Bernarda prawie gniewny.

— Cóż to znowu głośzą? przyjąłeś dziecko Klary, téj co była tancerką? Gdzie? jak ci je narzucano? Godziłoż się....

Bernard usta mu zamknął.

— Posłuchaj — rzekł z powagą. — Postąpiłem może nierozważnie, biorąc na siebie odpowiedzialność i obowiązki, którym mi trudno będzie podołać, alem się oprzeć nie mógł. Nie będę niczego tajił przed tobą... Byłem dzieckiem, gdy się zakochałem w Klarze, pierwszą i ostatnią miłością mojego życia. Stworzyłem z niej sobie ideał, któremu rzeczywistość straszliwy kłam zadała. Wiiesz. Słyszałeś, jaki los spotkał tę kobietę. Jeden krok fałszywy popchnął ją ku przepaści. Wyszła za męża za jakiegoś lotra, została wdową z tém dziećciem, bez grosza, bez sposobu do życia. Nie mając nikogo na świecie, przywlokła się tu z synaczkiem, ufając że ja może będę mu opiekunem. Skonała z tą nadzieją... Mógłżebym odepchnąć sierotę?

— Lecz cóż ty z nią poczniesz, na Boga miłego! — podchwycił Muliniec, rozgrzewając się. — Myśmy wszyscy o ciebie samego troszczyli się, że rady z trudnością dasz własnemu utrzymaniu, potrzebom i zabezpieczeniu przyszłości.... Cóż teraz,

gdy masz nowe brzemie, nowy obowiązek?... Jak temu podolasz?

Bernard stał zamyślony, lecz bynajmniej nie zmieszany, ani strwożony.

— A pan Bóg? a Opatrzność? — odparł. — Możecie się z tego śmiać, jeżeli się wam podoba, ale ja wierzę w to, że są pomoce z nieba. Filozofowie mi powiadają, że są głupi, wyobrażając sobie pana Boga, mającego miliony światów i niezliczone émy istot w prawicy, iż troszczy się jednym takim pyłkiem, jak człowiek. Ale właśnie to jest Bożą wielkością i cudem Jego potęgi, że światy dźwiga i atomy, wszystko ogarnia, widzi i o wszystko się troszczy. Dla nas to niezrozumiałe, ale dla Boga możliwe.

Skłonił głowę, mówiąc to, a Muliniec z podziwieniem, w którym był odcień politowania, pochylił też czoło, rozpostarł ręce i zdawał się mówić:

— Niéma na to ratunku! Marzyciel niepoprawiony!

Bojarski tymczasem, jakby sam mówił do siebie — dodał:

— Ja potrzebuję bardzo mało; chłopiec długo też niewiele będzie kosztował. Gdy podrośnie, coś się znajdzie, zaoszczędzę, zbiorę. Mam kilka prac rozpoczętych. Sami mówicie, że dawniej nie za nie płacić nie chciano, a dziś, choć źle, ale pla-

ca. Jest więc postęp widoczny i można mieć nadzieję, iż im dalej będzie, tém lepiej.

Miałże się z nim sprzeczać i odejmować mu odwagę Muliniec?... Zamilkł.

W parę miesięcy potém całkiem inaczej urządził się Bojarski. W tym samym domu, w którym mieszkał na drugiem piętrze, było parę pokoików do najęcia. W nich pani sekretarzowa, która dozorowała niegdyś Klarę, podjęła się zamieszkać razem z Tomciem. W ten sposób opiekun miał go ciągle na oczach. Wprawdzie odebrać go z restauracyi od grubej jéjmości i dziewcząt, które go psuły i okarmiały, nie było łatwo, ale należało myśleć o przyszłości, bo pierwsze wrażenia są dla dziecięcia na całe życie drogoskazem. Bernardo wi ciężko było dla Tomcia całe zaprowadzać gospodarstwo, ale mu jéjmość wyrachowała, że z nią razem niewiele ono będzie kosztowało;—służąca z tego samego piętra, przychodząca parę razy na dzień, starczyła do pomocy sekretarzowej.

Bojarski podawnemu stołował się u swojej przyjaciółki, aby dozorczyni Tomcia nie przyczyniać kłopotu; powracał powoli do zwykłego trybu życia, rwał się z potrzeby do pracy jeszcze goręcej, aby zarobić dla dziecka i dla siebie; ale pomimo najusilniejszego starania, aby się jaknaj-

mniej odrywać od stolika, pokusa brała często zajrzeć do małego sierotki i zobaczyć, co się z nim dzieje. Bernard miał już całe plany wychowania osnute w głowie, był pewien, że zrobi z tego dziecięcia wychowaniem racjonalnym razem a serdecznym znakomitego człowieka.

Zarazem, jak ci wszyscy, którzy kochać i przywiązać się do kogoś potrzebują, a cel sobie znaleźć w życiu, Bojarski począł sercem przylegać do Tomcia.

Chłopaczek był zepsuty pieścotami matki, podrażniony tem co wycierpiał, załedwie na świat przyszedłszy; ale główkę miał otwartą, naturę do kochania i przywiązania się skłoną. Z dziecinną łatwością w pamięci jego zatarło się wspomnienie matki; sekretarzowa potrafiła pozyskać go sobie. A że nie miała nic do czynienia, oprócz odmawiania pacierzy, pończoszki i pieśczenia dziecka, po całych dniach się niem zajmowała, rozmawiała, bawiła się, nie spuszczała go z oka ani na chwilę. Bernard po drodze, idąc na miasto, wpadał na drugie piętro na chwilę, zawsze coś przynosząc Tomciowi, a gdy dziecko wybiegło przeciw niemu, usadowiło się na kolanach, poczęło mówić, śmiać się, pieścić, sam nie wiedział jak, dawał się zatrzymać urokiem tego szczebiotania i uśmiechu.

Tomcio się stał rywalem nauki, bo teraz myśli

jego dzieliły się między wychowawca a pracę. Czytał co tylko mógł o pedagogice, rozmyślał i daleko wprzód nim można było rozpocząć nauczanie, obmyślał systemat, z jakim ma do niego przystąpić.

Ciężar stał się zarazem pociechą.

Przyjaciele Bojarskiego, przyznając jego złotemu sercu największe cnoty, obawiali się wszakże tego brzemienia, które na siebie tak ohotnie wziął Bernard. Ci co zdala na to patrzyli, nie umiejąc sobie wytłumaczyć takiego dobrowolnego poświęcenia, szeptali eicho, podejrzewając biednego o bliższy stosunek do dziecięcia, niż był wistocie. O plotki podobne nie dbał Bojarski weale.

Tymczasem troski życia coraz mu się dotkliwiej czuć dawały. Tomcio i jego dozoreczyni kosztowali drugie tyle, co sam Bojarski, niekiedy więcej nawet. Potrzeba było koniecznie zarabiać, aby wystarczyć.

Encyklopedia szła kulawo. Pierwsze tomy, jak to się u nas dzieje zwykle, znalazły mnogich abonentów, ale wkrótce potem liczba ich topnieć zaczęła i zmniejszać się coraz. W Niemczech i innych krajach można z pewnością na to rachować, że kto wziął tomów parę, dzieła skalęzonego, niemającego wartości gdy nie jest pełnem — nie porzuci, choćby niezupełnie był niem zaspokojony. U nas niema prawie przykładu prenumeratorów,

umiejących wytrwać do końca. Z encyklopedya stało się, jak z innemi tego rodzaju przedsięwzięciami: tysiące abonentów naprędce zeszyły na seeiny, a i te zwolna szczuplały.

Pan Teofil trwał jeszcze w silném postanowieniu dojechania do końca, przewidując że całe dzieło potem drogo sprzedawać się będzie mogło, ale koszta go zastraszały. Na współpracownikach naprzód się niepowodzenie odbiło. Bardzo skromne honorarya zmniejszono jeszcze, sam plan dzieła zagrożonym był, bo pan Teofil, nie dbając o to, że głowa z ogonem nie będzie w zgodzie, gotów był obcinać i skracać. Bojarski, który wagę do dzieła przywiązywał, piérwszy musiał ofiarę uczynić dla niego, zrzekając się części honoraryów.

Piotruś Grochowski, który dał się wciągnąć téż do encyklopedyi, dowiedziawszy się o tém, wpadł do niego z gwałtownemi wyrzutami.

— Wszystkim nam psujesz interesa, chléb odbiérasz—wołał, biegając po poddaszu.—Księgarz traci, ale gdyby był zarobił, czyby się z tobą podzielił? To jego rzecz zyskiwać, lnb za pomysł niewczesny pokutować. My żyć musimy. Takiego pana Teofila resztki, gdyby nawet upadł, więcéj będą znaczyły, niż to co ja i ty przez całe życie zarobimy. Pał ich... lichó—dodał—kiedy ty chcesz mrzéc z głodu; ale ciebie jako przykład bezinteresowności nam wskaże pan Teofil i zmusi, abyśmy

i my na oltarzu oświaty złożyli naszą kromkę suchego chleba. Ja ci tylko to powiem — skończył podrażniony Piotruś—że więcej do żadnej zbiorowej roboty, w którą ty palce umoczysz, nie chcę należeć. Szanuję cię i wielbię, kocham i weneruję, ale ty żyjesz powietrzem, a ja choć serdelka i kawałka chleba potrzebuję na śniadanie.

Bojarski tłumaczył się, uniewinniał, lecz nie to nie pomogło.

Encyklopedia chyliła się do upadku. Potrzeba było nagwałt szukać roboty. Bojarski z tą obojętnością człowieka, który jest pewnym tego co ma w duszy i żadną pracą nie czuje się poniżonym, byleby jęj ucziwie dokonał, brał co się tylko nawinęło, począwszy od tłumaczeń rzeczy, które przekładu nie były warte, aż do artykułów dziennikarskich, które dzień zaledwie pożywszy, marnie przepadały.

Żardyński, dla którego nie miał tajemnic, wyrzucił mu to, jako z godnością poważnego pracownika nie licujące, a wyczerpujące siły.

Ale cóż było robić?

Gdy encyklopedia zaczęła iść coraz słabiej i powolniej, Bernard podjął się napisania historii powszechniej, którą miał z najlepszych i najświeższych dzieł obcych kompilować. Nie mogło być mowy o studyach źródłowych — ale i tęg łatwej pracy chcąc ucziwie dokonać, utopił się

w ogromie obrobień, monografij, notat ściąganych z tego, o czém zasłyszał.

Historji téj objętość była ograniczoną liczbą arkuszy; sumienie jednak wymagało nieco rozszerzonego wykładu. Księgarz odwoływał się do umowy; Bernard więc część znaczną musiał dać darmo, byle dzieła nie zepsuło.

Czas schodził na takich darmościach dla sumienia; ale Bernard, gdzie szło o nie, nie umiał żadnych czynić ustępstw: wołał spełnić ofiarę.

Skutkiem podjęcia się wychowywania Tomcia, w końcu roku kasa nietylko była wyczerpana, ale maleńkie dłużki zaczynały się pokazywać na horyzoncie. Bojarskiemu czasu nie stawało na to wszystko, czego się podejmował, tak iż nad cztery do pięciu godzin nie sypiał, resztę nocy spędzając za stolikiem. Czuł się niekiedy potem jakby osłabionym i znużonym, ale najczęściej praca zbyt ciężka rodziła w nim rodzaj gorączki, która nie dawała uczuć wyczerpania.

Aby odpędzić sen, pił kawę lub herbatę i temi sztucznymi środkami, nerwy podbudzającemi, trzymał się napozór. Zarobek byłby zresztą nieskończenie większy, gdyby nie charakter Bojarskiego. Znano jego talent, żywość z jaką rzecz przedstawiał, gdy nią był przejęty; artykuły jego trafiały do przekonania, bo z przekonania wypływały.

Często więc usiłowano go pozyskać, gdy szło o ważniejszą jaką sprawę.

Ale Bojarski pierwszego lepszego wymagania, choćby mu na wagę złota mogło być opłacone, nie przyjmował i dopóty się nie podjął pisać, dopóki się nie przekonał, że cel był uczciwy i jego pojęciom się nie sprzeciwiał.

— Cóżbym ja wart był? — odpowiadał zimno gdy nalegano. — Wprostbym się mógł nazwać najemnikiem, gdybym podejmował się jak żołdak za pieniądze służyć, nie pytając o sprawę. Jeżeli rzecz pocziwa i pożyteczna, to choćby krew za nią, nie atrament, przelęwać przyszło... ale jeżeli mi się wydaje podejrzaną, za nic w świecie nie podejmę się jęj poruszyć.

Komu po rozpatrzeniu się Bojarski raz odmówił pióra, ten już nie miał pogo iść do niego.

— To jedno mnie ratuje — mówił spokojnie znajomym — inaczéj wolałbym drwa rąbać, a piórobym porzucił.

Stosunki Bernarda w tym czasie, o którym mowa, nie polepszyły się wcale. Znał więcéj ludzi, ludzie go znali lepiéj, ale przyjaciół miał niewiele. Prawdómówność mu ich odbierała.

Pochlebiać nie umiał nikomu, a im kogo kochał więcéj, tém natarczywiéj starał się go nawracać, gdy widział w błędzie.

Gniéwano się na niego... znosił to cierpliwie;

Od kolébki do mogiły t. II.

12

podawano mu później rękę do przejednania... przyjmował ją.

Powierzchnowość zameźzonego pracą nieustanną Bojarskiego, nie przemawiała zanim. Przedwcześnie zaczął starzeć, zaniedbywał się nieco; zatopiony w myślach, zapominał o wszystkim. Filozoficzne zaniedbanie czasem go w salonie czyniło aż do zbytku dziwaczną postacią.

Uprzejmy dla wszystkich, z sercem najlepszym, nie miał jednak w obejściu się z ludźmi tych form uniżonych, pokornych, które jednają miłości własnej. Czuł się niezależnym, równym wszystkim; nie imponowało mu ani bogactwo, ani stanowisko; miał cywilną odwagę niekłaniania się zbytńio nikomu. Czyniło go to niewygodnym, a przy otwartości zbytńiej, czasem strasznym. Nie zapraszano go też wcale, a gdzie się zjawił, choć przyjmowano sympatycznie, nie nalegano o zawiązanie bliższych stosunków.

Dla pospolitych ludzi miał i tę wadę, że się zawsze kimś opiekował. Nie dla siebie, ale dla innych potrzebował pomocy i prawil o obowiązkach, o których ludzie nieradzi słuchają.

W tym czasie, oprócz Tomcia, spadł na niego ciężar drugi niespodzianie.

Tak zwany Skórka, autor pięknego poematu z życia ludu i wielu bardzo udatnych pieśni, które wówczas popularnemi się stały, dzięki muzyce, ja-

ką do nich dorobiono, lat kilka przeżywszy, prawie się nie wytrzeźwiając, popadł w ciężką, nieuleczalną chorobę. Były to początki tego straszliwego *delirium tremens*, z którego uleczyć prawie niepodobna.

Towarzysze hulanki i rozpusty, gdy legł na strychu, prawie do jednego pierzchnęli. Nie było to skutkiem ich złego serca, ale słabości. Nie mieli środków ratowania go, a widok chorego nerwowych i wyniszczonych życiem gorączkowym przyprowadzał niemal do szału.

Jeden, najmłodszy, czternastoletni, rozpuszczony jak oni wszyscy chłopak, przez uwielbienie dla mistrza pozostał przy jego barłogu. Lecz i ten był ubogim i oprócz czuwania, żadnej ulgi nie mógł przynieść biednemu Cyganowi.

On pierwszy, z wieścią że Skórka dogorywa opuszczony, przybiegł do Bojarskiego, o którym słyszał, choć osobiście go nie znał, i zaklął go na wszystko najświętsze, aby ratował wielkiego poetę.

W takich razach nie potrzeba było wysiłków, by skłonić Bernarda do braterskiej pomocy. Był on rzeczywistego talentu Skórki gorącym wielbicielem, ubolewał zawsze nad tem, że się on tak zwał i upadł. Zdawało się mu, iż przyszła chwila nie tylko ratowania człowieka, ale sprowadzenia go na drogę inną.

Wszystko co miał zabrawszy z sobą, pobiegł natychmiast z chłopakiem, który go prowadził, płacząc, na owo straszliwe poddasze, gdzie Skórka na podłodze, w koszuli jednej, wychudły, targał się w strasznych boleściach naprzemiany i straszniejszych może jeszcze zdretnieniach.

Zaledwie rzuciwszy okiem na tę nieszczęśliwą ofiarę umysłowej aberacyi jakiegóż i szalu, Bernard musiał, sam tu nie mogąc radzić, biedz po lekarza, a że wiedziano o życiu, nałogach i chorobie Skórki, niełatwo było skłonić kogo, aby szedł radzić tam, gdzie zdawało się że żadnego nie było ratunku, bo w chwilach oprzytomnienia Skórka dopominał się wódki i zaléwał nią znowu.

Szpital, pilny i ostry dozór nad człowiekiem już sobą niewładnącym, był jednym środkiem wątpliwego ocalenia. Bojarski musiał biegać, aby wyjednać przyjęcie do niego, swoim kosztem chorego przenosić, płacić za pierwsze jego potrzeby i wymodlić dla niego opiekę zwierzchności domu chorych. A że sam już do ostatniego grosza wydał, że jemu i Tomciowi nie było za co knpić powszedniego chleba, musiał restauratorkę tymczasowo uprosić, aby żywiła ich wszystkich.

Choroba Skórki trwała kilka tygodni; zdawała się nawet dawać nadzieję uléczenia; ale siły były wyczerpane i Cygan, niewiadomo jakim sposo-

bem dorwawszy się w szpitalu spirytusu, nim się dobił.

Poecie, którego imię znane było wszystkim, którego pieśni cowieczora brzmiały przy fortepianach, możnaż było nie sprawić pogrzebu, któryby choć litość i współczucie poświadczał?

Bojarski pobiegł zbierać składkę na pogrzeb, na trumnę, na zakupno grobu... Byłby sam zastąpił miłosierdzie publiczne, wstręt czując do takiej zebraniny, ale grosza już nie miał przy duszy, a sprzedać nie było co.

Książki kupują się drogo, ale biada tym, co je sprzedawać muszą! Dla handlarzy stają się one makulaturą; a zresztą Bernard miał tylko takie, bez których obejść się nie mógł.

Gdy po całym dniu biegania za tym groszem, którego tak dostać trudno, tam gdzie go najpilniej potrzeba, powrócił Bernard do swego poddasza, miał jeszcze siły tyle, aby posłać po sekretarzową, oddać jej zebraną składkę, wytłumaczyć o co chodziło, obmyśleć co z Tomciem ma zrobić, dopóki pogrzebu nie dopilnuje— i padł na łóżko, czując że jakaś niemoc i zbląkane myśli zapowiadały mu chorobę.

Od tej chwili postradawszy przytomność, Bernard wcale już nie wiedział, co się z nim działo. Śnił że biega zebrząc, że chwyta ludzi co go odpychali, że się oburza i płacze, że pada i podnosi

się. Potém przyszedł sen czarny, z błyskami zamiast marzeń, i świat, życie, poczucie siebie znikaly.

Gdyby nie pani sekretarzowa i nie stróż Fafuła, który pierwszego lepszego przyprowadził doktora, a potém gdyby nie rozchodząca się po mieście pogłoska o niebezpiecznej chorobie Bernarda — niktby mu z pomocą nie przyszedł.

Dnia tego, gdy grzebano poetę za grosz przez niego ubiérany, Bernard leżał w strasznej gorączce, nie poznając nikogo, sam, opuszczony, zapomniany, i dopiero nad wieczór znalazł się lekarz, wróciła sekretarzowa, zaczęto myśleć o chorym.

Po wszystkich szukając szufladkach i zamknięciach, w których pieniędzy choć trochę spodziewała się znaleźć, stara jójmość nie wydobyła z nich nad kilka miedziaków. Srebrny zegarek potrzeba było zastawić, aby pierwszym zadosyc uczynić potrzebom.

Zgłosić się nie wiedziano do kogo; położenie było rozpaczliwe. Jedna restauratorka brała je do serca, ale ona do wielkich ofiar środków nie miała. Mowa już była o szpitalu, gdy wypadkiem dowiedział się hrabia Zygmunt o chorobie i opuszczeniu Bernarda.

Żardyński, który wiedział o stosunkach Bojarskiego z tym domem, sam poszedł do hrabiny. Znajdowała się tam przypadkiem i matka Gwał-

bertka, którą los biédnego nauczyciela syna poruszył. Obie panie natychmiast złożyły więcéj niż było potrzeba i posłały choremu siostrę miłosierdzia. Hr. Zygmunt pojechał do swego lekarza, a ten był jednym z piérwszych ówczesnych stolicy, i skłonił go, aby się natychmiast zajął Bojarskim i do wyzdrowienia go nie opuszczał.

Gdy po kilku dniach zupełnéj nieprzytomności piérwszy raz oczy otworzył chory i zobaczył u łóżka siedzącą zakwefioną, ze smutną twarzą zakonnicę—nie mógł długo zrozumieć, co się z nim stało, gdzie był.

Mówić i pytać mu zakazano. Osłabionym był straszliwie. Usnął po chwili.

Przyjście do zdrowia niełatwém było i prędko nie mogło nastąpić, ale piérwsze potrzeby domu zaspokojono, chory miał opiekę, a gdy sekretarżową wezwano do hrabiny Maryi, gdy opowiedziała jéj, co było przyczyną choroby i jakie życie prowadził ten biédny ofiarnik—rozplakała się słuchając jéj wielka pani... Szacowała go zawsze, ale nie znała go jeszcze dosyć.

Ze wszystkich ust brzmiały pochwały dla człowieka, lecz zmieszane z politowaniem nad niepraktycznością jego. Nawet hr. Zygmunt sądził go surowo.

— Bardzo piękny charakter, głowę trzeba przed nim skłonić, ale wiekuiście wymagać bę-

dzie opieki nad sobą. Nie umie żyć, nie umie sobie radzić, bierze na siebie więcej, niż podolać może. Poświęcenie jest piękne, ale ma granice. W dawnych czasach było mu zostać zakonnikiem, a z pewnością zostałby apostołem, misyonarzem wzorowym.

Inni wyrażali się ostrzej jeszcze i gniewali niemal, ośmiészając biednego Bernarda.

Gdy cokolwiek sił odzyskał Bojarski, naprzód zapytał o swego Tomcia. Był on trzymany osobno, choć się do tego, którego tatkiem nazywał, napraszał. Siostra Salomea nie życzyła sobie zbyt wielu wzruszeń i dziecinnęj swywoli przy chorym, który spoczynku potrzebował; ale Bojarski wkońcu tak prosił i nalegał, żeby mógł siórotkę zobaczyć, że mu ją przyprowadzono.

Rozplakał się, ściskając malca, który rzucił mu się na szyję. Miał jego jednego na całym świecie.

Odtąd każdego dnia choć na pół godziny wymówił sobie, aby mu Tomcia przyprowadzano i to go odżywiało, gdy szczebiotania jego się nasłuchał.

W początkach nie pytał o to, z kąd się wzięły pieniądze na kuracyą i potrzeby domu; wkońcu jednak przyszła mu o to troska. Zawołał sekretarzęd i nieśmiało począł ją badać.

Nie tała przed nim, że musiała się udać do hr. Maryi i że ztamtąd przyszła pomoc chętna i serdeczna. Bojarski uważał ją za pożyczkę i gdy

tylko zdołał pisać, uparł się podziękować za nią, upewniając że dług ten spłaci, jak tylko wyzdrowieje. Gdy raz cokolwiek się mu polepszyło, niezużyte siły młodości prędko potem do odzyskania zdrowia pomogły. Tęsknił za pracą, ale mu jej nie dozwolano. Siostra miłosierdzia siedziała jeszcze na straży i z łóżka się nawet podnosić nie dawała.

Wyprosił u niej sobie, żeby mu choć potrosze czytać dozwolono, robił ukradkowo notatki, a przez resztę dnia rozmawiał z siostrą Salomeą, bawił się z Tomciem i układał przyszłe plany pracy.

Niestety, dosyć przedłużona choroba pozrywała węzły i zobowiązania. Księgarz, który wydawał jego historią powszechną, zmuszony terminem, wziął Grochowskiego do jej ukończenia. Encyklopedia, przerwana niby tylko i zwleczona, nigdy, nigdy się już nie miała ukazać więcej. Jasne źródła pracy, z których czerpał Bojarski, gdy go nie stało, musiały szukać ludzi coby go zastąpili. Miejsca były zajęte... Wszystko to jemu było jeszcze zakrytém, ale dla przyjaciół widoczném. W chwili uzdrowienia miał się znaleźć wobec najtrudniejszego w świecie problemu—wyszukania zajęcia.

Naostatek po trzech miesiącach już wstał, chodził, siostry Salomei nie potrzebował; ale zima trwała właśnie i doktor mu z domu się ruszać nie

dozwalał. Chcąc wrócić do robót przerwanych, musiał prosić o pośrednictwo Piotrusia, który przyszedł na wezwanie kwaśny i nierad z tego, co go tu czekało.

— Mój drogi — odezwał się Bernard, witając go — chciałem cię prosić, abys mi był pomocą. Sam z domu wyjść nie mogę, może będziesz łaskaw pośredniczyć między mną, a wydawcą historyi.

Piotruś poprawił okulary.

— Cóż ja ci tu pomogę? — odparł, mrużąc. — Wydawca nie mógł czekać na twoje niepewne uzdrowienie przez tyle miesięcy, bo abonenci narzekaliby na zwłokę. Musiał dokończenie oddać komu innemu. Winy w tém niema.

Nie przyznał się Grochowski, że sam ten dalszy ciąg wziął na siebie. Bernard pobladł, ale nie rzekł ani słowa.

— A z encyklopedyą co się dzieje? — zapytał.

— I o tém nie wiesz? — odparł Piotruś. — Dalszy ciąg odroczony *ad calendas graecas*, ale to po prostu znaczy, że z niej już nic nie będzie.

Bojarski przeszedł się po pokoju. Były to dwie podpory jego życia. Potarł czoło blade i westchnął.

— Nie wiesz gdzieby robotę jaką znaleźć można? — nieśmiało zapytał.

— Ja sam na nią poluję — westchnął Piotruś. — Nie wiem.

Po chwilce milezenia Grochowski przybrał ton Mentora i zaczął przyjacielowi dawać nauki, jak miał na przyszłość życie ułożyć, aby się stało możliwém.

Radził powrócić do lekcyj.

— Prawda że pan radca Emil, który ma „zęb” do ciebie, popsuł ci sławę i wystawia cię, jako niebezpiecznego człowieka; ale znajdziesz pomimo to godziny po pensyach. Zostawiłeś wszędzie po sobie pamięć dobrą.

Po tój rozmowie, Bojarski coraz się bardziej zaczął niecierpliwieć, aby mógł wyjść z domu. Chciał naprzód podziękować hrabiostwu, potem choć spróbować zastukać do kilku redakcyj, wostatku zaś choćby już lekcyj szukać po pensyach.

Zasilek, jaki mu udzielili hr. Zygmuntostwo, już się wyczerpywał. Za nic w świecie o nowy nie byłby prosił Bernard. Nie pojmował tego, aby sumienna praca mogła nie znaleźć zastosowania, zwłaszcza gdy ona gotową była zwrócić się, gdzie tylko ucziwie i godziwie dało się ją skierować.

— Wolałbym marzyć i śpiewać—mawiał—uczyć się, badać, tworzyć coś; ale kiedy nie można, z rezygnacją będę to robił, co muszę, nie mogąc tego cobym chciał.

W redakcyach powitano bladego konwalescenta ze spólczuciem, ale odkładając znalezienie za-

jęcia, wymawiając się tém, że się zobowiązano względem innych.

Na list do niego pisany p. Teofil odpowiedział ofertą dykeyonarza, który wydać zamyślał, naczynając za wykonanie cenę tak śmieszłą, że nawet Bernard, niewymagający wcale, przyjąć jej nie mógł. Nie czuł się też stworzonym na leksykografa.

Po kilku dniach wędrówek od drzwi do drzwi, Bojarski powrócił do domu niespokojny. W szufladce było zaledwie kilka rubli, Tomcio gwałtownie potrzebował trzewiczków i ciepłej sukienki. Dalej codzienny wydatek na kuchnię, drzewo. Zkąd było wziąć na to wszystko?

Postał czas jakiś przed otwartą szufladką, podumał, rzucił się na kanapę, i znalazłszy otwarte na stole Montaigne'a „myśli,” zatopił się w ich czytaniu.

— Teraz pora—mówił w duchu—aby się w to wdała Opatrzność!

Fenomenalną u nas jest rzeczą spotkać szlachcica, któryby z pieniędzmi się obchodzić i robić je umiał.

Talentu tego nie miało nigdy rycerstwo polskie, ale zato mieniem szafować i lubiło i potrafiło pięk-

nie i poczciwie. Tak samo jak Bernard, wierzyli wszyscy w Opatrzność i dlatego sami byli nieopatrznymi.

Wszędzie jednak spotykają się wyjątki, i takim był pan Jan Paweł Zbrzydowski, który na przekór dziejom, wywodził się od Zebrzydowskich i mniemał ich rodu i krwi potomkiem.

Wistocie miał coś w sobie ich natury niespokojnej, gwałtownej, niecierpiącej nad sobą przewagi, rwącej się do przedsięwzięć trudnych.

Syn rodzica, który mu zostawił po sobie pomierne szlacheckie mienie, Jan Paweł za zadanie życia wziął sobie rodzinie swęj dawną świetność przywrócić. Nie pojmował tego inaczej, jak na-przód robiąc pieniądze.

— Na majątku i na worku opiera się wszystko—powiedział sobie—i od młodych lat cały się oddał robieniu grosza.

Rzecz to pewna, że gdy się kto duszą i ciałem odda jednemu, gdy cel postawiwszy przed sobą, dąży i zmierza ku niemu nieprzerwanie, wytrwale—zawsze wkońcu nabędzie wprawy w dobijaniu się do niego i zdobyć coś musi.

Pan Paweł Zbrzydowski czy Zebrzydowski, dochodząc do lat pięćdziesięciu, mógł sobie powiedzieć, że dokonał co zamierzał. Z dwóch wioszeczek doszedł do posiadania kilku kluczów dobrze rządzonych i intratnych, obracał kapitałami

znacznemi, miał dwie fabryki, mnogie po wsiach przemysłowe przedsiębiorstwa, słowem na swój czas uchodził za najwytrawniejszego spekulatora i robił pieniądze szczęśliwie.

Dziś typ podobny nie jest już tak bezprzykładnym; naśladownictwo innych, utarte drogi, wyrobione jaśniejsze pojęcia, wielu popychają do robienia pieniędzy, a fama aureolą ich przyozdabia, głosząc jako zasłużonych krajowi obywateli. Dawniej niemal się trzeba było uniewinniać spekulując, dziś się tém wszyscy chwala.

Pan Jan Paweł był wyjątkową postacią i w opinii nie stał wysoko. Zarzucano mu, że z sumieniem zbyt łatwo wchodził w kompromisy, że grosz dla niego był bóstwem i wszystkiem, że—jak się wyrażano—sprzedałby rodzanego brata.

Na te wszystkie złośliwe sądy nie odpowiadał Zbrzydowski, ani dbał o nie; był nadto zajęty, ażeby mógł dawać im ucho i troszczyć się tém, co o nim po świecie głoszone.

Robił pieniądze i wkońcu stało się to namiętnością, robił je często na spółkę z ludźmi, o którychby się w innym razie nierad był ocięrać. Zaledwie jeden interes był rozpoczęty, szukał już drugiego, aby nie próżnować; mięwał ich po kilka na głowie, a wychodził ze wszystkich zwycięzko i to mu dodawało ochoty do podejmowania coraz nowych. Szukał z tego chluby, że widział tam

pieniądz i spekulacya, gdzie nikt inny ich nie dostrzegał.

Życie Zbrzydowskiego było niezmiernie czynne, ruchliwe, niezmordowaną pracą zajęte. Rodzinę miał na wsi, we wspaniałej rezydencyi po-książęcej, nabytej tanio, wyrestaurowanej umiejętnie i oszczędnie. Dla interesów mnogich trzymał oprócz tego dom w Warszawie, miał tu kancelaryą i przesiadywał czasami w mieście, ale rozrzucone i rozgałęzione przedsiębiorstwa niemal ciągle zmuszały go podróżować. Rzadko się mógł dłużej zatrzymać i spocząć na wsi lub w mieście.

Można było, widząc wchodzącego do salonu p. Pawła, poznać w nim zaraz jednego z tych ludzi, co czasu nie mają i ważne zajmują w społeczeństwie stanowisko, lub przynajmniej sądzą, że je zdobyli.

Niepiękny, twarzy brunatnej i plamistej, z czołem pomarszczonem i nizkiem, zbudowany krzepko, dosyć otyły, w obejściu się pańsko-rubaszny i niemyślący o przypodobaniu się nikomu—Jan Paweł miał w sobie coś z Nababa, coś z amerykańskiego spekulanta, który w pieniądzu tylko wierzy. W kołach arystokratycznych, do których rad się weiskał, razila jego zbytnia poufałość ze wszystkimi i stawianie się na równi z tymi, co w nim widzieli tylko szczęśliwego dorobkowicza.

Krzywiono się na niego, wyśmiewano na stronie;

ale to była potęga finansowa, człowiek który i pożytecznym bardzo i szkodliwym też mógł się stać gdy chciał—musiano więc żyć z nim na dobrej stopie, choć przyjaciół nie miał i nie zdawał się zbyt tęsknić za nimi.

Pomiędzy innemi domami, do których Zbrzydowski uczęszczał, był i hrabiostwa Zygmuntownstwa, bo lubił się obracać w tych sferach, do jakich zdawało mu się iż liczyć się miał prawo. Oni go nigdy nie potrzebowali, bo rządźili się szczęśliwie, a stary hrabia, pilnie strzegąc zachowania majątku, robienia go nagwałt nie miał na celu.

Zwykle gdy Zbrzydowski kogo zaszczycił odwiedzinami, o czém inném mówić nie umiał, tylko o tém co w sercu miał i w głowie—o sobie, o swoich spekulacyach, o majątku, kłopotach, nawale pracy i olbrzymich przedsięwzięciach. Lubiał chwalić się tém, a przycinać innym, co tracili majątki, co nie mieli tego geniuszu tworzenia z niczego, jakim on się chlubił.

Słuchano go w milczeniu i niekiedy tylko hr. Zygmunt pozwolił sobie lekkiego przycinku, który Jan Paweł w żart obracał.

Jednego tedy wieczora, gdy Zbrzydowski, wedle swojego zwyczaju, zabawiał hrabiostwo narzekaniami, wyrwało mu się i to, że potrzebował bardzo człowieka zdolnego a sumiennego, któryby

zarazem pełnić mógł obowiązki sekretarza osobistego i kasyera.

— Ale gdzie tu dziś znaleźć człowieka zarazem zdolnego i takiej nieposzlakowanej uczciwości, któremu by można czasem krociami leżące kapitały powierzyć i być spokojnym? Będzie poczciwy, to razem głupi i przez głupotę szkodę wyrządzi, a przebiegłego i sprytnego strach użyć, bo każdy z nich przewrotny.

Hrabina, której nagle przyszedł na myśl Bojarski, spojrzała na męża.

— Mnie się zdaje, Zygmuncie—rzekła do niego—iż my kogoś znamy, co i bardzo jest zdolny, a bezinteresowny i poczciwy aż do przesady.

Hrabia odgadł o kogo chodziło.

— Tak—dodał—zdolności znakomite, poczciwość zdumiwiająca, ale nie zdałby się tam, gdzie idzie o interesa piędźne, o których niema wyobrażenia.

— Ale ja nie potrzebuję go do pomocy w interesach, bo temi sam się zajmuję wyłącznie i do nich się nie daję wtrącać nikomu—odezwał się Zbrzydowski.—List napisać, którego ja myśl podam, i pilnować kasy... więcej nie. Mieć oko na subalternów przytém... to wszystko... to wszystko. Specjaliści nie wymagam, nawet buchalteryi zbytniej nie cierpię, byle wydatek był zapisany.

Od kolébki do mogiły t. II.

13

Idzie mi o to, abym nie potrzebował się obawiać być oszukanym.

— Pod tym względem człowiek, o którym mówi żona moja—dodał hrabia—byłby niezawodnie najlepszym w świecie stróżem. Niemniej jednak zdaje mi się, że literat, poeta do kasy się nie zdał.

— A! poeta! daj go katu!—zamruczał Jan Paweł.—Przyznaję się, że mam wstręt do tego rodzaju ludzi. Są powszechnie niedołęgami, marzycielami. Z drugiej jednak strony redakcyja listów na témby zyskała. Ktoż to jest?—zapytał Zbrzydowski, obracając się do hrabiny.

Hrabina Marya zwolna zaczęła rozpowiadać dzieje Bernarda; odmalowała charakter, uzaliła się nad położeniem, ale wcale nie myślała namawiać na to Zbrzydowskiego, aby się starał ściągnąć do siebie Bojarskiego. Jój samój teraz zbliżenie tych dwóch ludzi wydawało się niezbyt właściwém, a nawet niemożliwém.

Tymczasem spekulant słuchał z uwagą wielką, główną wagę przywiązując do charakteru, uśmiechając się z naiwności i beziinteresowności, unosząc nad ofiarnością człowieka.

— I nie głupi przytém, powiada pani hrabina?—dodał wkońcu.

— O! wcale nie można mu odmówić zdolności—potwierdziła pani domu.—Głowa otwarta,

nauki wiele, pisze bardzo ładnie, drukował nawet rzeczy parę.

Mieć za sekretarza człowieka który drukował— uśmiechało się Janu Pawłowi; a przytém ta nieposzlakowana zacność, poczciwość, to bezpieczeństwo, z jakim mu klucze można było powierzyć...

Hrabia Zygmunt, choćby był rad usłużyć Bojarskiemu, znajdował pomysł żony conajmniej dziwnym—i wkońcu śmiać się zaczął z niego.

Zbrzydowski przeciwnie, nad wszystko ceniąc charakter i poczciwość, powtarzał, że dlatego jednego gotów był człowieka wziąć, na inne niedogodności zamykając oczy. Uparł się wkońcu, aby hrabina swego protegowanego mu przysłała, bo się z nim chciał rozmówić i zapoznać.

— Choćby pomiędzy nami do żadnych nie przyszło układów — dodał — korona mu z głowy nie spadnie, gdy się zemną zapozna. Któż wie? Niech pani hrabina mi go przyszle.

Po wyjściu Zbrzydowskiego, hrabia Zygmunt posprzeczał się trochę z żoną, z powodu jej chęci narzucenia Bernarda takiemu człowiekowi, jak Jan Paweł.

— Jak można ich sprzedać z sobą? nie rozumiem!

Hrabina jednak napisała kartkę do Bojarskiego i przesała liścik polecający, z którym miał stawić się w kancelaryi Zbrzydowskiego. Tłuma-

czyła w kilku słowach, dlaczego to uczyniła i raziła spróbować przynajmniej, czy się nie uda znaleźć tu miejsca, wielkiej pracy niewymagającego, a mogącego dać byt spokojny.

Bojarski nie mógł dobrze zrozumieć o co tu chodziło, do czego się miał zobowiązać; lecz nie mając nic lepszego, przyjął z wdzięcznością wezwanie.

O naznaczonej godzinie, wdziawszy surdut jedyny, który jeszcze mógł światło dzienne wytrzymać, Bernard poszedł do znanego sobie domu Zbrzydowskich na Krakowskiem. Kancelarye mieściły się na pierwszym piętrze, były rozległe, pracowało w nich dużo młodzieży, lecz z wielkiem zaniedbaniem i oszczędnością, bez żadnego przepychu je urządzone. Zbrzydowski umyślnie im nadawał tę powierzchowność niewykwintną, utrzymując że wszelki zbytek pachnie ruiną, prędzej lub później.

Bernard znalazł go w gabinecie, także wcale niepokaznym, przy starém biurku, zajętego pisanem brulionu jakiegoś listu, z którym sobie rady dać nie mógł.

Spojrzawszy na bladego, mizernego, znużonego, ale z twarzą pogodną i spokojem przychodzącego Bernarda, Zbrzydowski, który się chlubił tём, że w lot poznawał ludzi, znalazł się niespodzianie wobec zagadki. Takiego rodzaju człowieka

nie znał. Była to dla niego księga nieznanemi chatekterami pisana.

Musiał, zpod brwi naprzód przypatrując się człowiekowi niezrozumiałemu, namyślać się, jak ma mówić do niego.

— Pani hrabina Marya poleciła mi pana—odezwał się po chwili.—Wistocie potrzebuję kogoś.. komubym mógł zaufać i któryby mnie zastąpił ale pan podobno miałeś dotąd inne zupełnie zajęcia.

— Tak—odparł Bojarski — mojem powołaniem były literatura i nauczycielstwo. Nie jestem piewien, czy panu prezesowi potrafiłbym usłużyć (zwano pana Pawła prezesem). Nie wiem nawet dokładnie, o co idzie.

Prezes się uśmiechnął.

— Samo z siebie — rzekł—wynika, że nauczyciela nie potrzebuję, a literatura jest dla mnie rzeczą dosyć obojętną; ale hrabina zaleca mi pana jako nadzwyczaj sumiennego człowieka, i o to mi téż idzie przedewszystkiém.

— Pan prezes zechce mi powiedzieć może i określić, jakie byłyby moje obowiązki—zapytał Bernard.

Zbrzydowski się namyślił.

— Naprzód pomoc w mojej korespondencyi; potem straż nad kasą, a wrazie mojej niebytno-

ści nad rachunkami i wypłatami. Wyjeżdżam często.

— Co do form rachunkowych i trzymania ksiąg, do tego nie jestem wcale usposobiony — odparł Bernard.

— Nie wymagam form, ale jaknajprostszego zapisywania wydatków — mówił dalej prezes. — Idzie mi głównie o to, abym był spokojny, że nie będzie nadużycia.

— Nie mogę na to panu dać innej rękojmi, nad słowo uczciwego człowieka — rzekł Bojarski — ale niestety, nie jestem mu znany.

— Hrabiostwo ręczą za pana — przerwał prezes.

— Ile godzin zajętych będę spełnianiem mojego obowiązku? — zapytał nieśmiało.

Pytanie to trochę zachmurzyło prezesa. Nie obrachowywał się tak ściśle ze swoimi oficjalistami i nie lubił, aby oni nadto się obwarowywali. On sam pracował dniem i nocą, wymagał też, aby mu każdy stawał na zawołanie.

— Trudno mi będzie na to panu odpowiedzieć — odezwał się. — Niepodobna ściśle trzymać się godzin. Ja sam czasem nic nie robię, a niekiedy pracuję noc i dzień.

— Ja zaś — przerwał Bojarski — zmuszony będąc przyjąć obowiązki, które właściwie z powołaniem mojem nie są w żadnym stosunku, muszę choć kilka godzin swobodnych zastrzedz dla sie-

bie, abym i nie zapomniał czego się uczyłem i... pracował też dalej.

— I tych godzin wolnych mieć pan 'będziesz aż do zbytku—rzekł prezes kwaśno — tylko niepodobna zgóry oznaczyć, kiedy przypadną. Musisz się pan spuścić na mnie, że go pracą nie przeciążę.

Zamienili jeszcze słów kilka.

Zbrzydowski widocznie trwał przy tém, aby Bojarskiego pozyskać sobie.

W rozmowie ujął go swą prostotą, zrobił na nim wrażenie prawego człowieka. Skutkiem tego i prezes, który z innymi oficyalistami swymi lubił odegrywać rolę raczej przebiegłego i chytrego, z Bojarskim postanowił okazywać się zawsze surowym, ścisłym i przedewszystkiém uczciwym.

Szło mu o to, aby nowy oficyalista szanował go i cenił.

Ponieważ ani Bernard się nie napiérał do téj posady nowéj, lękając się trochę, ani prezes chciał okazać, że go potrzebował, umowa nie poszła łatwo. Bojarskiemu potrzebne było mieszkanie dla niego, dla Tomcia i dozoreczyni, o co nie czyniono trudności; o pensyą nie targował się prezes, ostatecznie jednak wniósł, aby półroczna próba wzajemna stanowiła o przyszłości.

Bernard dłużejby się wahał i namyślał, gdyby nie Tomcio i nie biéda w domu; upokorzało to go

sekretarstwo przy dorobkowiczu, ale ubóstwo ma swe wymagania. Zresztą nie wiązał się na wieki, bo wciągu tego półroczu mógł szukać czegoś stosowniejszego i znaleźć.

Umowa więc nastąpiła tymczasowa.

Żegnając nowego sekretarza, prezes zdobył się na zręczny frazes, w którym wyraził nadzieję, iż bliższe poznanie zjedna mu serce i przychyłność Bojarskiego.

Rozeszli się tak, nie czując sympatyj dla siebie. Bernard również może lękał się tego pryncypała nowego, jak on swojego pomocnika. Stosunki jednak Bojarskiego z domem hrabiów, u których dorobkowiec chciał być w estymie, zapewniały mu pewne względy.

Tydzień czasu miał Bernard na przeniesienie się do nowego mieszkania, urządzenie i objęcie stanowiska potrzeba było pokazać papiery, ścigać książki i w myśli pożegnać się z temi swobodnymi chwilami pracy, w których nie podlegał nikomu.

Nie bolało Bojarskiego to, że miał nad sobą mieć zwierzchnika, lecz że tracił wolność, do której przywiązywał wielką wagę dla pracy.

Wprzód jeszcze, nim nadszedł termin zajęcia miejsca, Bernard stawiał się prezesowi dobrowolnie, ofiarując pomoc, jeśliby jęj potrzebował. Wistocie niewiele tu było do czynienia. Kore-

spondencya pana Pawła wielkiego wysiłku umysłowego nie wymagała.

W końcu tygodnia przyszło zdawanie kasy, odbiór kluczy, właśnie to, do czego prezes przywiązywał największą wagę, a czego się Bojarski najbardziej obawiał. Krocie te, za których zachowanie brał na siebie odpowiedzialność, niepokojem go przejmowały.

Musiał więc jaknajdrobnostkowszych wymagać instrukcyj i znudził trochę Zbrzydowskiego, usiłując siebie od późniejszych wymówek zabezpieczyć.

Zaraz potem prezes, któremu się to bardzo często trafiało, nagle powołany został interesami i wyjechał, zostawiając po raz pierwszy klucze nowemu sekretarzowi.

Mówiliśmy już, że kancelarye Zbrzydowskiego dosyć wielu oficjalistów wymagały. Bojarski znalazł się pośród ludzi nowych, mało wykształconych, a zazdroszczących mu tej posady zaufania. Jedni usiłowali zbliżyć się do niego, dla wybadania, drudzy niechętném patrzyli nań okiem, a wszyscy potrosze rachowali na to, że literat sobie nie da rady i że się go wprędce pozbędą.

Roboty nie było wiele. Mógł siedzieć z książką, a przychodzący, niezajomi, nie utrudzali go rozmowami. Wieczorem wracał do swoich dwu pokojów, przy których sekretarzowa miała dwa

dla siebie i Tomcia; bawił się trochę z dziećciem i próbował wrócić do dawnych zajęć.

Choroba jednak, troski, zmiana położenia, obawy jakie ona budziła, myśl ciągle zaprzątnięta odpowiedzialnością, kasą, pryncypałem, tak oddziaływały na niego, że uczuł się zupełnie niezdolnym wzlecieć w te sfery, w których dawniej przemieszkiwał.

Był po przebyciu tego przesilenia jakby innym człowiekiem. Ochota i zapał w nim ostygły. Przerzucając stare swe szpargały, dziwił się, znajdując w nich jakby człowieka nieznanego i między tym samym a sobą—przepaść.

Słusznie czy nie, przypisywał to w początku skutkom choroby, która wycieńczając organizm, osłabiła ducha.

Ale owładnął nim smutek, bo mu się zdawało, że postradał młodość, zapał i że już ich nigdy nie odzyszcze. Teraz więc istotnie nie zdał się może na nic więcej, tylko na takiego posłusznego oficjalistę, pilnującego kluczków i stylizującego obojętną korespondencją.

Wszystkie mrzonki downe o życiu jakże były daleko, jak ono się przedstawiało ogołocone z ideału, biędne, nieznaczące, bezsilne! Pocieszało go jedno tylko, że będzie mógł wychować Tomcia i z niego zrobić to, czém sam już być nie mógł.

Prezes po kilku dniach powrócił i natychmiast

powołał sekretarza i kasyera do siebie. Potrzeba mu było zdać szczegółowo sprawę z najmniejszych rzeczy, zaszłych podczas jego niebytności.

Bernard wywiązał się z tego z pedantyczną ścisłością i prezes, choć tego nie dawał poznać po sobie, był zupełnie zaspokojony.

Nazajutrz było mnóstwo listów do pisania, a i te wypadły szczęśliwie dla Bernarda.

Początek więc zapowiadał tu jeżeli nie świetną i nie zaspokajającą wymagań egzystencyą, to przynajmniej bardzo znośną.

A co ją czyniło dla Bernarda przyjemniejszą, niż się spodziéwał, była to na jego benefis odegrana komedia prezesa. Pan Paweł wszędzie, gdzie tylko mógł, patetycznie się popisował z surową moralnością w interesach. Mówił o niej aż nadto, głosił ją do zbytku i to powinno było Bojarskiego uczynić nieufnym, gdyż dowiedziona jest rzeczą, że ludzie się zawsze popisują z tém, czego czują że im braknie. Tchórz sławi swą odwagę, kłamca prawdomówność, człek próżny udaje skromnego, a przewrotny chce się okazać poczciwym.

I prezes, który w interesach nie był wcale nieposzlakowanym, chętnie korzystając z każdej nadarzonej sposobności zysku, choćby trochę z krzywdą ludzką, przed Bernardem pozował na bardzo surowego Katona.

— U mnie pierwsza rzecz w interesie—powta-

rzał głośno—strona moralna. Jeśli pod tym względem najmniejsza zachodzi wątpliwość, wolę się wyrzec zysków, ale w sumieniu zostać czystym.

Bernard, słuchając tych wyrazów, bynajmniej nie wątpił, iż z głębokiego pochodziły przekonania, i bywając u hrabiostwa Zygmuntownstwa, sła-
wił też swojego pryncypała z tój cnoty.

Hrabia Zygmunt słuchał, ale milczał.

Czulszy i bliższy stosunek pomiędzy sekretarzem a panem prezesem nie wyrobił się przy lepszym poznaniu. Ze strony pana Pawła widocznem było, że chciał sobie pozyskać Bojarskiego, a ten byłby się rad przywiązał do niego, lecz jakaś warstwa chłodu ich rozdzielała. Szanował prezesa Bernard, ale pokochać go nie mógł.

Zbrzydowski znalazł w swym oficyaliście ideał, o którym marzył. Niewiele czasu było potrzeba na to, aby o jego prawości, uczciwości, bezinteresowności nabył przekonania. Mógł mu ślepo powierzyć wszystko. Listy były aż nadto pięknie i poprawnie stylizowane; prezes wyjeżdżał tedy kiedy chciał, bawił, ile mu się podobało, bo nie miał troski najmniejszej o skarby swoje, a był pewien, że rozkazy jaknajściślej zostaną wykonane.

Że zaś o ten spokój głównie mu chodziło, Bernard, który mu go przynosił, był dla niego nieocenionym człowiekiem.

Wszystkich małych dogodności, jakie mógł uczynić Bojarskiemu prezes, chętnie i z łatwością, uprzedzając żądania, starał mu się dostarczyć. Pensyą po miesiącu już sam dobrowolnie powiększył. Mieszkanie rozszerzono, aby Tomcio miał gdzie pobiegać.

Cała kancelarya prezesa była już przekonaną, że Bojarskiego nic w świecie ztąd wysadzić nie zdoła i nadskakiwała mu, jako faworytowi, którego jedno słowo ważyło wiele.

Zdawała się więc jasno zarysowywać przyszłość; ale Bernard pozostał smutnym. W tém życiu, pozbawioném troski o chleb powszedni, brakło żywiołu, coby je dla niego znośném uczynił.

Mechaniczne zajęcie odrętwiało umysł. Gdy prezesa nie było, zajęcia się mnożyły i nie dawały ani chwili spoczynku; gdy powracał, powoływano do niego w godzinach różnych, niespodzianych, a praca umysłowa stawała się niemożliwą.

Tych miłych wieczorów, jakie za życia matki spędzał Bojarski w towarzystwie przyjaciół, jedno z nim mających zadanie, tych rozpraw o zadaniach sztuki, o metodach, o nowych prądach, o zjawiskach w piśmiennictwie—tych marzeń poetyckich, które osładzały najczarniejsze godziny — brakło Bojarskiemu.

Rzadko bardzo przyszedł kto do niego z dawnych znajomych. Grochowski się zjawiał, więcej

pewnie dla podwieczorku, niż rozmowy. Żardyński ocieężał nieco i wieczorami wychodzić mu się nie chciało, a w dzień Bernard był zajęty. Muliniec przychodził raz na kilka tygodni; pannę Henrykę spotykał tylko na ulicy czasami.

Za ludźmi i za światem, którego oni byli przedstawicielami, Bernard niewymownie tęsknił. Nie miał się czém odżywić, a czuł to teraz najdotkliwiej, że wymiana myśli z równymi sobie jest człowiekowi równie niezbędną, jak czytanie.

Piotruś Grochowski często się w tym przedmiocie odzywał:

— Bo to, mówcie sobie co chcecie, książki są jak siano, pożywne, ale dlatego bydelku świeżej trawy, a nam żywój rozmowy potrzeba.

Piotruś téż téj trawy spożywał daleko więcej niż siana, i gdy nie pisał na rogu stołu pośpiesznie, aby grosz zarobić, gawędził niezmordowanie.

Oskarżali go niektórzy, iż w rozmowach kradł cudze myśli i obracał je na swój pożytek, z czego się śmiał sam, nie zaprzeczając, lecz powtarzając Molierowskie: *Je prends mon bien, partout où je le trouve.*

Bijąc się z tém, jakieby teraz zatrudnienie literackie najstosowniejsem było, przy zajęciach ciągle go od pracy odrywających, Bojarski przekonał się, że poszukiwanie materiału rozsypane-

go, do jakiegó pracy erudycyjnej, byłoby najwłaściwszém.

Począł się grzebać w dziełach historycznych, wracając do obrazu literatury, w najobszérniejszym jój znaczeniu, do życia duchowego narodu.

Nie mówił o tém nikomu. Zamknął się w sobie, zbierał notatki, lecz przy tych suchych szczątkach przeszłości, jeszcze niespojonych myślą żadną, rozgrzać się nie mógł. Pozostał smutnym, przybitym, wykolejonym.

Twarzy bladość, wzrok jakby obłąkany, roz-targnienie jakieś przypisywano przebytej chorobie; przyczyną jednak istotną zmiany był raczej stan ducha.

Bernard pytał się często sam siebie, czy poszedł za radą ojca, który mu nakazywał być posłusznym powołaniu? Ono go ciągnęło gdzieindziej, ale wymagania życia, chleb ten powszedni, bez którego obejść się nie można, sierotka którą trzeba było wychowywać, ofiarę czyniły konieczną.

Bojarski próżno się krzepił, dźwigał, otrząsał z ogarniającego go smutku — tryb życia nowy jakby ołowianą nad nim ciążył atmosferą. Musiał liczyć, zapisywać, kontrolować, wyprawiać listy, słuchać instrukcyj — a to wszystko razem po dniu czezym i zajętych sprawami, w które duszy wlać nig było można — odbierało siłę i ochotę do życia.

Uśmiech Tomcia wieczorem orzeźwiał go na chwilę, lecz i chłopak ten smutne myśli przywodził.

Możnaż było przewidzieć, jakie będzie jego powołanie i czy na za niem pójść zdoła? Z dziecka nie jeszcze wyczytać, oprócz ciekawości i żywości, nie było można.

Wprawdzie sekretarzowa znajdowała go cudownie pojętnym, ale ona się tak przywiązała do niego, że jej sercu macierzyńskiemu wierzyć nie było można.

Bernard postrzegał, że jeżdżenie na kiju reprezentującym konia i ubieranie się po wojskowemu, zapowiadało rycerskie usposobienie.

Miałżeby Tomcio zostać sławnym wodzem?

Myśl ta najmniej się opiekunowi uśmiechała.

Rok już upływał, a Bojarski zwolna przywykał do położenia, które odejmowało przynajmniej nieustanną troskę o kawałek chleba. Prezes był coraz bardziej rad z nabytku i pokilkakroć za Bernarda hrabiostwu dziękował.

— Nie chciałbym go popsuć pochwałami — mówił hr. Zygmuntowi — ale to jest istotnie nieoszacowany człowiek. Prawość niezrównana, charakter na który rachować można, łagodność wielka, najmniejszej dumy i — inteligencya znakomita.

Bojarski, nie będąc tak dalece zakochany

w swym pryncypale, oddawał mu jednak sprawiedliwość, uważał go za uczciwego człowieka, trochę tylko zapalczywie uganiającego się za groszem.

Życie wyrobiło się na tych podstawach spokojne, dostatnie, odrętwiało nieco, bez żadnych uciech coby je osładzały, ale też bez wielkich trosk o jutro.

Jutro przedstawiał pełen nadziei Tomcio, który dotychczas rósł, meźniał, rozkwitał jaknajpomyślniej. Pani sekretarzowa już mu powoli ukazywała wielkie litery alfabetu; jednakże kij z głową konia i kapelusz papierowy żywiej go od nich zajmowały. Bernard kupił mu szablę drewnianą.

Jednego wieczora, gdy chłopak się właśnie uwijał w tym stroju rycerskim po pokoju swego opiekuna, służąca przyszła oznajmić Bernardowi, że pani jakaś życzy sobie z nim pomówić na osobności.

Prezesa naówczas nie było w Warszawie, znajdował się na wsi, a że interesów rozmaitych spadało wczasie jego niebytności bardzo wiele na Bojarskiego, wieczorne te odwiedziny niebardzo go zdziwiły.

Tomcia zabrała sekretarzowa, a Bernard wyszedł do progu na spotkanie kobiety, którą prosić kazał.

Ubrana czarno, ubogo, a raczej bardzo skro-

Od kolébki do mogiły t. II.

14

mnie, z twarzą bladą, kobieta średniego wieku, na której widać było wielkie życiem zużycie, a w oczach wyraz rozbudzonej inteligencji, weszła nieśmiało, trwożliwie spoglądając na Bernarda.

Potrzebowała potem chwili spoczynku, usiadłszy, nim mogła głos zabrać.

Bojarski spytał, czém służyć jej może.

Łagodnego dźwięku głosem poczęła odpowiedź, która nieprędko wyjaśnić mogła powód przybycia.

— A! panie — odezwała się, patrząc w oczy Bojarskiemu, jakby z nich czytać chciała, z kim ma do czynienia — przyszłam do niego z wielką prośbą. Możesz mi być pomocnym. Słyszałam o nim wiele dobrego i dlatego ośmieliłam się z zaufaniem przyjść w mem nieszczęściu błagać o radę i pośrednictwo.

Bojarski czekał wyjaśnienia.

— Nazywam się Oporowska — dodała powoli, rachując się z każdym słowem przybyła — jestem stryjeczną siostrą Zbrzydowskiego.

Spojrzała na Bernarda, który natychmiast przypomniał sobie, że to nazwisko czytał w rachunkach i że jakieś interesa pieniężne łączyły preza z rodziną Oporowskich.

Z cyfr i wypłat jednak żadnego mieć nie było można wyobrażenia o stosunku tej pani ze stryjcznym bratem.

— Mój brat — dodała, zawahawszy się — ma wielkie w panu zaufanie. Pan jesteś człowiekiem prawym i zacnym, wszyscy mu to przyznają. Ja jestem z dziećmi pokrzywdzoną niełitościwie przez Pawła.

Załamala ręce.

— Ratuj mnie pan!

Słyszając to, Bojarski osłupiał. Nie pojmował, jak człowiek tak surowej uczciwości, takich zasad jak prezes mógł się krzywdy na rodzinie dopuścić. Przypuszczał że biedna kobieta mogła, nie znając interesów, sądzić brata niesłusznie i surowo.

— Pani mi przebaczy — odezwał się — ale od czasu jak znam pana prezesa i zostaję przy nim, nigdy nie śmiałem przypuścić, aby on był zdolnym kogokolwiek pokrzywdzić, témbardziej zaś rodzinę. Jest surowym często, ale nigdy niesprawiedliwym. Może to jakieś nieporozumienie, które postaramy się wyjaśnić.

Kobieta spojrzała błagająco na Bojarskiego i zamilkła. Ręce jej splotły się na kolanach. Milczała długo.

— To jest właśnie mojem nieszczęściem — rzekła — iż nikt mi więzyć nie chce. Ja pana o jedno tylko prosić będę... nie możesz mi tego odmówić. Jesteś człowiekiem sumiennym, o tem wiem od wielu, co go znają. Nie uprzedzając się więc,

nie odpychając matki, którą los dzieci obchodzi, rozpatrz się pan w mojej sprawie i osądź ją.

To mówiąc, z westchnieniem dobyła zpod czarnej narzutki zwit spory papierów, na których znać było długie noszenie ich i zużycie. Związane były sznurkiem starannie.

Spora wiązka ta mogła przestraszyć. Oporowska, nim je podała Bojarskiemu, wpatrzyła się w nie osłupiałemi oczyma, po których łzy przepływały. Twarz jej obudzała sympatyą, miała wyraz łagodny i nie w niej nie zdradzało tej namiętności, jaką czasem miéwają kobiety rzucone losem na pieniacze bezdroża. Mowa, obejście się, powierchowność okazywały, że nawykłą była do dobrego towarzystwa i należała do niego.

Bernard nie mógł odmówić przyjęcia papierów, chociaż się zawahał.

— Pani to łatwo zrozumieć—rzekł powoli—iż prezes miałby prawo wziąć mi za złe, gdybym przeciwko niemu coś czynił, a nawet wdał się nieuprawniony w sprawę między nim, a rodziną. Jestem jego sługą.

— Tak—odparła Oporowska — i jako wierny jego pomocnik, jako przyjazny mu człowiek, czyż nie powinienes życzyć, aby był uczciwym i czystym? czyż nie masz obowiązku, jeśli jest w obłądzie, starać się go nawrócić na dobrą drogę? Zresztą ja pana nie proszę o nic więcej; przerzuc

te papiery, postaraj się poznać sprawę, a jeżeli naówczas przekonasz się, że jesteśmy pokrzywdzonymi...

Podniosła oczy ku niemu.

— Ja nie mam najmniejszego wpływu na prezesa — odezwał się Bernard. — Gdybym nawet przemówił w interesie pani, jéjby to pewnie nie pomogło — a mnie...

Nagle kobiéta się poruszyła, jakgdyby coś w niéj zagrało. Wstała.

— A! tak — rzekła z goryczą — zapomniałam, że każdy naprzód musi myśleć o sobie. To naturalne. Wprawdzie pana mi odmalowano inaczej, ale... ludźmi jesteśmy.

Gdy to mówiła, a Bernard już miał rękę wyciągniętą jakby dla ujęcia papierów, które mu podawała — cofnęła je nagle, schowała pod narzutkę i gorączkowo cofnęła się parę kroków.

Bojarski był dotknięty żywo i zawstydzony.

— Przepraszam, pani mnie nie zrozumiałaś — rzekł surowo. — Wcale mi nie idzie o siebie. Jestem, a przynajmniej staram się być człowiekiem sumienia i obowiązku, wątpię tylko bardzo, abym mógł być pani użytecznym; przechodzi to moje siły. Jednakże teraz już nie odstąpię od bliższego poznania jéj sprawy. Proszę o te papiery.

Po głosie poznała pani Oporowska oburzenie

pocziwego człowieka. I jęj się teraz przykro zrobiło. Nieśmiało wysunęła zwitek.

— Przeczytaj pan — szepnęła cicho. — Kiedy mogę przyjść, aby się dowiedzieć?

I nim Bernard mógł jęj odpowiedzieć, dodała żywo:

— Lepiej może będzie, abym ja tu nie przychodziła. Jeżeliś pan łaskaw, oto mój adres; gdy papiery przejrzysz, chcięj mi powiedzięć zdanie swoje.

Bojarski odprowadził ją do drzwi odchodzącą. Zrobiła na nim wrażenie wielkie i natychmiast zasiadł do rozpatrywania się w powierzonych mu papierach. Były one najrozmaitszję treści i formy; listy prywatne, kopie dokumentów, rachunki, a przedewszystkięm ważne w nich miejsce zajmował kobięcęm pismem, zapewne samęj Oporowskięj, dosyć obszerny wykład całej sprawy.

Było w nim tyle uczucia, tyle niewyszukanęj wymowy z niego płynącęj, taka prawda i szczerosc były z tego prostego opowiadania familijnych stosunków, iż Bojarski, usiadłszy do czytania, nieporuszony y przy nięm wytrwał aż do końca.

To, co towarzyszyło temu memoriałowi, było tylko dowodem jęgo prawdomównosci. Zaledwie oczom swym mógł wierzyć Bojarski. Człowiek ten, którego on dotąd miał za wzór prawosci i szlachetności, z opowiadania Oporowskięj oka-

zywał się nielitościwym, przebiegłym, podstępny, chciwym spekulantem, który wciągu lat długich czyhał na to, aby stryjeczną siostrę z majątku wywłaszczyć, dlatego że on mu do zaokrąglenia jego posiadłości był potrzebnym.

Listy dowodziły, jak naprzód usłużnie się wciśnął w zaufanie wdowy, jak pozyskał u niej wiarę małemi przysługami, jak później z pomocą ludzi, których przybrał sobie, podstępnie dążył do opanowania majątku i nieszczęśliwą z trojgiem dzieci przywiódł jeśli nie do zupełnej ruiny, to do ubóstwa.

Dowody pokrzywdzenia były tak przekonywające, iż Bernardowi krew uderzyła do głowy. Człowiek ten, którego on szanował dotąd, któremu służył, był prostym szalbierzem i zręcznym wyzyskiwaczem wszelkich środków dla grosza.

Raz i drugi odczytał Bojarski niektóre części opowiadania, kopie listów i dokumentów. Nie ulegało wątpliwości, iż Oporowska była oszukana, podchwyconą, gdy się zdrady nie spodziewała, że skarżyła się słusznie...

Teraz dopiero spadły łuski z oczu Bernarda i wiele mało dotąd zrozumiałych kroków i spraw prezesa w innym mu się przedstawiły świetle. Widział w nim tém nikiemniejszego człowieka, że maską surowych zasad okrywał swą przewrotność.

Nie szło już o Oporowską, której dopomódz było trudno, ale o to, czy się godziło służyć i pomagać człowiekowi jawnie zepsutemu i być niejako współnikiem jego niegodziwych czynów.

Bojarskiemu było dotąd dobrze i spokojnie, położenie jego prawie nie do życzenia nie zostawiało, bo mu nawet po pewnym lat przeciągu obiecywano rodzaj emerytury; ale czy sumienie pozwalało w ten sposób dorabiać się spokoju i dobrego bytu?

Oburzony Bojarski w głos sobie odpowiedział:— Nie!

Co miał począć, nie wiedział, czuł tylko, że w miejscu nie mógł pozostać.

Przez całą noc nie zmruczając oka, rozmyślając co ma zrobić, dotrwał do rana. Zabrał papiery i udał się do pani Oporowskiej.

Znalazł ją w bardzo szczupłym, ale czysto i ładnie nawet urządzonej mieszkaniu przy Długiej ulicy.

Nie spodziewała go się zapewne tak prędko i zdumioną była, zobaczywszy wchodzącego z twarzą zaognioną, poruszonego, niespokojnego.

Mileząc, położył na stole papiery.

— Odczytałem wszystko — rzekł krótko — masz pani po sobie słuszność, to nie ulega wątpliwości, ale prawnie nic tobie poradzić niepodobna. Jeżeli sumienie i srom nie przemówią, ani ja, ani

nikt w świecie nie zdoła dokonanego zmienić. Moje pośrednictwo byłoby i niewczesnym i zupełnie nadaremny. Pani będę się starał dać jedyną radę, jaka mnie się zdaje skuteczną, lecz przede wszystkim, abym siebie oczyścił, muszę oświadczyć, że jak najprędzej będę mógł, usuwam się od prezesa i w obowiązkach moich przy nim dłużej nie pozostanę. Nie mam nic, zajęcia żadnego, sierotę na wychowaniu, ale sumienie mi dłużej nie dozwala wytrwać na stanowisku, którego niebezpieczeństwo z łaski pani dopiero pojmuję.

Oporowska słuchała, drżąc.

— Mam więc słuszną — przerwała z twarzą nieco rozjaśnioną — przyznajesz mi ją pan!

— Najzupełniej — rzekł Bojarski — ale sprawa pani zrozpaczona. Jednakże, wywdzięczając się za to, żeś mi pani otworzyła oczy, dam jej ostatnią ratunku nadzieję: prezesowi idzie o to wielce, ażeby świat go miał za uczciwego i prawego człowieka. Są ludzie, o których opinią dba bardzo. Hrabstwo Zygmuntowstwo należą do nich. Hrabina Marya może tu być pomocną. Proś ją pani, ażeby przeczytała prosty i zrozumiały wykład interesu i mężowi go dała do przejścia. Słowo ich do prezesa zaważy stokrotnie więcej, niż inne środki.

— Nie znam hrabiny Maryi.

— Będę pośredniczył, jeżeli pani rozkażesz — odparł Bojarski.

Oporowska podziękowała cicho.

— Pan więc—dodała nieśmiało—nie potrzebujesz wcale rzucać miejsca, bo się względem Pawła nie skompromitujesz. Możesz pozostać.

— W żadnym razie — rzekł stanowczo Bernard. — Ze świadomością iż pomagam do złego, choćbym miał wszystko poświęcić, nie mogę w miejscu pozostać.

— Szusznie mi więc pana odmalowano — rękę wyciągając, odezwała się wdowa — jako prawdziwej i niewzruszonej enoty człowieka.

— Zdaje mi się, że na mojem miejscu niktby inaczej nie mógł postąpić — odezwał się Bernard skromnie.

Oporowska chciała go wstrzymać, ale wyszedł wzruszony, nie chcąc rozprawiać dłużej, potrzebując rozważyć własne swe położenie i co ono ciągnęło za sobą. Niewzruszone miał postanowienie natychmiast po przybyciu prezesa oświadczyć mu, że służbę u niego porzucić musi. Potrzeba było obmyśleć, nie zwlekając, życie na przyszłość.

Poszedł do Żardyńskiego ze swym smutkiem i niepewnością. Nie miał nikogo, oprócz niego jednego. Nie był stary profesor człowiekiem praktycznym, lecz sąd miał trzeźwy i zdrowy, a wiekiem i doświadczeniem ostudzony.

— Teraz ty u mnie rzadkim gościem jesteś— rzekł Żardyński—o Homerze z tobą nie rozprawić, gdy cały w cyfrach i dodawaniu utonełeś. Cóż porabiasz?

— Właśnie pono z cyframi mi się przyjdzie pożegnać— westchnął Bernard.

— Nie jesteś wytrwałym— rzekł kwaśno profesor.— Nie pochwalam żeś wlaźł w to, ale raz twój łaźni, gdyż się z nią obył...

— Pozostałbym — przerwał Bojarski — ale sumienie stawia veto.

Żardyński patrzył na niego wielkimi oczyma

— Sumienie?— zamruczał.

— Dotąd miałem mojego pryncypała za uczciwego człowieka, chociaż zajadłego robigrosza— rzekł Bernard. — Okazuje się jednak, że jest to szalbierz i oszukaniec, zatem ja mu pomagać do robienia fortuny w ten sposób brudny nie mogę.

— Wymagał od ciebie czegoś nieuczciwego?— spytał Żardyński.

— Nie— rzekł Bojarski— bo moja rola przy kasie jest bierną, spełniam co mi rozkazuje. Właściwie jestem w jego rękach machiną, ale ręce te są brudne i ja w nich nie mogę pozostać.

Profesor głową potrząsał.

— Niewątpliwie poruszenie to szlachetne— odparł — ale nie rozumiem dobrze skrupułów. Jak skoro nie jesteś czynnym współnikiem szalbierstw,

nie odpowiadasz za nie. W świecie codziennie się ościaramy o niegodziwość, której zapobiedz nie jest w naszej mocy.

— Coś mnie od tego człowieka odpycha, jak skoro wiem, że czystym nie jest — rzekł Bojarski. — Nie, nie! Mam możne postanowienie rozstać się z nim.

— A potem? — spytał Żardyński.

Bojarski żywo począł chodzić po pokoju.

— Dałem się skusić mamonie — zawołał — słusznie więc jestem ukarany. Nie powinienem był rzucać swojego powołania. Zostałem odstępca. Bóg widzi, nie dla siebie, ale dla mojej biednej sieroty. Dla niej jednak nawet nie mogę wytrwać tam, gdzie każdy grosz wzięty czuć będzie krzywdą ludzką. Będę pisał, przepisywał, redagował bodaj kalendarze, robił korekty... jadał chleb suchy...

Twarz mu rozpromieniała nagle.

— A! profesorze — zawołał ochoczo — pomimo nędzy która mnie czeka, czy uwierzysz, że mi się to uśmiecha? Powrót do zajęć mnie właściwych sprawia mi taką radość, jakbym z wygnania do gniazda przybywał. Są fatalizmy! czuję że ta literacka bieda i swoboda stanowią przeznaczenie moje!

Żardyński go uściskał w milczeniu.

— Co tu powiedzić na takie oświadczenie? —

rzekł cicho.—Jesteś człowiekiem *sui generis*, prze-
robić cię niepodobna... klep-że tę biędę, a niech
ci Bóg błogosławi.

Z dziwną w tém położeniu jakie go czekało,
swobodą umysłu, niemal wesolnością, powrócił Bo-
jarski do domu. Życie to kasyera i oficjalisty,
do którego się był wdroył jakimś odrętwieniem,
wydawało mu się teraz niewolą ciężką — wyrwa-
nie z niego wyzwoleniem.

Czekał tylko na powrót prezesa.

Oporowska tymczasem, idąc za radą jego, uda-
ła się do hrabiny Maryi. Ażeby wytłumaczyć ten
krok, musiała wspomnieć, iż go Bernard jój po-
radził. Z początku zawahali się oboje hrabiostwo
wziąć udział w sprawie familijnej, ale Oporow-
ska tyle dla siebie współczucia obudzić umiała, iż
wkońcu, nic nie obiecując, przyrzekli przejrzeć
papiéry.

Hrabia piérwszy się wziął do nich i przesiedziaw-
szy pół dnia nad niemi, przyniósł je żonie, oby-
czajem swym lakonicznie się wyrażając.

— Czytaj, to infamis!

Hrabina, która dokumentów czytać ani lubiła,
ani chciała, posłała po Bojarskiego, aby jój tre-
ściwie opowiedział, o co chodziło. Wieczorom nad-
szedł powołany, z niezwykle ożywioną fizyogno-
nią, wesół jak oddawna nie był.

Hrabina wskazała mu papiery leżące na stole.

— Opowiedz mi pan, co to jest? Ja nad tém oczu psuć nie mogę.

Bernard posłuszny, zawarowawszy sobie tylko, iż o jego pośrednictwie w téj sprawie mowy nie będzie, w prostych słowach opowiedział o krzywdzie Oporowskiéj. Oburzyła się hrabina.

— Szcześciem—rzekła—ten człowiek jeszcze dba cokolwiek o opinią; mąż mój w cztery oczy nie będzie się wahał z nim rozprawić i coś uratujemy dla biédnej kobiety. Ale któż mógł tego tak głoszącego swą uczciwość, rozprawiającego ciągle o sumieniu prezesa posądzić o podobne szachrajstwa?

— Ja, com już dosyć długi czas przy nim i obcując ciągle, a z interesami jestem obeznany, takżem go nie posądzał—dodał Bojarski.—Dziś, gdy mi się oczy otworzyły, naturalnie nie pozosta-je, tylko go pożegnać.

Hrabina podniosła oczy z robótki na Bernarda.

— Czyżbyś to pan uważał za konieczne?

— Nieinaczéj—rzekł Bojarski—mam wstręt do człowieka, a ciągle podejrzywanie go o jakieś machinacye, których ja poniekąd musiałbym się czuć współnikiem, życieby mi uczyniło nieznośnym.

— Żle panu z nim było?—spytała hrabina.

— O, bynajmniej, było mi spokojnie, dobrze, dostatnio—odparł Bojarski—alem się czuł nie na

swojém miejscu, a teraz mam i ucziwy powód podziękowania za służbę. Wrócę do moich książek i do ubóstwa.

Nie było już o tém mowy.

W kilka dni prezes powrócił, ale nim Bojarski, zawołany do niego, zajęty zdawaniem rachunków, opowiadaniem o tém co zaszło w jego niebytności, miał czas odezwać się z prośbą o dymisyą, wieczorem zasłał Tomcio.

Dziecko dostało silnej gorączki, a przywiązany do niego opiekun sam pobiegł po lekarza, sam potem usiadł przy łóžeczku. Z dyagnozy okazało się, że Tomcio od dni kilku niezdrów, miał jakąś wysypkę zaziębioną i przez to groźną.

Lekarz, zaledwie obejrzawszy go, nie taił, że stan małego jest niemal zropaczony.

— Jeżeli wyjdzie z tego, to cudem chyba! — szepnął, odchodząc.

Lecz cuda są rzadkie, a nieszczęścia pospolite. Jedyna istota, do której Bernard był przywiązany, którą kochał i przyszłość dla niej budował, miała mu być wydartą.

W dni kilka sine zwłoki chłopaka, kwiatami obrzuconego, leżały w trumience, za którą Bojarski szedł na cmentarz, aby ją złożyć w nogach grobu rodziców.

Śmierć ta na chwilę wszystko mu zatarła, o czém myślał, czém się troszczył. Siedział osłu-

piały, przybity, niezdolny do niczego, a prezes nawet, dowiedziawszy się o tém jak cierpiał, wcale go nie powoływał do siebie.

Potrzebował czasu, by się wyplakać i zapomnieć, że znowu był na świecie sam jeden. Sekretarzowa, którą dalecy krewni powoływali, oddaliła się też wkrótce.

Stan umysłu Bernarda poniekąd potem wytłumaczył go przed prezesem, gdy zażądał uwolnienia od obowiązku... Z początku pryncypał chciał tylko na urlop zezwolić dla wypoczynku, aby go przy sobie zatrzymać. Ale Bernard stanowczo oświadczył, że pozostać nie może.

Sprawa pani Oporowskiej właśnie przyszła nie na stół, bo nikt o niej nie wiedział, ale pomiędzy prezesem a hrabiną Maryą toczyła się pocichu.

Sam hrabia znalazł właściwém od niej się usunąć. Z delikatnością i taktem niewieściem hr. Marya zagaiła ją, łagodnie napozór, ale stanowczo. Dała poznać, iż doskonale jest oświadczoną, że żadne tłumaczenie przekonaniem jój zachwiać nie zdoła.

— Mój mąż—dodała—nie chciał z panem sam mówić o tém, znajdując że mnie to będzie łatwiejszém. Mogłeś się omylić, prezesie; masz wiele na głowie. Powołaj kogoś na pośrednika; nie dopuść, aby tak blizka krewna żaliła się na ciebie przed ludźmi, którzy pewnie jój wezmą stronę.

Niezmiernie zmieszany, Zbrzydowski, nie odpowiedział prawie, uciekł do domu, wzburzony i gniewny.

Nie było środka: potrzeba było albo się narażać opinii publicznej, lub ustąpić, układać się i Oporowską zaspokoić. Sprawę tę nieszczęsną pan Jan Paweł rozpoczął był powoli, przed laty, gdy nie miał jeszcze ani połowy tej fortuny, jakiej się później dorobił. Lżej mu było teraz ustępowstwo zrobić, dla ocalenia dobrej sławy. Sam udał się do dawno niewidywanej siostry stryjecznej, grubiańsko, ostro napadając na nią, aby mówiła czego chce i nie rzucała na niego potwarzy.

Oporowska rozplakała się, prezes lamentować począł; zgodzono się wreszcie na pośredników i w kilka dni, bardzo cicho, bez rozgłosu, zawarty układ powrócił wdowie znacznieszą część tego, co jej było wydartem.

Z tryumfem poszedł natychmiast Zbrzydowski do hrabiny, przynosząc jej dowód, że siostra została zaspokojoną. Był-to może pierwszy krok na lepszą drogę zbogaconego spekulanta, który mógł już coś dla zyskania imienia człowieka uczciwego poświęcić...

Nie powstrzymało to jednak Bojarskiego na stanowisku, tém bardziej, że śmierć Tomcia i oddalenie się sekretarzowej czyniły go niezale-

źniejszym... Mógł być ubogim, a potrzebował tak niewiele.

Prezes, który przyczyny właściwej oddalenia nie domyślał się wcale, rozstał się z żalem z człowiekiem, którego mu nikt nie mógł zastąpić.

Miał już Bojarski znowu najęte na strychu izdebki, do których się przeniósł, dawne życie swe rozpoczynając nanowo; ale nie przynosił z sobą dawniej ochoty do pracy, nadziei, wesela... Wracał znękany i potrzebujący odpoczynku.

Młody, czuł się już starym i złamanym. Piérwszego dnia po przeniesieniu się na nowe mieszkanie, w tym samym domu, który przedtém zajmował, jakaś tęsknica i duszna potrzeba popchnęła go na Powązki.

Tam spoczywało wszystko, co miał niegdyś na świecie najdroższego i co mu dziś w pamięci pozostało, jak nić wiążąca go ze światem. Potrzebował u grobu ojca i matki zaczerpnąć sił, zrobić rachunek sumienia, roztrząsnąć czy był godnym rodziców, lub w czém zawinił... Może i świeża mogiłka Tomcia, z małym krzyżykiem, na którym zeschnięty wisiał wianek, trochę go tam pociągała.

Bernard nie był wcale sentymentalnym, w popolitem znaczeniu tego wyrazu, i nie popisywał się z czułością, która tak była modną w XVIII w., a pokrywała serca tak samolubne i ostygłe. Krył

więcej niż chlubił z uczuciami, które tylko w czyn się obracając, wartość mają. Ale kochał utraconych rodziców i utrzymywał z duchami ich ten związek, który jest wiarą w nieśmiertelność. Czasem zdawało mu się, że głązy z za grobu przemawiały do niego w sposób tajemniczy.

Był to dzień jesienny. Cmentarz, ze swemi pomnikami i drzewy, które żółtymi liśćmi spadłymi obsypywały groby, w popołudniowej godzinie prawie pusty, eichym smutkiem jakimś był nacechowany. W tej porze roku mało nawet ptactwa pozostaje u nas i jedne wróble tylko stadami po drzewach osiadają. Z ukosa padające promienie zachodzącego słońca, pasami i smugami złościły kamienie poczerniałe, powiędłe wianki, suche gałęzie i gdzieniegdzie dokwitające jeszcze letnie resztki zieloności.

Choć wszystko tu było smutne, a Bernard przychodził niewesoły, przeszedłszy próg i posunawszy się w głąb cmentarza, uczuł w sercu jakąś ulgę i dziwny spokój. Wionęła nań ta cisza i ochłodziła piersi. Czoło się powoli rozjaśniło, piers wolniej i swobodniej oddychać zaczęła. Promienie słońca jesiennego zdały się uśmiechać.

Szedł powoli ku znajomemu kątkowi. U grobu rodziców stała mała kamienna ławeczka, którą on sobie tu postawił, aby mógł czasem dłużej posiedzieć. Od opasującej galeryjki miał zawsze

klucz przy sobie. Wszedł więc i pomodliwszy się u pomnika, poprawiwszy coś na mogiłce Tomcia, usadowił się zadumany na ławce,

Zdawali się go tu witać drodzy umarli... ojca głos go pocieszał:

— Czegoż ty chciałeś więcej od życia? Nie masz sobie nic do wyrzucenia, ani ci ludzie mogą zarzucić cokolwiek, oprócz żeś nie poszedł ich zwykłym szlakiem samolubstwa i próżności. Szczęście ci nie sprzyjało, ale ono jest krótkim błyskiem, który nie na wszystkich pada głowy. Przed sobą masz jeszcze długie lata pracy, szerokie pole, sił dosyć. Jeżeli nie możesz dla ludzi, czemużbyś nie miał pracować dla siebie? Mój duch błogosławi ci na dobrej drodze... Mężnie krocz dalej. Bóg z tobą!

Pokrzepiony wstał Bernard: życie odzyskało urok dla niego.

Był w pełni sił męzkich, wolny od zobowiązań, nawykły do skromnego życia, na które dla siebie jednego mógł przecie zapracować. Dlaczegoż miał się trapić i wątpić o siebie?

Chwilę jeszcze posiedział w tej ciszy. Słońce zachodziło; pomodlił się i krokiem śmielszym, energiczniejszym zwrócił się nazad ku domowi, szepcząc co niegdyś słyszał od ojca:

— *Usque ad finem!*

Z oczu ludzi, którzy niezwykli przypatrywać się temu co się kryje w cichych życia zakątkach, znikł prawie zupełnie Bojarski.

Widywali go tylko ci, z którymi niegdyś ściślejsze wiązały go stosunki. Wprzeciągu lat dziesięciu zmienił się niewiele.

Mówiliśmy że zestarzał prędko, ale gdy doszedł do pewnej granicy dojrzałości, zdawało się że wiek już przestał każdy krok swój karbować na jego twarzy i postaci. Lata całe nie widać w nim było różnicy żadnej.

Niezużyte siły młodości przydały mu się teraz, jako zasób na wiek późniejszy.

Zaraz po wyjściu ze służby od prezesa, z małym zapasem, który mu pozostał na pierwsze potrzeby, Bernard pomyślał o zapewnieniu sobie bytu skromnego, ubogiego, lecz zabezpieczonego od troski o to, co mu było niezbędnie potrzebném.

Miał, bądźcobądź, imię człowieka uczciwego, dotrzymującego słowa, a w pracy sumiennego. Co do talentu, jedni mu przyznali bardzo wielki, ale nie dla wszystkich łatwy do ocenienia, bo nie schlebiający smakowi wieku; drudzy podawali go w wątpliwość. Ktokolwiek jednak z przedsiębiorców jakiego wydawnictwa chciał być pewnym, że powierzona robota wykonaną zostanie sumiennie i bez zawodu, zwracał się do Bernarda.

Miał i to za sobą, że nie był wymagającym

i nie przeceniał swój pracy. Więc choć się z nią nie narzucał nikomu, zawsze prawie coś miał do czynienia.

Poczęło się to nieznacznie, od małych zamówień, a potem już utrzymało szczęśliwie, tak że Bernard miał co jeść, nikomu nie był dłużnym i z ubóstwem swoim czuł się szczęśliwym.

Mało też wymagał dla siebie. Ubranie starczyło mu na długo, a było niewykwintne; stołował się zawsze w swój uprzywilejowanej garkuchni; stary stróż mu usługiwał w tém, czego on sam nie mógł zrobić.

Znajdował się niemal bogatym, bo często kilku rublami mógł pomódz Grochowskiemu, który gorączkowo pracował, gorączkowo tracił, z niczego nie był rad, narzekał na wszystkich, wyśmiewał każdego i siebie i sarkał na życie.

Żardyńskiemu się zmarło w tych latach, a stary profesor w testamencie piękny zbiór swych klasyków i komentarzy do nich przekazał Bojarskiemu.

Z dawnych przyjaciół panna Henryka, z którą Bojarski był zawsze w przyjaźni, jedna może losem swym i rezygnacją godziła się z nim i do niego była podobną. Ale nie miała w duszy tego spokoju, téj pogody, którą Bernard wywalczył sobie głębokiem pojęciem zadań, warunków życia.

i tego co ono dać mogło, a czego wymagać od niego nie godziło się.

Panna Henryka w pracy szukała upojenia i zagłuszenia wszystkich tęsknot żywota, który uważała za zwieczny i chybiony. Talent jęj rozwinął się świetnie, umysł dojrzał, w pismach które wydawała były niemal błyski genialne; ale ona sama w duszy nie czuła się szczęśliwą.

Jako kobięta nie spełniła tego, do czego ją powoływało przeznaczenie. Została samą, bez rodziny. Przybrała sobie dziewczę, ale nie odpowiedziało ono jęj oczekiwaniom. Praca i myślenie nie starczyły jęj sercu, które kochać pragnęło, a miłością ogólną ludzi zaspokoić się nie mogło.

Spotykali się czasami, on wesół i z pogodną twarzą, ona coraz bardziej starzejąca się i smutna. Sogłądała mu w oczy ciekawie, jakby szukała w nich rozwiązania zagadki tęg, dlaczego widziała go niemal szczęśliwym, gdy ona była tylko zrezygnowaną?

Uderzało ją najmocnięj to, że Bojarski, im szedł dalej w lata, tęg stawał się spokojniejszym i szczęśliwszym.

— Powiędz mi pan — pytała — jakim cudem umiędz się zaspokoić tęg, co ci daje życie? Wszak nie masz nikogo, jesteś sam?

— Jaktó sam? — żywo przerwał Bernard. — Bardzo przepraszam. Interesuje mnie cały ko-

chany mój świat umarłych i żywych, zajmuje mnie ten proces życia i komedia jego, na którą patrzę. Na jedną chwilę nie czuję się osamotnionym, trwając w związku z tém, co na obu półkulach się dzieje. Wszystko to mnie obchodzi, zaciekawia, żywi.

Mówiąc to, zacięrał ręce i śmiał się.

— Nie jestem sam, czuję się częstką ludzkości i we wszystkich jej pracach udział biorę serdeczny. Wierz mi, kochana panno Henryko, to starczy, aby życie zapelnąć i nadać mu urok wielki.

Panna Henryka spoglądała na niego zdziwionemi oczyma.

— Zkim-że pan żyjesz? bo ja go tak widuję rzadko. Nie spotykamy się nigdzie.

— Z mnóstwem nieśmiertelnych i śmiertelników — mówił ciągle wesoło Bernard. — Naprzód mam najlepsze w świecie towarzystwo geniuszów, gdy mi innego braknie, a pośród żywych myślisz pani że potrzebuję czegoś nadzwyczajnego i jestem wybrédnym? Wcale nie... Najmniejszy człowiek zajmuje mnie jako jednostka, w swoim rodzaju godna badania. Zaglądam w dusze i gdy w nich na dnie znajdę perłę utopioną, cieszę się jak dziecko.

Panna Henryka okazywała nieco zniecierpliwienia.

— To są ogólniki. Zkimże pan bliżej jesteście? gdzie bywasz? z kim żyjesz?

— Ale z mnóstwem osób — odparł Bojarski. — Czekaj pani. Bywam u hrabiostwa Zygmuntownstwa, jestem jak w domu u mojego dawnego ucznia Gwalberta. Widzisz pani, że mi nawet na stosunkach arystokratycznych nie zbywa, o tyle, o ile one nie wymagają zbyt modnych fraków i nadto świeżych rękawiczek, bo za to co rękawiczki kosztują, można kupić czasem białego kruka. Dalej idzie mój stary przyjaciel Piotruś Grochowski.

Panna Henryka ruszyła ramionami.

— Przyjaciel? — podchwyciła cicho.

— A jakże! — mówił Bernard. — Wiem że się ze mnie śmieje, ale to nie przeszkadza mi go kochać. Grochowski ma pióro znakomite, łatwość olbrzymią i kunszt niepospolity pisania wcale dobrze o tém nawet, czego się nie uczył. W towarzystwie jego sceptycyzm i szyderstwo jest jakby korzenną przyprawą, potrzebną. Żardyński mi umarł — westchnął, mówiąc dalej. — Nieodżałowana szkoda! Ale mam Mulińca.

— Muliniec się przecie majątnie ożenił i podobno z literackiego życia skwitował — przerwała panna.

— Ale mu to nie przeszkadza interesować się niém i w towarzystwie jest to bardzo miły czło-

wiek. Dom jego, w którym ja mało bywam, bo żona, bardzo dobra kobieta zresztą, znajduje mnie nadto ekscentrycznym i zbyt mało dbającym o powierzchowność — jest mi w pewnych godzinach otwarty.

— A! w pewnych godzinach? — rozśmiała się Henryka.

— Cóż to szkodzi? — odparł Bernard. — Ja się tęp nie obrażam, że w innych dnia chwilach nie harmonizowałbym z nimi, gdy ludzi *towarzystwa* przyjmują. Ale to są bardzo mili... państwo.

— A pan bardzo pobłażającym — dodała kobieta.

— Bo pobłażającym być, jest to być sprawiedliwym — rzekł Bojarski.

— Cóż dalej? — zapytała ciekawa Henryka.

— Jak-to? cóż dalej ma być?

— Znajomi i przyjaciele pana.

— Niezliczona ilość — mówił Bojarski. — Mnie zna pewnie całe miasto, choćby z powierzchowności, o ja też moc wielką mam przyjaciół i dobrych znajomych. Na przykład... nie wypieram się i gosposi z tej garkuchni, w której od lat wielu jadam. Karmi mnie po macierzyńsku. O! są dobrzy ludzie na świecie.

— Nie skarżysz się pan na swój los?

— Ja? — z wielką gorącością podchwycił Bernard. — Błogosławię go! Proszę pani, mogłem cho-

dzić w chomości całe życie, a szyję mam swobodną. Robię co mi się zamarzy... Myślę, rozpocynam, rzucam... przedsiębiorę co chcę.

— Przepraszam pana — dodała Henryka — będę niedyskretną.

— Bardzo proszę.

— Masisz jednak zapracowywać na życie?

— Nic łatwiejszego, tylko od życia nie trzeba wymagać wiele, a na skromne się zarabia bez utrapienia. Zawsze się znajdzie coś, gdzieś, co potrzeba napisać.

— Tak, i narzucają panu pracę tę, więc — niewola.

— Nie. Trzeba tylko być dobrze usposobionym, a ten narzucony trud nabierze wdzięku, odkryje się w nim strony nowe... człowiek się rozgrzeje. Maleńki przymus bywa bardzo pożytecznym. Zapewne, gdyby mnie te, jak pani powiadasz, narzucone roboty tak zajmowały, bym technąć nie mógł — a! toby było co innego; ale ja niewielą się ograniczam. Byłem miał co jeść.. i to mnie czyni swobodnym.

Śmiała się panna Henryka.

— Doprawdy, uczyłby się potrzeba od pana. Ale cóż teraz piszesz dla siebie, z natchnienia?.... tegom najciekawsza.

Bojarski potarł ręką po czole.

— Pracuję zawsze nad tém dziełem, którego

pewno nigdy nie skończę, nad idealną historią piśmiennictwa, która ma być żywota i ducha naszego dziejami. Jest to pole, na które się wymykam tak, jak czasem na wsi człowiek śpieszy do miłego kątko, pełnego cienia, zieleni, woni, ptasząt i świeżości. A, rozkoszne to są godziny, które spędzam nad tą historią, choć nigdy z niej nie będzie. Dalej idzie - ni mniej ni więcej, tylko epepeja. Śmieję się pani! Ale ja ją piszę dla siebie, ja nigdy z niej nawet ułameków nikomu czytać nie będę. Cóż to szkodzi, że ja się w niej Kocham i że wprzeciągu kilku miesięcy czasem cztery wiersze do niej dorzucę? Widzi więc pani, że do tkaniny życia nie braknie mi wątku.

— Złoty ch tylko nici nie widzę — westchnęła kobieta.—Rodziny... serca.

— Złote nici moje złożyłem w grobie — rzekł — ale one nie zardzewiały. Snują się w pamięci mojej i dziś już w tym porcie są bezpieczne.

Nawzajem Bojarski nie śmiał pytać panny Henryki o jej życie; mówiła mu twarzyczka zwiędła, że ono było brzemieniem pomimo rezygnacyi.

— Zazdroszczę panu — dokończyła przyjaciółka, odchodząc.

Stosunek z dawnym uczniem Gwalbertem był w swoim rodzaju szczególny. Chłopię z tych lat, w których Bernard był przy niem, wyniosło miłość dla niego i poszanowanie, które nie ostygły

i później. Rodziców straciwszy, uczeń dawny Bojarskiego był teraz panem ogromnego majątku i miał też wielkie towarzyskie obowiązki. Z powierchowności był to *grand seigneur* w całym znaczeniu wyrazu, ale z najlepszej strony wziętym. Dwóch ludzi mieszkało pod tą świetną powłoką: jeden, który obowiązkom stanu musiał czynić zadość i należycie reprezentował dom swój—drugi, który sercu własnemu dogadzał potajemnie, szukając sobie do niego ludzi, jakich we własnym świecie znaleźć nie mógł.

Bardzo dobrze będąc z Mulińcem, któremu zawdzięczał swobodę, z jaką się mógł rozwijać po własnej myśli, hr. Gwalbert znał doskonale mocne i słabe strony jego i nie kochał go tak, jak Bernarda, którego przytęm cenił wysoko.

Gdy tylko został panem swęj woli, hrabia natychmiast starał się wyszukać dawnego nauczyciela, po którym mu tak miłe, niezatarte zostało wrażenie. Sam poszedł na strych do niego i można sobie wyobrazić, jak się zdziwił Bernard, gdy go tu zobaczył wyciągającego obie ręce ku niemu i witającego go serdecznie.

— A! profesorze! co za dziura okropna! Jak ty tu żyć możesz?—zawołał, rozglądając się.

— Ale mnie tu doskonale—odparł Bojarski.—Wszystko jest stosunkowem. Dla hrabiego było to chlewem, ale dla mnie jest pałacem niemal.

Gwalbert począł go ściskać.

— Mój miły, stary nauczycielu — rzekł — ja sto razy dogodniejszych pod strychem mam kilka niezajętych mieszkań. Przenieś się do mnie!

Bojarski potrząsnął głową.

— Nie może to być — rzekł. — U was byłbym na łasce, a tu jestem panem. Nie powiadam, ażebym się miał wstydzić waszjej łaski i mego ubóstwa, ale dałbym zły przykład. Wasza służba znalazłaby mnie i sądziła jako pasożyta i próżniaka.

— Mam dla pana obowiązki — odezwał się hrabia — czemu mi nie chcesz pozwolić, abym się z długu wypłacił, i to w taki sposób, że ja tego wcale nie poczuje?... Mieszkanie, stół, wszystko możesz mieć u mnie.

Bernard ciągle głową potrząsał.

— Serdecznie wam dziękuję, ale to nie może być — nie, nie! Pozwólcie mi pozostać niezależnym. Zyszczę na tém to, że wam, kochany hrabio, zawsze będę mógł mówić całą prawdę. Gdybym był chorym i głodnym, z pewnością do wasbym się odezwał; ale dzięki Bogu, zdrow jestem i mam co jeść. Chcę pozostać niezależnym.

— Trochę dumy — szepnął Gwalbert.

— Godziwój — odparł Bojarski. — Jeśli z czego jestem dumny, to z tego, że w waszém sercu

przyczyniłem się do rozwinięcia tych uczuć, jakich dziś mam dowody.

— I bądź pan pewnym — dodał wzruszony Gwalbert — że te uczucia się nie zmieniają. Pozostałą uczniem waszym.

— I Mulińca.

— Poczciwy Muliniec byłby mnie popsuł, gdyby nie przyszedł po was — rzekł hrabia. — Szczeniemy nie zatarło się, coście we mnie wszczepili.

Gwalbert napróżno potém, pod różnemi pozorami, nalegał na to, aby Bernarda do siebie przyciągnąć i przywiązać. Chciał mu oddać w zarząd bibliotekę, pomocnika dodać; ale Bojarski odmówił, bo wistocie była to synekura.

Często bardzo, gdy Gwalbert sam był, lub przyjmował wybranych gości, zapraszał i Bojarskiego.

Na te dni, ażeby się od innych nie wydawać gorszym i nie różnić, Bernard sprawił sobie frak, ubierał się, kwasząc, i stawiał, będąc pewnym, że towarzystwo znajdzie dobrane.

Spędzał tam kilka godzin na miłej rozmowie, puszczał swobodnie wodze myśli i językowi, wiedząc że mu to za złe nie będzie wziętém, i wracał zwykle orzeźwiony na ciele i umyśle.

Gwalbert go odwiedzał czasami, słowem byli z sobą jaknajlepij; a że hrabia miał wielkie znaczenie w kraju, równie imieniem jak olbrzy-

mim majątkiem, przyjaciel też jego dla wielu stawał się przez to ważną figurą, chociaż od wszelkich wpływów i pośrednictw się usuwał. Sam Gwalbert zasięgał czasem jego rady, a wyzwany, z prawdomównością bezwzględną wypowiadał zdanie swoje.

Panu radzcy Emilowi Twardzińskiemu, ważne zajmującemu stanowisko, a dwuznacznie przyjmowanemu w towarzystwach, chodziło wielce o to, aby był dobrze widzianym przez hrabiego.

Była to chwila jego życia, w której, nabroiwszy trochę dla pozyskania stanowiska, rozpocząć chciał rodzaj rehabilitacyi do dalszej karyery potrzebnej.

Salon hrabiego Gwalberta mógł mu być wielce pomocnym, ale tu wpływ i wiadome związki przyjaźni z Bernardem stawały na zawadzie.

Potrzeba było albo Bojarskiego ztąd wypchnąć, oczernić, lub znowu się zbliżyć do niego. Radca był mistrzem w przystawianiu stolców i wywracaniu tych, którzy mu stawali na drodze.

Rozpoczął bardzo zręcznie, nie sam, ale przez innych, ośmięszanie Bernarda, wystawianie go niemal jak półwaryata, człowieka słabego i niepoprawnego ekscentryka. Ale hrabia Gwalbert odrazu tak stanowczo stanął w obronie dawnego nauczyciela, że się już nie ważono go napastować.

Panu Twardzińskiemu nie pozostawało tedy

nie, nad zbliżenie się do dawnego dobroczyńcy i przejednanie z nim.

Była to rzecz trudna, bo po wielu przejściach, Bernard wiedział już dobrze, co był wart pan radca, i sądził go zimno, ale sprawiedliwie.

Spotkali się raz pierwszy, po długim unikaniu wzajemnym, w salonie hrabiego Gwalberta. Bojarski nierad był temu, trzymał się zdaleka, ale śmiały i zręczny radzca pierwszy starał się przełamać lody. Zbliżył się do niego, począł rozmowę, a na stronę odprowadziwszy, tak zręcznie nią pokierował, iż mógł uczynić wyznanie wiary swojej. Przyznawał się, iż wiele w życiu popełnił omyłek, że starał się je naprawić teraz, że doświadczenie nauczyło go, jak dalece błędził.

Ujęty tą skrucą, która się szczerą zdawała, bo sam nigdy nie kłamiąc, Bojarski nikogo też nie posądzał o nieszczerość — nie podejrzewał Emila o przewrotność i przestał stronić od niego.

Zaraz tego pierwszego wieczora długo rozmawiali z sobą, a radzca się o to starał, aby ze zdaniem Bernarda być w zupełnej zgodzie. Drugim razem wyraził życzenie bliższych stosunków. Bojarski odparł skromnie, że ma wiele do czynienia, że mało czasu obraca na stosunki ze światem, ale że zawsze rad będzie dawnemu znajomemu.

W ten sposób nietylko Bojarskiego sobie pozy-

skął radzca, ale przez niego lepsze usposobienie hrabiego.

Nie przestał poza oczyma śmiać się i szydzić z dawnego opiekuna, ani mu szkodzić gdzie mógł bezkarnie — lecz napozór byli z sobą bardzo dobrze znowu.

Nie zbywało panu Emilowi na bystrości umysłu, na odcytaniu, na łatwości wysłowienia, na tém co pozyskuje ludzi; lecz nie miał żadnej wiary w nie, ani przekonania... wszystko robił dla — jak to dawniej nazywano — krescytywy.

Dla krescytywy urzędowej poświęciwszy naprzód wiele, teraz dla towarzyskiej chciał téż coś przynieść w ofierze. Narzędziem do niej niewidoczném miał być Bernard, jawném hr. Gwałbert.

Nikt umiejętniej, stopniowo i nieznacznie do celu iść nie umiał. Zupełnie tak podkradają się drapieżne zwierzęta, cicho pełznąc... dopóki się nie rzucą na swą ofiarę. Emil naprzód spotykał się tylko z Bernardem, potem począł przychodzić do niego, w ostatku zaś do siebie go zapraszać.

Samnasam nawet wznawiał wspomnienia młodości i brał Bernarda za serce, mówiąc mu z poszanowaniem o matce.

Wszystkie słabe strony Bojarskiego znał, odgadywał, wyzyskiwał.

Skończyło się na tém, że go hrabia Gwałbert

zastał u przyjaciela na poufnej rozmowie i radcę to w jego oczach podniosło.

Zapytany o niego, Bojarski nie taił, że popełnił w życiu kilka błędów, które on raczej temperamentowi, niż sercu złemu przypisywał — ale wysoko oceniał zdolności i sądził że może być bardzo użytecznym, bo wierzył w jego dobrą wolę.

Zdanie Bernarda odbiło się zaraz w dalszych stosunkach hrabiego z panem radcą.

Nie łatwiejszém nie było, nad oszukanie dobrodusznego Bojarskiego, którego instynkt ostrzegał, ale serce zawsze ku pobłażliwości skłaniało.

Niewielu mając bliższych przyjaciół, zwolna przylgnął do radcy, który, widząc w tém swą korzyść, nie odsuwał się i nie zrażał go.

Miał zapewne tę rachubę, iż później pozbędzie go się, gdy mu nie będzie potrzebnym.

Tak stały rzeczy, gdy jednego gorącego dnia letniego, nad wieczór, spotkał się Bojarski z panem radcą. Skwar był dokuczliwy.

Zaczęli rozmowę obojętną. Emil, który może się chciał pozbyć towarzysza, bo z nim niechętnie się pokazywał na ulicach — zapytany dokąd idzie, odpowiedział, że radby się w rzęce wykąpać i myśli jechać do łązienek nad Wisłę.

— To się wybornie składa — odparł Bojarski — bo ja także miałem zamiar iść do Wisły.

— Jedźmy więc razem — rzekł radca.

Zawołano dorożkę i siadłszy do niej, kazali się zawieźć do łazienek letnich na rzecę. Bojarski był doskonałym pływakiem i lubił bardzo pluskać się i dokazywać w wodzie. Radca Emil ze swych czasów łobuzowskich umiał też nieźle pływać, choć stracił wprawę, bo rzadko miał czas iść do wody.

Rozebrali się i skoczyli do rzeki, niewiele zważając na znaki ostrzegające o głębinach i niebezpiecznych wirach. Silny dosyć, zręczny Bojarski puścił się dalej od brzegów, a radca, choć otylszy od niego i ociężalszy, nie chciał się dać wyprzedzić. Podążył za nim.

Kilkanaście minut już orzeźwiali się kąpielą nieopodal jeden od drugiego, gdy Bernard usłyszał wykrzyk:

— Ratuj!

Czy to kurez niespodziany pochwycił Twardzińskiego, czy trafił na prąd, który go pociągnął, dość że Bojarski ujrzał, iż waleczy, tonie i wybić się usiłuje na powierzchnię wody napróżno... Jak mógł najrychlej popłynął w pomoc przyjacielowi, który oburącz go pochwycił, ratując się i.... obaj poszli na dno.

Z brzegów widziano to i już pośpieszano ku nim, gdy raz jeszcze ukazali się na powierzchni. Bernard jedną rękę wiosłując, drugą ciągnąc Emila,

naprózno starał się wydobyć z prądu, który go porywał.

Nim rybacy przybyli na to miejsce, znikli znowu. Nierychło potem, opodal od miejsca w którym zatonęli, ukazał się Bojarski, wlokąc za sobą resztą sił Emila, który go nie puszczał, ale zdawał się już bezwładnym i skostniałym.

Obu ich razem wywleczono na ląd, gdzie szczęściem znajdował się doktor, który pierwsze zarządził środki, aby Emila przywołać do życia.

Bojarski był osłabiony, zmęczony, ale zachował jeszcze oddech i dopiero na lądzie omdał z wysilenia. Twardziński, który długo znaku życia nie dawał, wkrótce potem oczy otworzył, począł oddychać i nie ulegało wątpliwości, że był ocalonym.

Bojarski, z omdlenia ocucony, okazał się tak słabym, iż potrzeba było, przyodziawszy go nieco, wnieść do powozu i nieprzytomnego powoli przenieść do domu.

Radzca, choć osłabiony, mógł sam udać się na spoczynek, doktorowi poleciwszy przyjaciela, który go ocalił.

Dano znać hrabiemu Gwalbertowi o wypadku, a ten natychmiast przybiegł z drugim lekarzem na strych, gdzie rzeźwiono i rozciérano Bojarskiego. Zdawało się wkońcu, iż życie będzie ocalone;

ale nazajutrz, skutkiem gwałtownego wysiłku, wywiązało się silne płuc zapalenie.

Trzeciego dnia radzca Emil chodził, trochę tylko blady i bardzo jeszcze przestraszony, a Bernard leżał w gorączce.

Dawny uczeń go nie odstępował. Dwóch lekarzów siedziało u łóża; ale wszystkie środki użyte nie zdołały zmniejszyć choroby, która zagrażała już życiu.

Lekarz hrabiego nie taił, iż stan chorego jest niebezpieczny.

Dni kilka przeciągnęła się choroba, z małemi zmianami, które dozwalały Bernardowi, gdy odzyskiwał przytomność, poznając Gwalberta, doznać téj pociechy, że opuszczonym nie był. Przyznać należy i radzey, że temu, który ratując go życie poświęcił, okazał się wdzięcznym. Siedział rezem z Gwalbertem u jego łóżka i to go w opinii hrabiego bardzo dobrze postawiło.

Bernard ostatniego dnia czuł i wiedział, że żyć nie będzie.

Oczyrna mierzył zdala papierów swych stosy, nieukończone prace, których nikt nie mógł użyć i nikt nie potrafiłby dokończyć... Uśmiech łagodny przebiegał po jego ustach. Ciężko mu było mówić... Żądał od Gwalberta, aby jego papiery spalono, obstawał przy tém i wymógł słowo, że

wola jego będzie spełnioną. Chciał, by go pochowano przy ojcu i matce.

Gwalbert dawał mu jeszcze życia nadzieje, których sam nie miał, ale Bojarski głową potrząsał. Czuł w piersi już zaczajoną śmierć, która nagle, jednym złamanym oddechem, koniec cierpieniu położyć miała.

Leżał, pobłogosławiony na wielką podróż przez duchownego, spokojny zupełnie. Nie żałował życia, które zamknął poświęceniem się dla ocalenia przyjaciela.

Nie mogąc go ratować, lekarze starali się przynajmniej ulżyć cierpieniom i w śnie spokojnym, marząc, duch uleciał w krainy światłości...

Za trumną szli hr. Gwalbert, radzca z głową spuszczoną, jakby zawstydzony że żył, gdy Bernard za niego umierać musiał, Muliniec z żoną, panna Henryka, wszyscy, aż do Piotrusia Grochowskiego, z zagryzionemi wargami i pomarszczonem czołem.

Redaktor gazety zbliżył się do niego, nim doszli do Powązek.

— Słuchaj, Piotruś — rzekł — tyś go dobrze znał, byliście z sobą przyjacielsko. Na jutro mi potrzeba nekrologu. Rozumiesz?

Zpod okularów zukosa spojrział Grochowski.

— Daj mi ty pokój — szepnął półgłosem. — Pewnie jakie sto więrszy, nie więcej.

— A cóż myślisz? — odparł redaktor — albo to niedosyc dla niego?

— Ani dla niego, ani dla mnie tego niedosyc — odezwał się Piotruś. — To przecie był człowiek nieznany, ale znakomity i oryginalny, a do innych niepodobny.

— Rozumiem — zamruczał redaktor. — Wszystkiem tém stał się dopiero teraz, gdy umarł, bo za życia nieraz slyszalem, cóś mówił o nim. Mieliście go niemal za waryata.

— I był niemal waryatem — zawolał Piotruś, który w téj chwili spostrzegł, że woskiem się okapał i wpadł w bardzo zły humor — ale to nie przeszkadza, że zarazem był genialnym. O nim książkę napisać można, a ty chcesz sto wierszy.

— Pisz sobie później tomy, ale ja nie mogę mu dać większego nekrologu — rzekł redaktor. — Nie był popularnym... Kogo on obchodzi?

— I ja w ten nekrolog mam włożyć wszystko, aby potem obszerniejszych nie czytano? — rzekł Piotruś. — To nie może być, winienem więcéj jego pamięci.

Redaktor poczał mu cóś szeptać, ale na ucho. Grochowski slychał już teraz cierpliwiej, zamienili słów kilka niedoslyszanych i... rozmowa była skończoną.

Człowiek, o którym nie mówiono za życia, nazajutrz miał niejeden nekrolog Piotrusia, który

zastrzegął, że obszerniejszy życiorys przygotowuje; gorące wspomnienie napisała także panna Henryka, patetycznie pożegnał nieboszczyka Muliniec... Wszyscy podnieśli czyn ten, którego padł ofiarą, uczcili życie poświęceń, a o pracach mało-znanych mało też powiedziano.

Hrabia Gwalbert znajdował, że spełnienie woli zmarłego, który papiery spalić kazał, byłoby niesprawiedliwością i barbarzyństwem. Ofiarował swoim kosztem drukować to, coby się znalazło godnym ogłoszenia i zupełnie wykończonem. Piotruś i Muliniec podjęli się przejrzeć niezmierną tę masę papierów, która po nim pozostała.

Podzielili ją nawet między siebie i w pierwszych dniach wzięli się do roboty z wielkim zapalem.

Po niejakiem atoli czasie Piotruś począł ostygąć. Darmo wykonać olbrzymi ten przegląd, było dla niego niepodobieństwem. Muliniec też rozkładał prace na lata.

Hrabia Gwalbert napróżno naglił, zachęcał i upominał się: rzecz została odłożoną.

Nie możemy zaręczyć za to, czy wypisy i notatki luźne nie posłużyły potem Grochowskiemu do wykonania znakomitych studyów nad pewnemi epokami piśmiennictwa.

Muliniec dobył wiązanekę poezyj, które, połączone z dawniej wydanemi, złożyły się na ładny to-

mik, wydrukowany kosztem hrabiego Gwalberta, który się też i o krzyż granitowy postarał na mogile.

Tak zgasł, imienia i sławy nie zostawiając po sobie, poczciwy szermierz, który nie umiał wzbić się wgórę i przeszedł małą ścieżynką, obok wielkiego gościńca, pełnego próżnej wrzawy i pyłu... Tak giną inni, nieznanymi pracownicy w winnicy, nieumiejący wyzyskać dla siebie skarbów pokornego ducha.

Któż wie... może geniusz spał w nim, nieśmiałością spowity, niewiarą w siebie skrepowany...

Zato iluż bohaterów przy trąb odgłosie wjeżdża do nieśmiertelności, bo z odrobiny wody i mydła umieli wydmuchnąć lśniącą barwami tyczowemi bańkę, bawiącą oczy... a nie niemówiącą do duszy.

Sprawiedliwe-li są losy i sądy? Nie wiem— ale pojedynczy człowiek ma-li co w sobie, czego-by w spuściźnie nie wziął z przeszłości, i w ogólnym rachunku idzie-li o to, kto śpiewał, jeśli pieśń w porę zabrzmiała?

Dziś i mogiły Bojarskiego niéma już na Powązkach, i z jego papierów wysnuło się tyle nitek, utkało tyle kobierczyków i kobierców, że one przeszły na własność tych, co je na krośnach nowych rozpięli.

Requiescat in pace!

KONIEC TOMU II I OSTATNIEGO.



1 N
- **BADAN** **SI PAN**

ul. Nr 72

00- W - z q w a

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

F
1707